

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/604-2/605 1998



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

**A. KORASZEWSKI: NIE MA CHLEBA BEZ
IGRZYSK**

L. UNGER: KSIĘGA CZARNA...I CZERWONA

**K. WOLICKI: CZY DIABEŁ MA CZARNY
OGON?**

A. MENCWEL: CZEGO POLACY POTRZEBUJĄ

SPIS RZECZY

Andrzej Koraszewski:	<i>Nie ma chleba bez igrzysk</i>	3
Andrzej Hryniewicz:	<i>Smutna historia energetyki jądrowej w Polsce</i>	9
Andrzej Paczkowski:	<i>Stół prostokątny czyli Jachranka '97</i>	17
Christine Winecka:	<i>Mój Stanisławów (2)</i>	43
Andrzej Kalinin:	<i>Obrazki ze starych klisz</i>	57

WIERSZE

Wacław Iwaniuk:	<i>Sonet do Markizy</i>	85
Aleksander Jasicki:	<i>Krupnicza 22 – Pożegnanie z legendą</i>	86
Jarosław Klejnocki:	<i>Łabędzia wyspa</i>	86
Stefan Pęksa:	<i>***</i>	87
Jerzy Pietrkiewicz (przet.):	<i>Trzy wiersze z niemieckiego</i>	88
Artur Szłosarek:	<i>Kwietniowa opowieść</i>	89

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli: Księga czar- na i... czerwona</i>	91
Stefan Abner:	<i>Jelcyn w Szwecji</i>	109

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Czy diabeł ma czarny ogon?</i>	116
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	127

SĄSIEDZI

–	<i>Białoruska Deklaracja Wolności</i>	143
Bohdan Osadczyk:	<i>Walka wyborcza po ukraińsku</i>	145

KRONIKA KULTURALNA

Leszek Szaruga:	<i>Polska poezja w Niemczech</i>	148
Bohdan Osadczyk:	<i>Ivan Koszeliweć</i>	151
Piotr Wandycz:	<i>Ośrodek studiów w Lipsku</i>	153
(M.J.):	<i>Życie literackie Wilna 1831-1941</i>	154
–	<i>Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim</i>	155
–	<i>Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 1998</i>	158

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty/Janvier-Février 1998

**NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1997
otrzymują:**

**Nagrodę Literacką im. Zygmunta Hertza –
MARIUSZ WILK**

**Nagrodę Publicystyczną im. Juliusza
Mieroszewskiego – JERZY
POMIANOWSKI**

**Nagrodę Przyjaźni i Współpracy –
WOJCIECH SIKORA
(ponownie)**

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Halina i Mirosław Arter, Ashfield, NSW (Australia) - Dla uczczenia pamięci córki, śp. mec. Ani Kamili Dźwigala, zmarłej 29.1.1997 r. w Sydney	F. 1070,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto ON (Kanada) - po raz 28-my	F. 640,00
Dla uczczenia pamięci pani Adeli Żeleńskiej, zmarłej w Paryżu 24.11.1997 r. - Michalina i Peter Ageros, Londyn	F. 500,00
Stefan Jan Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA) - po raz 20-ty dol. 33,00	F. 196,00
A. Kostrzanowski, Broad Beach (Australia)	F. 35,00
Prof. Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 26-ty	F. 270,00
Józef Lewandowski, Skogas (Szwecja) - zamiast kwiatów na grób doc. Teresy Monasterskiej	F. 200,00
Jerzy Łagocki, Buenos Aires - po raz 2-gi - dol. 100,00	F. 594,00
Mila i Emanuel Łopatto, Florencja - dla uczczenia pamięci Witolda Zahorskiego, w rocznicę jego śmierci	F. 300,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL - po raz 21-y - dol. 23,00	F. 197,00
Janusz Morkowski, Dübendorf (Szwajcaria) - po raz 6-ty	F. 200,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA) - po raz 16-ty - dol. 51,00	F. 303,00
Eugenia Piórkowska, Nowy Jork - po raz 9-ty - dol. 54,00	F. 321,00
Irena Pleszczyńska, Santa Barbara, CA - po raz 29-ty - dol. 101,00	F. 600,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ - po raz 30-ty - dol. 41,00	F. 244,00
Stefan Rosé, Paryż - po raz 19-ty	F. 1400,00
Olga Scherer, Paryż - zamiast kwiatów na grób p. Adeli Żeleńskiej	F. 100,00
Stanisław Waszak, Villefranche - po raz 3-ci	F. 200,00
W 27-mą rocznicę śmierci mgr Jadwigi Albrecht z domu Adamskiej, pierwszego pracownika warszawskiego san.-epid., najlepszej, nigdy nie zapomnianej Żony i Matki - Andrzej i Jerzy Albrechtowie	F. 150,00
Bolesław Wierzbiański, Nowy Jork - dol. 200,00	F. 1188,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż - w 52-ą rocznicę rozbrojenia przez armię sowiecką dnia 17.1.1945 r. w Wisach pod Radoszycami - oddziału partyzanckiego 2-go batalionu 25-go p.p. A.K., którym dowodził kpt./mjr Józef Wyrwa, pseudonimy „Furgalski”, „Stary”	F. 500,00
Elżbieta Zahorska i syn Witold (Rzym-Paryż) - w dziewiątą rocznicę śmierci Męża i Ojca Witolda Zahorskiego	F. 500,00
Lucja Zalewska, Chicago IL (USA) - po raz 33-ci - dol. 1000,00	F. 5940,00
Zamiast kwiatów na grób Adeli Żeleńskiej, żony Władysława, zasmuceni - Zofia i Kazimierz Romanowiczowie (Paryż)	F. 200,00
Henryk Zegadło, Soller - Mallorca (Hiszpania), DM 15,00	F. 50,00
Władysław Żeleński, Paryż - dla pamięci swej Żony Adeli Marii, zmarłej 24.11.1997 r.	F. 500,00
Andrzej Pruszkowski, Danbury, CT (USA) - na pomoc Polakom na Białorusi - dol. 50,00	F. 297,00

DZIĘKUJEMY

1998 5 1014

BIOTEKA
P 9486 Arch.

Nie ma chleba bez igrzysk

Panem et circenses - domagali się mieszkańcy Rzymu, niezadowoleni z powodu ograniczeń budżetowych. Współcześni mieszkańcy Unii Europejskiej domagają się pracy oraz podwyżek, a chleb i bilety na igrzyska gotowi są kupować sobie sami. W Luksemburgu, podczas listopadowego szczytu w sprawie bezrobocia, lud krzychał „dość gadania, chcemy pracy”. W roku 1933 w Stanach Zjednoczonych było ponad 13 milionów bezrobotnych, o pięć milionów mniej niż dzisiaj w Unii Europejskiej, ale dramat był poważniejszy, ponieważ ci, którzy byli bez pracy, byli praktycznie rzecz biorąc bez środków do życia i godzinami stali w kolejkach po zupe, żeby przetrwać do następnego dnia. Gigantyczny plan robót publicznych i system zasiłków dla bezrobotnych dał najpierw nadzieję, a potem stopniowo pozwolił na wyjście z kryzysu. Podjęte przez amerykańską administrację kroki wiązały się wówczas z deficytem budżetowym i groźbą powrotu galopującej inflacji.

Nie tylko humanitaryzm dyktował podjęte wówczas przez rząd Stanów Zjednoczonych kroki. Na kryzys nadprodukcji zwiększenie podaży pieniądza okazało się stosunkowo najlepszym rozwiązaniem. Dzisiejsze problemy są bardziej złożone, chociaż na szczęście ich konsekwencje nie są mimo wszystko jeszcze aż tak dramatyczne. Z jednej strony można powiedzieć, że zastosowane wówczas lekarstwo (stosowane później również przez inne rządy) zostało przedawkowane. Już na początku lat siedemdziesiątych pojawiły się pierwsze głosy o konieczności sanacji systemu rynkowego. Do podejmowania rzeczywistych kroków w tym kierunku

poszczególne kraje zmuszał dopiero kryzys gospodarczy. Ustawicznie wzrastająca wielkość wtórnie dzielonej części dochodu narodowego oraz ciągle rosnący deficyt budżetowy, to zjawiska które pociągały za sobą gospodarczą stagnację i perspektywę przegranej z krajami, które uniknęły tej pułapki. Kiedy niedawno jako główny warunek przystąpienia do unii walutowej przyjęto redukcję deficytu budżetowego do trzech procent, okazało się, że w niektórych krajach lud może odmówić kooperacji. Protestują najczęściej pracownicy sektora publicznego oraz branż w ten lub inny sposób subwencjonowanych przez państwo. Dla tych grup zmniejszenie deficytu budżetowego oznacza w najlepszym przypadku stagnację dochodów, częściej redukcję zatrudnienia, gorsze warunki pracy i gorszą płacę. Sprawa jest jednak znacznie poważniejsza. Sektor publiczny był dotychczas swego rodzaju wentylem bezpieczeństwa. Od dziesięcioleci było wiadomo, że prędzej czy później przemysł zacznie dzielić los rolnictwa i nie tylko przestanie dostarczać nowych miejsc pracy, ale wręcz zacznie wyrzucać nadwyżki zbędnej siły roboczej. Kiedy te przepowiednie stały się faktem, kryzys łągodził systematyczny rozrost organizowanych głównie przez państwo usług, a więc właśnie wzrost sektora publicznego. W pierwszych dziesięcioleciach tej polityki (polityki inwestycji w masową oświatę, w ochronę zdrowia, w budowaną przez państwo infrastrukturę) można było mówić o daleko idącej symbiozie między rynkiem a sektorem publicznym. Wielu głosiło wówczas tryumf gospodarki mieszanej. Sektor publiczny przestał jednak być odpowiedzią na najpilniejsze potrzeby zarówno społeczeństwa jak i rynku, i zaczął żyć własnym życiem, cierpiąc coraz poważniej na biurokratyczny *elephantiasis* wyrażający się nie tylko w absurdalnych przerostach zatrudnienia, ale i w zastraszającej wręcz nieskuteczności. Na biurokratyczne skostnienie jedynym racjonalnym lekarstwem okazała się prywatyzacja, którą rozpoczęto od znacjonalizowanych gałęzi przemysłu, aby stopniowo dotrzeć do tego, co było samą istotą sektora publicznego – czyli do oświaty i służby zdrowia.

Jeżeli liczba miejsc pracy w przemyśle prywatnym gwałtownie topnieje, jeżeli państwo świadomie i z premedytacją dąży do redukcji zatrudnienia w sektorze publicznym, jeśli

symbolem sukcesu sprywatyzowanych zakładów pracy jest drastyczne zmniejszenie zatrudnienia, to znaczy, że politycy świadomie i z premedytacją działają na rzecz wzrostu bezrobocia, a wszelkie deklaracje o walce z tym zjawiskiem mogą wydawać się pustym gadaniem. Rzeczywiście dylemat jest poważny, bo w większości krajów najbardziej rozwiniętych nie tylko zdecydowanie szybciej znikają stare miejsca pracy aniżeli pojawiają się nowe, ale wielu analityków jest przekonanych, że kurczenie się rynku pracy może być zjawiskiem trwałym. Automatyzacja, robotyzacja, a wreszcie rewolucja elektroniczna nie tylko prowadzą do zasadniczej zmiany charakteru rynku pracy, a więc do zaniku wielkich przedsiębiorstw zatrudniających w jednym miejscu dziesiątki tysięcy ludzi, ale wręcz do sytuacji, w której stosunkowo niewielka warstwa pracujących mogłaby osiągnąć wydajność pozwalającą na zaspokojenie popytu na wszelkie towary i usługi. Na tym rynku dominować będą przedsiębiorstwa małe, zatrudniające kilku lub kilkunastu pracowników o bardzo wysokich kwalifikacjach. Czy oznacza to, że ta mniejsza lub większa warstwa pracujących zdoła wypracować nadwyżki pozwalające na utrzymanie całej reszty społeczeństwa? Czy ta reszta społeczeństwa żyć będzie na państwowych zasiłkach? Jest to koncepcja dość niewyobrażalna, ale sam kierunek poszukiwań rozwiązania dla coraz bardziej dramatycznego problemu wydaje się wskazywać na to, że przynajmniej niektórzy politycy traktują taką możliwość śmiertelnie poważnie. Jeszcze w latach osiemdziesiątych w krajach skandynawskich pojawiła się koncepcja płacy powszechnej, wypłacanej wszystkim dorosłym za sam fakt istnienia na tym padole. W Szwecji (również w latach osiemdziesiątych) niektórzy ekonomiści wykryli nową niesprawiedliwość społeczną jaką jest nie opłacona praca pani domu, której wysiłki przyczyniają się przecież do wzrostu dochodu narodowego i powinny być wynagradzane na takich samych zasadach jak każda inna praca. Równolegle pojawiły się wówczas w Europie Zachodniej koncepcje utrzymania ilości miejsc pracy poprzez dalsze skracanie czasu pracy. Okazało się jednak, że wszędzie tam, gdzie handel międzynarodowy pozwalał na realne porównanie wielkości kosztów produkcji, wszystkie tego rodzaju pomysły prowadziły do mniej lub bardziej spektakularnej klęski

w konkurencji międzynarodowej. Niemcy, gdzie próbowano tych sztuczek bodaj bardziej intensywnie niż w innych krajach, obecnie patrzą bardzo niechętnie na propozycje Francji i Włoch, aby skrócić tydzień pracy do 35 godzin tygodniowo. Kanclerz Kohl powiedział w Luksemburgu, że będzie się stanowczo sprzeciwiał wszelkim działaniom, które pociągałyby za sobą wzrost nakładów z funduszy publicznych. Tony Blair przedstawił w Luksemburgu brytyjską koncepcję walki z bezrobociem, która polega przede wszystkim na zwiększaniu elastyczności siły roboczej. Za tym określeniem kryje się dążenie do podnoszenia poziomu kwalifikacji pracowników, tak aby ułatwić im przenoszenie się z jednej pracy do drugiej. Te koncepcje, przyjęte jeszcze za rządów konserwatystów, oznaczały z jednej strony nacisk na radykalną poprawę skuteczności systemu oświaty, ale również na dostosowanie tego systemu do zmieniającego się rynku pracy. (Jednym ze znamienitych kroków w tym kierunku było połączenie przed paroma laty Ministerstwa Pracy i Ministerstwa Edukacji.) Innym elementem tej strategii jest stawka na ułatwienia dla przedsiębiorstw małych i średnich, na tworzenie nowych miejsc pracy nie przez państwo i nie przez wielki kapitał, a przez samych zainteresowanych. Jednym z filarów tej strategii jest zmiana polityki podatkowej przez przenoszenie punktu ciężkości z podatku od dochodów osobistych na podatki pośrednie. W coraz większym stopniu opodatkowane są nie tyle dochody i zyski, co konsumpcja. Tej zmianie systemu podatkowego towarzyszy założenie, że niezbędne wkłady do wspólnej kasy nie powinny hamować inwestycji, ani skłaniać do rezygnacji z tworzenia nowych miejsc pracy, czy wreszcie zachęcać do ucieczki w szarą strefę. Opieka społeczna tak, ale ta opieka społeczna musi prowadzić do przystosowania ludzi do zmieniającego się rynku pracy. W przekładzie na działania praktyczne oznacza to nie tylko podniesienie jakości kształcenia i poradnictwa zawodowego, ale również radykalne zwiększenie oczekiwań od osób korzystających z różnych form pomocy społecznej. Tego rodzaju polityka przyniosła już rezultaty w Wielkiej Brytanii, ale w jeszcze większym stopniu w Stanach Zjednoczonych, gdzie bezrobocie jest dziś najniższe od ćwierćwiecza i utrzymuje się na poziomie przekraczającym nieznacznie dwa miliony osób.

Tak naprawdę nikt nie wie jednak jak będzie się dalej rozwijał rynek pracy. Nadal dziedziną, w której pojawia się stosunkowo najwięcej nowych miejsc pracy są usługi, ale tym razem są to usługi świadczone przez firmy prywatne, których zasadność poddawana jest próbie rynku. Szczególnie prężnie rozwija się turystyka i szeroko pojęta rozrywka. W odróżnieniu od osobliwej koncepcji opłacania z państwowej kasy wysiłków pani domu, ten typ usług jest pełnoprawną częścią gospodarki rynkowej i źródłem nie tylko wielkich fortun, ale (co jest być może ważniejsze) setek tysięcy miejsc pracy dla tzw. zwykłych ludzi. Nowy rynek pracy wymagać będzie inicjatywy i pomysłowości i to nie od polityków, a od ludzi szukających swojego miejsca na rynku pracy. Od polityków oczekuje się tu raczej wyrównywania warunków startu, kontroli uczciwości rynkowej gry, wspierania inicjatyw. Czy oznacza to, że mamy do czynienia z jakąś uniwersalną receptą, równie dobrą we wszystkich krajach i na każdym poziomie rozwoju gospodarczego? Tylko po części, bo proces wyrównywania warunków startu z konieczności co innego oznacza w kraju takim jak Polska, a co innego powiedzmy w Holandii.

W Luksemburgu, po sutej kolacji w czwartek (20 listopada) i dniu intensywnych obrad w piątek, ogłoszono ambitny plan zmniejszenia bezrobocia poprzez system kształcenia zawodowego bezrobotnej młodzieży oraz przekwalifikowania osób pozostających przez długi okres bez pracy. Niektórzy komentatorzy nazwali ten szczyt cyrkiem, który pokazał, że politycy nie mają żadnych koncepcji, co zrobić z bezrobociem. Ten typ komentarzy spotykamy w prasie nieodmiennie po każdym tematycznym zlocie polityków. Czy oznacza to, że przed tego rodzaju szczytami dziennikarze żywią jakieś nieokreślone bliżej nadzieje, czy też deklaracje niepowodzenia należą do przepisowej retoryki komentarzy na temat szczytów. W Luksemburgu nie było i chyba nie mogło być żadnego przełomu. Z końcowego oświadczenia wynika, że ostatecznie zwyciężyły koncepcje brytyjskie i niemieckie, zaś propozycje francuskie zostały zaledwie wspomniane na marginesie. Podejrzewam, że w rozmowach kuluarowych częściej rozmawiano o problemie kryzysu finansowego w Azji niż o bezrobociu w Europie. W tym samym dniu, w którym

obradowano w Luksemburgu, Południowa Korea zwróciła się o pomoc do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W odczuciach wielu polityków po kryzysie walutowym w Meksyku jest to kolejny bardzo groźny moment dla międzynarodowego systemu gospodarczego. Dla dzisiejszych polityków państw rozwiniętych nadzieją jest wyłanianie się coraz to nowych rynków i wyrównywanie się poziomu gospodarczego na świecie. Bezrobocie jest oczywiście problemem, ale problemem, którego dolegliwość będzie się zwiększać lub zmniejszać w zależności od stanu zdrowia gospodarki światowej. Tu, w Wielkiej Brytanii, część prasy przyjęła rezolucję z Luksemburga dość pozytywnie. Jedna z gazet określiła ją nawet jako „New Deal” dla młodego pokolenia. Z pewnością jest to gruba przesada. Ta rezolucja to zaledwie ogólne wytyczne, nawet nie plan działania, a już z pewnością nie przypomina w niczym ani „New Deal” ani Planu Marshalla. W jednym i drugim przypadku uruchomiono poważne środki na rozruszanie gospodarki (w pierwszym przypadku amerykańskiej, w drugim europejskiej). Tym razem mowa o próbie uruchomienia ludzkiej inicjatywy przy minimalnych przesunięciach dostępnych środków. Uważna lektura tej rezolucji prowadzi do jednoznacznej interpretacji – jeśli nie macie pracy, urządźcie igrzyska, róbcie cokolwiek co da wam zarobek, ale nie oczekujcie od nas pracy, bo to się skończyło, w globalnej gospodarce każda jednostka jest gladiatorem. To przesłanie nie jest najgorsze, ale tylko w tych krajach, w których politycy poważnie zastanawiają się nad możliwością wyrównywania szans, bo czasem łatwo jest przyjąć cudzą frazeologię zapominając, że się nie ma za sobą cudzej historii.

Londyn, 23 listopada 1997r.

Andrzej KORASZEWSKI

Smutna historia energetyki jądrowej w Polsce

17 grudnia 1990 r. po kilkumiesięcznym wstrzymaniu budowy pierwszej polskiej elektrowni jądrowej w Żarnowcu, Rada Ministrów przedstawiła Sejmowi wniosek o postawienie tej inwestycji w stan likwidacji. Była to decyzja błędna, szkodliwa dla rozwoju Polski. Przyniosła niepowetowane straty gospodarcze i społeczne, i fatalnie odbiła się na stanie środowiska naturalnego, którego zatrucie jest spowodowane przede wszystkim niewłaściwą strukturą polskiej energetyki. Oparcie jej niemal wyłącznie na spalaniu węgla powoduje, że jesteśmy jednym z najbardziej zanieczyszczonych krajów Europy.

Jak doszło do podjęcia tej brzemienniej w skutki decyzji?

Budowę pierwszej polskiej elektrowni jądrowej uchwalilo Prezydium Rządu w sierpniu 1971 r. O jej lokalizacji nad Jeziorem Żarnowieckim zdecydowała Komisja Planowania przy Radzie Ministrów w czerwcu 1979 r., a założenia techniczno-ekonomiczne inwestycji zatwierdził minister energetyki i energii atomowej w lutym 1980 r. Uchwałę o rozpoczęciu budowy dwóch pierwszych bloków energetycznych Rada Ministrów podjęła 18 stycznia 1982 r. Niefortunny fakt, że przygotowywana w ciągu kilku poprzednich lat uchwała została podjęta w kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego, wykorzystali przeciwnicy energetyki jądrowej do demagogicznego oskarżenia, że postanowienie o budowie elektrowni jądrowej zapadło w czasie ograniczonej suwerenności państwa i bez możliwości konsultacji ze społeczeństwem. Został zakwestionowany program rozwoju energetyki

jądrowej w Polsce zatwierdzony przez Radę Ministrów i przedstawiony Sejmowi w 1985 r. Program ten przewidywał, że do 2000 r. będą uruchomione: elektrownia jądrowa w Żarnowcu (1860 MWe), druga elektrownia jądrowa w Klempiczu (4000 MWe) i dwa z czterech bloków trzeciej elektrowni (2000 MWe). Dałoby to w sumie 7860 MWe, co stanowiłoby wzrost mocy elektrycznej zainstalowanej w Polsce o 26%.

Likwidacja budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu przekreśliła tę szansę. W chwili likwidacji zaawansowanie budowy wynosiło 36%, a obiekty zaplecza wykonano w 85%. Zbudowano ponad 630 obiektów, wykonano lub unowocześniono ok. 100 km dróg kołowych i 17 km linii kolejowych. Oddano do użytku 1695 mieszkań w 69 budynkach mieszkalnych. Przedsiębiorstwo „EJ Żarnowiec w budowie” zatrudniało 2600 pracowników, w tym ponad 50 wysokiej klasy specjalistów wyszkolonych w różnych krajach świata. W budowę zaangażowanych było ok. 70 przedsiębiorstw krajowych, a z 9 przedsiębiorstwami zagranicznymi zawarto kontrakty.

Najważniejszymi stratami spowodowanymi przez uwieńconą „sukcesem” akcją przeciwko energetyce jądrowej były:

- zniszczenie perspektyw rozwoju energetyki jądrowej w Polsce i zmarnowanie kadry specjalistów, której odtworzenie będzie trudne i długotrwałe. Specjaliści musieli się przekwalifikować lub wyjechać za granicę;
- zmarnowanie szans na poprawę fatalnej struktury podaży energii polskim odbiorcom i na związaną z tym poprawę stanu środowiska naturalnego;
- zaprzepaszczenie korzyści jakie kontynuacja budowy przyniosłaby licznym polskim zakładom przemysłowym kooperującym z przedsiębiorstwem budowy i wdrażającym nowe technologie. W prace na rzecz Żarnowca było zaangażowanych kilkanaście tysięcy osób;
- zmarnowanie ok. miliarda dolarów zainwestowanych w budowę elektrowni;
- wytworzenie w społeczeństwie fałszywego obrazu cywilnej energetyki jądrowej i wywołanie nieuzasadnionego strachu przed jej wprowadzeniem;

Likwidacja budowy elektrowni jądrowej Żarnowiec

Przebieg likwidacji budowy elektrowni mógłby być tematem powieści sensacyjnej. Początkowo wyznaczony termin likwidacji 31 grudnia 1992 r. był odraczany co najmniej 3-krotnie. Zmieniali się likwidatorzy. Funkcje te pełniły na przemian osoby fizyczne i spółki. Powstawały kolejne programy częściowego wykorzystania likwidowanego majątku. Między innymi projektowano przetwórstwo mleka, przetwórstwo ziemniaka, browar, zakłady przemysłu maszynowego produkujące samochody, motorowery, ciągniki rolnicze, przyczepy i koła samochodowe. Powstał pomysł utworzenia specjalnej Żarnowieckiej Strefy Ekonomicznej, w której działałyby: wytwórnia opakowań, przedsiębiorstwa chemiczne, zakłady produkcji mikroelektroniki, komputerów i robotów. Kontrola prawidłowości likwidacji przeprowadzona przez Najwyższą Izbę Kontroli w 1994 r. wykazała wielkie straty pieniężne i zanik zainteresowania kolejnymi projektami.

W latach 1995-96 została utworzona spółka Gazowa Elektrownia Żarnowiec z udziałem kapitału amerykańskiego. Zamiarem spółki jest wybudowanie elektrowni gazowej o docelowej mocy 1000 MW. Uruchomienie pierwszego bloku o mocy 250 MW projektowano po 2000 r. Początkowo rozważano zasilanie elektrowni gazem ze złóż na szelfie Bałtyckim. Zasoby gazu są jednak małe, a koszt budowy gazoociągu wysoki. Zasilanie z polskiego systemu gazowniczego wymaga również budowy specjalnego gazoociągu. Na razie brak jest nawet projektów wstępnych, tak że uruchomienie elektrowni coraz bardziej oddala się w czasie.

Kampania fałszu i demagogii

Wróćmy jednak do wydarzeń z lat 1989-91. Po decyzji o likwidacji budowy elektrowni jądrowej napisałem wspólnie z Profesorem Zygmuntem Kolendą list do redakcji *Tygodnika Powszechnego* pt. „Żarnowiec: porażka rozsądku” (*TP* Nr 3, 1990), w którym wymieniamy *dramatis personae* tj.

osoby za tę porażkę odpowiedzialne. Nie będę ponownie cytować ich nazwisk, bo każdy zainteresowany może je w naszej publikacji znaleźć.

W 1990 r. rząd ugiął się pod presją grup społecznych wprowadzonych w błąd przez nieodpowiedzialne wystąpienia prasowe i publiczne wypowiedzi przeciwników energetyki jądrowej. Wszystkie chwytły były dozwolone ażeby rozognić emocje i stworzyć psychozę strachu, co zaowocowało masowymi demonstracjami, niewybrednymi hasłami malowanymi na murach i płotach oraz zbieraniem tysięcy podpisów pod petycjami. Niechlubną rolę spełniły środki masowej informacji, które oczywiście powinny być dostępne dla przeciwników energetyki jądrowej, ale zwykła uczciwość wymaga od nich przekazu prawdy. Czy redaktorzy czasopism nie rozumieją odpowiedzialności jaka na nich ciąży, gdy w pogoni za sensacją zgadzają się na publikację absurdalnych wystąpień? Myślę, że żadna szanująca się redakcja nie opublikowałaby artykułu, w którym autor napisałby, że Wawel znajduje się w Gdańsku lub, że w Wiśle żyją hipopotamy. Dlaczego podobne nonsensy z zakresu techniki i medycyny są publikowane bez skrpułów?

Można starać się zrozumieć działaczy politycznych, którzy z rezygnacji z budowy elektrowni ukuli hasło wyborcze, ale nadawanie politycznego charakteru postulatowi o dużych ekonomicznych i ekologicznych konsekwencjach dla Polski nie powinno mieć miejsca. Wytwarzanie psychozy lęku dla spektakularnego udowodnienia poparcia społecznego nie było Solidarności potrzebne, gdyż i bez tego związek cieszył się powszechnym uznaniem. Nie można się dziwić stanowisku młodzieży, której wmówiono, że akcja wystąpienia przeciw energetyce jądrowej to sprzeciw wobec władzy komunistycznej i skompromitowanemu systemowi gospodarczemu. Tymczasem Stanisław Lem pisał, że „młodzież nasza powinna była w Żarnowcu demonstrować na rzecz budowy elektrowni atomowej a nie przeciw niej”.

Smutne jest, że tak wielu pracowników nauki włączyło się w kampanię fałszu i manipulacji danymi. Czy zgodnie z etyką uczonego jest zabieranie głosu w sprawach, na których się nie zna? Warto w tym miejscu przytoczyć słowa Józefa Bocheńskiego, który w swej książce „Sto zabobonów” píše

„...profesor wykładający historię nowożytną jest zapewne autorytetem, gdy chodzi o rewolucję francuską, ale nie jest w dziedzinie użytkowania energii atomowej. Skoro więc taki profesor podpisuje razem z kolegami wyspecjalizowanymi w ceramice chińskiej, zoologii, względnie rachunku prawdopodobieństwa, deklaracje dotyczące tej energii, popełnia jaskrawe nadużycie autorytetu, tym gorsze, że wywołuje wrażenie, iż to sama 'nauka' się wypowiada”.

W kampanii przeciw energetyce jądrowej przywoływano pamięć Hiroshimy i Nagasaki oraz skażenie środowiska spowodowane wybuchami bomb atomowych w atmosferze, jak również beztrioskie, w warunkach tajności wojskowej, obchodzenie się z odpadami promieniotwórczymi na poligonach jądrowych i w zakładach wytwarzających broń jądrową. A przecież groźne militarne zastosowania są zupełnie innym obliczem energii jądrowej niż bezpieczna cywilna energetyka jądrowa. Przypomniano katastrofę w Czarnobylu sugerując, że podobne nieszczęście może się zdarzyć w Żarnowcu. A przecież reaktory, które miały być zainstalowane w Polsce są zupełnie innego typu niż reaktory czarnobylskie. Należały do takich samych reaktorów, na jakich oparta jest energetyka w produjących krajach świata. W elektrowniach jądrowych z takimi reaktorami nikt nie zginął wskutek napromieniowania i żadnego z okolicznych mieszkańców nie trzeba było ewakuować. W ferworze ataków na Żarnowiec pojawił się nawet argument o niedopuszczalnej lokalizacji elektrowni, gdyż położona jest jakoby w pobliżu uskoku tektonicznego. Tymczasem eksperci w zakresie sejsmiki i tektoniki stwierdzili, że lokalizacja jest pod względem geologicznym jedną z najlepszych możliwych na terenie Polski. Na marginesie warto przypomnieć, że elektrownia jądrowa położona w pobliżu epicentrum trzęsienia ziemi w Armenii nie została uszkodzona i dostarczała energię elektryczną tak potrzebną dla ratowania ofiar kataklizmu, w czasie gdy nastąpiło odcięcie innych źródeł energii.

Dlaczego Polska nie odczuwa braku energii elektrycznej

Dzisiaj zrozumienie popełnionego w 1991 r. błędu staje się



coraz bardziej powszechne. Osoby odpowiedzialne za decyzję likwidacji elektrowni jądrowej Żarnowiec bronią się utrzymując, że budowa nie była potrzebna, gdyż Polska nie odczuwa braku energii elektrycznej. Jest to argument, który wymaga odpowiedzi.

Odpowiedź jest prosta. Przyczyną jest kuriozalna w Polsce struktura energii finalnej, czyli tej, która jest dostarczana użytkownikom. Energia elektryczna jest najcenniejszą postacią tej energii. Jej wykorzystanie nie zanieczyszcza środowiska, łatwo ją przesyłać, a jej przetwarzanie na energię użytkową (ciepło, światło i ruch mechaniczny) jest bardzo wydajne. Chociaż w krajach rozwiniętych dzięki restrukturyzacji przemysłu i wprowadzeniu energooszczędnych technologii całkowite zużycie energii stabilizuje się, a nawet spada, to zużycie energii elektrycznej stale się zwiększa. Moc zainstalowana w elektrowniach wzrasta i to na ogół w coraz szybszym tempie. W Polsce zużycie energii elektrycznej na jednego mieszkańca jest żenująco niskie. Pod względem podaży tej energii znajdujemy się na 27 miejscu listy krajów europejskich, a nie odczuwamy jej braku, bo ponad 30% energii dostarczanej odbiorcom stanowi węgiel. Ten udział węgla jest pięciokrotnie wyższy niż w krajach rozwiniętych. To znaczy, że oprócz węgla spalanego jako paliwo pierwotne w elektrowniach i elektrociepłowniach zawodowych, gdzie przy wysokich nakładach finansowych można ograniczyć emisję pyłów i szkodliwych gazów, olbrzymie ilości węgla są zużywane w różnych gałęziach przemysłu, spalane w ponad milionie małych rozproszonych kotłowni i w 15 milionach indywidualnych pieców i kuchni węglowych. W przypadku rozproszonych kotłowni i indywidualnych palenisk ograniczenie emisji szkodliwych substancji praktycznie nie istnieje. Zwalczyć tę tzw. „niską emisję” rozprzestrzeniającą się lokalnie, przede wszystkim w miastach, a więc najbardziej szkodliwą, można jedynie przez zmianę struktury energii finalnej. Jeżeli Polska nie ma się stać jednym z najbardziej zacofoyanych i zanieczyszczonych krajów Europy, to węgiel jako postać energii finalnej musi być zastąpiony przez inne jej formy – najlepiej przez energię elektryczną.

Przyszłość polskiej energetyki

Do 2010 r. zużycie energii elektrycznej w Polsce powinno wzrosnąć co najmniej dwukrotnie. Nawet gdyby to się udało osiągnąć, to i tak będziemy się wlec w ogonie rozwiniętych krajów europejskich, których mieszkańcy będą w 2010 r. zużywać średnio 1,5 raza więcej energii elektrycznej. Nadal będziemy mieli kłopoty z wywiązywaniem się z umów międzynarodowych narzucających ograniczenie emisji szkodliwych dla środowiska. Na razie w przemyśle paliwowo-energetycznym redukcja emisji szkodliwych gazów nie przekroczyła 5%. Należy również wziąć pod uwagę smutny fakt, że znaczna część naszych elektrowni węglowych pilnie wymaga kapitalnych remontów. Bilans przedsięwzięć w polskiej elektroenergetyce prowadzi do wniosku, że zakończenie budowy elektrowni ciepłej Opole i szczytowo-pompowej elektrowni wodnej Młoty zaledwie skompensuje wycofywane moce i bez budowy nowych elektrowni moc zainstalowana nie ulegnie zmianie do 2000 r.

Już w najbliższych latach musimy wobec tego rozpocząć budowę nowych elektrowni. Jakie elektrownie powinniśmy budować? Jeśli pominiemy niepoważne projekty oparcia polskiej elektroenergetyki na bateriach słonecznych, wiatrakach lub spalaniu słomy i jeśli uwzględnimy fakt, że niestety nasze rzeki nie niosą dostatecznie dużo energii, żeby elektrownie wodne mogły stanowić znaczące źródło energii elektrycznej, to jesteśmy skazani na elektrownie ciepłe i trzy rodzaje paliw: węgiel, gaz ziemny i paliwo jądrowe.

Należy te trzy źródła energii elektrycznej wziąć pod uwagę i wybrać najkorzystniejszy model rozwoju polskiej elektroenergetyki.

Zastąpienie węgla dostarczanego konsumentom energią elektryczną wymaga, oprócz radykalnego wzrostu mocy zainstalowanych w elektrowniach, takiej zmiany cen, żeby to się opłacało użytkownikom. Dotowanie przez państwo węgla musi być zastąpione dotowaniem energii elektrycznej. Związane z tym problemy nie zmieniają logiki wyводу o pilnej konieczności zasadniczych zmian struktury energii finalnej w Polsce.

Musimy więc przede wszystkim przeprowadzić remonty istniejących elektrowni węglowych i zainstalować w nich wydajne systemy redukcji emisji szkodliwych substancji. Należy jak najszybciej zakończyć wlokącą się latami budowę elektrowni węglowej Opole. Następny krok to budowa elektrowni parowo-gazowych, które są o wiele bardziej proekologiczne niż elektrownie węglowe. Niestety ich funkcjonowanie będzie zależęć od importu gazu ziemnego, co uzależnia naszą energetykę od Rosji, jeśli nie zapewnimy sobie jego dostaw z innych rejonów świata.

Wprowadzenie energetyki jądrowej w Polsce będzie nieuniknione. Jej rozwój i stopniowa likwidacja siłowni węglowych jest wariantem nie tylko najlepszym ze względów ekologicznych, ale również opłacalnym ekonomicznie. Te względy, jak również wyczerpywanie się zasobów kopalnych paliw organicznych, spowodują, że XXI wiek będzie wiekiem energetyki jądrowej.

Jednak żaden z wariantów rozwoju energetyki w Polsce nie może być wprowadzany w atmosferze nieufności do ekspertów i lęku sianego przez nieodpowiedzialne wystąpienia w środkach masowej informacji. Niezbędna jest szeroka akcja uświadamiania społeczeństwa przez kompetentnych specjalistów w dziedzinach związanych z energetyką, z udziałem psychologów i socjologów oraz z uwzględnieniem strony etycznej zagadnienia.

Andrzej HRYNKIEWICZ

Andrzej Z. HRYNKIEWICZ jest emerytowanym profesorem w Instytucie Fizyki Jądrowej im. H. Niewodniczańskiego w Krakowie, dr. nauk matematyczno-przyrodniczych, członkiem rzeczywistym PAN, członkiem czynnym PAU, członkiem tytularnym Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury, przewodniczącym Rady do spraw Atomistyki w Polsce.

Stół prostokątny, czyli Jachranka '97

W dniach 8-10 listopada 1997 r., w podwarszawskiej Jachrance, miało miejsce interesujące spotkanie, a w każdym razie rzadkie (można nawet powiedzieć: unikalne), spotkanie. Uczestniczyli w nim m.in. dowódca i szef sztabu wojsk Układu Warszawskiego, dwaj I Sekretarze KC PZPR, doradcy prezydentów Cartera i Reagana, szef wywiadu wojskowego Stanów Zjednoczonych oraz grono czołowych działaczy „Solidarności”. W sumie dwadzieścia dwie osoby, które brały udział w podejmowaniu lub przygotowywaniu kluczowych decyzji w ramach tego, co enigmatycznie nazywa się „polskim kryzysem” lat 1980-1982.

Nawet najwięksi sceptycy nie negują znaczenia, jakie miała – nie tylko dla Polski, ale dla całego bloku sowieckiego, a w konsekwencji dla późniejszej dezintegracji systemu komunistycznego – „samoograniczająca się rewolucja” „Solidarności” i jej brutalne stłumienie w grudniu 1981 r. Temu, co działo się w Polsce i wokół Polski poświęcono już dziesiątki książek i konferencji, a temat ten zapewne będzie jeszcze niejednokrotnie podejmowany przez różnego rodzaju fachowe grona, aczkolwiek implozja systemu w Europie Środkowo-Wschodniej i w Związku Sowieckim odsunęła „polskie wydarzenia” głęboko w historię. Nie tak jednak głęboką, aby przestały budzić namiętności, a nawet stanowić element aktualnej sytuacji – czy wręcz gry – politycznej. Znajduje to wyraz zarówno w ostrym podziale polskiej opinii publicznej (uwidacznianym w licznych sondażach) wobec tego, co nazywamy w skrócie „sprawą stanu wojennego”, jak

i w inicjatywach parlamentarnych – dawniejszych i obecnych – zmierzających do osądzenia (lub uniewinnienia) jego autorów. Spotkanie, o którym mowa nie było zbiórką kombatantów z przeciwnych stron frontu, którzy przez wspólne rozpamiętywanie tego, co działo się między nimi przed laty, zmierzają do osiągnięcia stanu wzajemnego przebaczenia, tak jak to niedawno próbowali (nieliczni) polscy i niemieccy żołnierze walczący ze sobą w 1939 r. na Westerplatte. Wprawdzie pewne elementy podobnych postaw można było zaobserwować, inicjatorzy i organizatorzy spotkania stawiali mu jednak zadania czysto poznawcze: penetrację wydarzeń z owych lat przy zastosowaniu, dosyć rozpowszechnionej w badaniach nad dziejami najnowszymi, metody tzw. historii mówionej (*oral history*). Polega ona, z grubsza rzecz biorąc, na tym, iż uczestnicy wydarzeń opowiadają – lub jeśli są w grupie rozmawiają – o tym, co ongiś robili. Najczęściej stosuje się „indywidualne odpytywanie”, czego rezultatem są tak popularne ostatnio (w Polsce poczynając od sławetnej „Przerwanej dekady” Edwarda Gierka) „wywiady-rzeki” lub zebrane zapisy osobno przeprowadzanych rozmów (z klasycznymi już „Onymi” Teresy Torańskiej czy „Hańbą domową” Jacka Trznadla).

„Zbiorowe sesje” historii mówionej najczęściej organizowane są w kręgu współkombatantów. Znacznie rzadziej organizowane z udziałem osób uczestniczących w tych samych wydarzeniach po różnych, wręcz przeciwnych stronach. W takim przypadku może dojść nie tylko do pojawienia się „pamięci uzupełnionej”, ale do konfrontacji, której wynikiem będzie zarówno wzbogacenie wiedzy o faktach, jak i – a może: przede wszystkim – o motywach działań oraz o osobowości ludzi, którzy uczestniczyli w wydarzeniach. Ten właśnie aspekt wydaje się być szczególnie istotny i ciekawy, jeśli w grę wchodzi Ważni Aktorzy Ważnych Wydarzeń. Np. tacy, którzy zjechali do Jachranki.

Dla lepszego zrozumienia przebiegu spotkania niezbędne jest jak sądzę wyjaśnienie kontekstu organizacyjnego tej imprezy, co może zresztą także być ciekawym przyczynkiem do poznania „kuchni” badań nad historią najnowszą. Konferencja „Polska 1980-1982: wewnętrzny kryzys, międzynarodowe uwarunkowania” – bo pod takim hasłem odbyło

się to spotkanie – należała bowiem do całego (i nie zakończonego jeszcze) cyklu konferencji dotyczących wydarzeń kulminacyjnych („gorących”) Zimnej Wojny. Odbyły się już debaty: o wojnie w Korei (1950-1953), bezpośrednich reperkusjach śmierci Stalina i powstaniu berlińskim (1953), rewolucji węgierskiej (1956), kryzysie kubańskim (1962), wojnie wietnamskiej (1965-1973) i praskiej wiośnie (1968). Zawsze, jeśli z powodów biologicznych było to możliwe – tzn. czołowi protagoniści wydarzeń żyją i są sprawni – miały one charakter *oral history* lub przynajmniej zawierały elementy tej procedury badawczej.

Systematyczne badania okresu Zimnej Wojny w formie gromadzenia dokumentacji zarówno tradycyjnej (aktowej), jak i „mówionej” oraz przygotowywania publikacji, mających na ogół charakter opracowań źródłowych, ogniskujących się wokół momentów „gorących”, podjęło w 1991 r. grono młodych historyków amerykańskich skupionych w *Cold War International History Project* (CWIHP) przy waszyngtońskim *Woodrow Wilson International Center for Scholars* oraz *National Security Archives* (NSA) afiliowanym przy Uniwersytecie George’a Washingtona. Podstawowego wsparcia finansowego udzieliła i udziela *John D. and Catherine T. MacArthur Foundation*, jedna z instytucji najbardziej aktywnych we wspomaganie badań w zakresie nauk społecznych i humanistycznych, ale na poszczególne części składowe tego ogromnego projektu („wystartował” z budżetem w wysokości 1 mln dolarów) gromadzone są środki pozyskiwane od wielu innych, na ogół znanych, a zawsze bogatych donatorów (np. *Open Society* George’a Sorosa).

Do działania przystąpiono niezwykle energicznie i zarazem – co nie zawsze idzie w parze – rozsądnie. Punktem wyjścia było uznanie, iż zakończenie Zimnej Wojny (przynajmniej w jej dotychczasowej postaci) jest nie tylko dobrym powodem, aby można ją było badać jako zjawisko już zamknięte, ale z uwagi na fakt, że zakończyła się rozpadem imperium sowieckiego i wejściem jego części składowych na drogę transformacji ustrojowej, powstają zupełnie nowe możliwości dotarcia do dokumentów archiwalnych i to po obu stronach niedawnego konfliktu. Drugim założeniem było stwierdzenie, że badania te mogą być skutecznie prowa-

dzone tylko przy ścisłym udziale historyków i archiwistów zza obalonej Żelaznej Kurtyny. Toteż jednym z pierwszych działań zespołu było wysłanie „misji rekonesansowej” do Europy. W ten sposób powstał krąg stałych instytucjonalnych współpracowników, którego trzonem – jeśli chodzi o kraje postkomunistyczne – są trzy instytuty: Historii Rewolucji Węgierskiej 1956 roku w Budapeszcie, Historii Najnowszej w Pradze i Studiów Politycznych PAN w Warszawie. Zapewne nieprzypadkowo pozytywnie na amerykańską inicjatywę odpowiedziały środowiska badawcze, które uzyskały możliwość oficjalnego zorganizowania się po 1989 r., a wszystkie wymienione do takich właśnie należą. Działania prowadzone są równoległe na następujących płaszczyznach:

- Gromadzenie w Waszyngtonie historyków, którzy prowadzą badania indywidualne w stołecznych archiwach oraz uczestniczą w pracach typu seminaryjnego w *Wilson Center*. Szczególną uwagę przydaje się 3-miesięcznym pobytom młodych badaczy z państw postkomunistycznych.

- Wydawanie *Bulletin of CWHIP*, w którym zamieszczane są zarówno materiały źródłowe, jak i opracowania. Niektóre numery biuletynu – ukazało się ich już 9 – mają charakter monotematyczny (np. Zimna Wojna we Wschodniej Azji czy wydarzenia 1956 r. na Węgrzech i w Polsce). Objętość poszczególnych numerów przekracza 200 stron. Rozsyłane są gratisowo.

- Wydawanie serii *working papers*, na którą składają się autorskie referaty (raporty) dotyczące poszczególnych problemów pod warunkiem, że oparte są na nowo pozyskanych dokumentach archiwalnych. Do listopada 1997 r. ukazało się 21 zeszytów, a m.in. „Soviet Aims in Korea and the Origins of the Korean War, 1945-1950. New Evidences from Russian Archives” (Kathryn Weathersby), „Soviet Intelligence and the Cold War. The ‘Small’ Committee of Information, 1952-1953” (Vladislav M. Zubok), „The ‘Iran Crisis’ of 1945-1946. A View from the Russian Archives” (Natalia I. Yegorova) czy „Beijing and the Vietnam Peace Talks, 1965-1968. New Evidences from Chinese Sources” (Qiang Zhai). Także te wydawnictwa rozsyłane są za darmo. Od niedawna zarówno biuletynu, jak i *working papers* są dostępne w Sieci (pod adresem: <http://cwhip.si.edu>).

- Gromadzenie kopii dokumentów dotyczących najróżniejszych aspektów Zimnej Wojny, w tym także materiałów z archiwów Departamentu Stanu, Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Centralnej Agencji Wywiadowczej. Zbiór jest powszechnie dostępny i zawiera grubo ponad 100 tys. stron. Tą „działką” zajmuje się – zgodnie z nazwą – NSA.

- Organizowanie roboczych sesji na szczegółowe tematy związane z historią polityczną świata po II wojnie światowej. Ostatnia z tych sesji (w Budapeszcie, w październiku 1997 r.) dotyczyła źródeł – protokołów, notatek, wspomnień – przedstawiających spotkania Stalina z przywódcami komunistycznymi Europy Środkowo-Wschodniej.

- Organizowanie dużych, zwykle dwu-, trzydniowych konferencji międzynarodowych, poświęconych poszczególnym kryzysom lat Zimnej Wojny, których tematy już wymieniałem. Konferencje te są niezwykle pracowicie przygotowywane, o czym wiem z autopsji, gdyż poza spotkaniem w Jachrance, które wraz z zespołem ISP PAN współorganizowałem, uczestniczyłem w konferencjach nt. rewolty berlińskiej, powstania węgierskiego i wydarzeń 1968 r. w Czechosłowacji. Chodzi nie tylko o to, że referenci i prowadzący obrady są starannie dobierani spośród najbardziej kompetentnych badaczy (w przypadku *oral history* dotyczy to też Aktorów), ale także o fakt, iż konferencje poprzedzone są żmudnymi kwerendami archiwalnymi i wszyscy uczestnicy otrzymują opasłe tomy kserokopii dokumentów, z których zwykle większość w ten właśnie sposób wchodzi po raz pierwszy do obiegu naukowego.

Jeden jeszcze aspekt działalności CWIHP wart jest podkreślenia dla lepszego zrozumienia charakteru całości przedsięwzięcia i przebiegu spotkania w Jachrance: otóż we wszystkich konferencjach poświęconych kryzysom w poszczególnych krajach (NRD, Węgry, Czechosłowacja, Polska) głównym – co nie znaczy, że jedynym – tematem referatów i debat są konteksty międzynarodowe analizowanych wydarzeń, a przede wszystkim stosunek do nich obu Supermocarstw. Stąd też uczestniczą w nich zagraniczni specjaliści nie tylko i nie tyle zajmujący się historią danego kraju, ile tacy, którzy mogą przedstawić stanowisko innych (najczęściej „swoich”) państw wobec konkretnego kryzysu.

Inicjatorzy całości projektu wyszli bowiem ze słusznego, moim zdaniem, założenia, iż nie chodzi w nim o inspirowanie i prowadzenie badań nad wewnętrzną dynamiką wydarzeń – co jest raczej domeną poszczególnych historiografii „narodowych” – ale analizę tego, co działo się „na zewnątrz”, a do czego niezbędna jest z kolei współpraca badaczy z różnych krajów.

Przystępując do organizacji konferencji dotyczącej „polskiego kryzysu” – jej „sztab waszyngtoński” składał się z pięciu osób (mających na głowie inne elementy całego projektu), podobnie liczny był „sztab warszawski”, zaś „dyrygentami” byli Malcolm Byrne z NSA i piszący te słowa – uznaliśmy, iż istnieje wyjątkowa w porównaniu z poprzednimi konferencjami okazja zgromadzenia w jednym miejscu osób, które odgrywały istotną lub wręcz (jak w przypadku przywódców PZPR) kluczową rolę w gremiach decyzyjnych. Toteż postanowiliśmy – przyznam szczerze, że ja właśnie miałem najwięcej zastrzeżeń – nadać całej konferencji charakter „historii mówionej”. Najlepiej może obrazuje sytuację powiedzenie Karola Modzelewskiego, iż w „akwariu”, tj. w środku sali (wokół stołów ustawionych w prostokąt) znajdują się „ryby”, a dookoła (tj. w rzędach z tyłu ustawionych krzeseł) zasiadają „ichtiolodzy”. Z tą jedną różnicą w porównaniu z normalnymi badaniami, iż tym razem „ryby” mówią, a „ichtiolodzy” milczą (i słuchają). Ponieważ wszakże nie byliśmy pewni czy „ryby” się zjawią lub też czy nie nastąpi jakiś incydent, który spowoduje ich zamknięcie lub nawet ucieczkę, w pogotowiu było 15 historyków i politologów (z 9 krajów) z referatami oraz dwa razy więcej takich, którzy byli gotowi wziąć udział w dyskusji nad tym, co usłyszeli z ust konfratrów. Wazni Aktorzy stanęli jednak na wysokości zadania – co nie znaczy, że spełnili wszystkie oczekiwania organizatorów.

Warta osobnego opisu, ale to już raczej piórem biegłego dziennikarza, byłaby historia nakłaniania „ryb”, aby zechciały zjawić się w Jachrance. Dość powiedzieć, że zarówno w Waszyngtonie – który odpowiadał przede wszystkim za Aktorów z Moskwy – jak i w Warszawie musiano wysilić talenty dyplomatyczne, a także wykorzystywać przychylnych pomysłówi pośredników (w przypadku przywódców PZPR

wielkiej pomocy udzielił Andrzej Werblan – równocześnie „ryba” i „ichtiolog”). W sumie z osób, do których zwracaliśmy się odmówili: Barcikowski, Kiszczak, Obodowski, Olszowski i bp Orszulik, a z różnych powodów odwołali uzgodniony już udział gen. Haig, min. Genscher, Zamiatin, Janiszewski, Geremek i Wałęsa.

Pora wymienić już głównych uczestników. W „akwariu” znalazły się następujące osoby: „strona sowiecka” – Georgij Szachnazarow (funkcjonariusz KC KPZS, członek Komisji ds. Polskich, tzw. komisji Susłowa), gen. Anatolij Gribkow (szef sztabu) i marsz. Wiktor Kulikow (głównodowodzący wojsk Układu Warszawskiego), któremu towarzyszył (poza czterema ochroniarzami) asystent z owych lat gen. Anoszkina;

„strona partyjna” – gen. Wojciech Jaruzelski (od lutego 1981 r. premier, a od października I sekretarz KC), gen. Florian Siwicki (wiceminister obrony narodowej), Stanisław Kania (I Sekretarz KC od września 1980 do października 1981), Mieczysław F. Rakowski (od lutego 1981 r. wicepremier) i Stanisław Ciosek (od lutego 1981 r. minister ds. związków zawodowych);

„strona amerykańska” – gen. William Odom (szef wywiadu wojskowego), Stephen Larrabee (pracownik Rady Bezpieczeństwa Narodowego), Jan Nowak-Jeziorański (emerytowany dyrektor sekcji polskiej RWE), prof. Zbigniew Brzeziński (doradca prezydenta Cartera ds. bezpieczeństwa), prof. Richard Pipes (doradca prezydenta Reagana);

„strona solidarnościowa” (z uwagi na bieżące zaangażowania polityczne nie wszyscy jej przedstawiciele uczestniczyli w całości obrad, obsadzając głównie sesje dotyczące bezpośrednio „spraw wewnętrznych”) – Bogdan Borusewicz, Ryszard Bugaj, Wiesław Chrzanowski, Andrzej Celiński, Tadeusz Mazowiecki, Janusz Onyszkiewicz, Andrzej Stelmachowski; na „stałym posterunku” trwali Zbigniew Bujak i Karol Modzelewski.

„Ichtiologami”, którzy mieli do odegrania czynną rolę byli (w kolejności zgodnej z programem obrad): Andrzej Paczkowski, Eugeniusz Duraczyński, Andrzej Friszke, Jerzy Holzer, Andrzej Werblan, Krystyna Kersten, Marek Zgórniak, Jane Curry, Aleksander Smolar, James Hershberg, Ka-

ren Dawisha, Walerij Musatow, Mark Kramer, Wojtech Mastny, Jadwiga Staniszkis i Władimir Zubok. W pogotowiu oczekiwali (z referatami): Dietmar Bingen, Anthony Kemp-Welch, Georges Mink, Oldrich Tuma, Janos Tischler, Detelina Dineva i Włodzimierz Borodziej. Na sali obecni byli ponadto m.in. Csaba Bekes, Tomas Blanton, Matthew Boyse, Malcolm Byrne, Ludwik Dorn, Jerzy Eisler, Timothy Garton Ash, Lech Gluchowski, Jakub Karpiński, Peter Kende, Marcin Kula, Gabriel Meretik, Tomasz Mianowicz, John Micgiel, Christian Ostermann, Vilem Precan, Tina Rosenberg, Grzegorz Sołtysiak, Jean-Charles Szurek, Teresa Torañska, Andrzej Walicki, Edmund Wnuk-Lipiński oraz merytoryczny „sztab warszawski” (Paweł Machcewicz, Krzysztof Persak, Dariusz Stola).

Sala była nagłośniona, w jednym rogu ulokowali się tłumacze kabinowi (angielski, polski, rosyjski), pieczę nad nagraniem sprawowała Nina Smolar, oficjalnym fotografem był Michael Dean, „sztab techniczny” z ISP PAN stanowili Ewa Balcerek, Wanda Jarząbek i Barbara Matyjaszek zarządzani przez Ryszarda Żelichowskiego. Łącznie z nie wymienionymi, na sali zalegał – w momentach „szczytu” – tłumek ponad stuosobowy, który wypełniał także stołówkę, kawiarnię i bar (czynny do 24-ej) dobrze prowadzonego ośrodka konferencyjnego GUS. Większość uczestników mieszkała na miejscu, inni dojeżdżali własnym przemysłem lub mikrobusem, który codziennie o 8-ej rano odjeżdżał spod siedziby ISP PAN. Ośrodek był pod całodobową opieką agencji ochroniarskiej, obok marsz. Kulikowa ochronę osobistą miał gen. Jaruzelski, a pierwszego dnia obrad zostaliśmy zwizytowani przez patrol UOP (z pirotechnikiem włącznie), który spenetrował cały ośrodek oraz zweryfikował „papiery” wynajętej firmy ochroniarskiej. Na parkingu czekał w pogotowiu mikrobus, z uwagi na wiek niektórych uczestników cały czas dyżurował lekarz, kontakt ze światem zewnętrznym – konieczny zwłaszcza w czasie, gdy uczestnicy zjeżdżali na miejsce obrad – zapewniały wynajęte telefony komórkowe. W pokoju sekretariatu konferencji były do dyspozycji kserokopiarki, telefaks, kilka laptopów i komputer z wyjściem do poczty elektronicznej. Na uczestników czekały m.in. 6-kilogramowe skoroszyty z kserokopiami dokumentów (polskich,

rosyjskich, amerykańskich), czeskich, węgierskich, bułgarskich, stopy powielonych (w dwóch językach) referatów, suplementy, które nie zmieściły się w skoroszytach, *working paper* z dwiema ekspertyzami nt. stanu wojennego, świeżo wydany przez Wydawnictwo Sejmowe tom ekspertyz dla Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej oraz specjalnie zrobiony na konferencję wywiad z płk. Ryszardem Kuklińskim. Była też wystawka krajowych i zagranicznych publikacji nt. wydarzeń z lat 1980-1981, „Solidarności” i stanu wojennego (w tym, rzadko dziś dostępne, wszystkie tomy podziemnego Archiwum „Solidarności”).

Na zakończenie konferencji odbyła się sesja publiczna w Pałacu Staszica – poprowadzona przez Timothy Garton Asha – z udziałem prasy, która miała zakaz wstępu do Jachranki, aby „nie płoszyć ryb”. Na sam koniec pozostało przyjęcie (z udziałem zainteresowanego korpusu dyplomatycznego) na Zamku Królewskim, które wydał prezydent Warszawy, Marcin Świącicki. Nie mogę odmówić sobie drobnej uszczypliwości pod adresem mojej macierzystej Akademii Nauk, której zaproszeni przedstawiciele nie zjawili się nawet na bankiecie. Na koniec tej technicznej części warto powiedzieć, że ze strony polskiej, środki (poza ISP PAN, który świadczył „w naturze”) przyznały Komitet Badań Naukowych i Fundacja Batorego. Biorąc pod uwagę rozmiary konferencji i koszty wynikłe z jej charakteru były one niewielkie i pokryły około 10% wydatków. Resztę koledzy amerykańscy wydebili od swoich tradycyjnych sponsorów.

Opisuję to wszystko nie tylko po to, aby chwalić kolegów (i siebie) za sprawne przygotowanie konferencji, ale po to, aby pokazać choć trochę z otoczenia, w którym – i wobec którego – ważni Aktorzy mieli się „wynętrzać”. Przy tego typu konferencjach atmosfera panująca nie tylko między głównymi uczestnikami, ale także wśród publiczności i w całym obiekcie, wydaje się być jednym z ważniejszych czynników warunkujących merytoryczną część spotkania. „Ryby” powinny się czuć swobodnie, ale jednocześnie zdawać sobie sprawę, że uczestniczą nie w kombatanckim spotkaniu, ale w konferencji, której celem jest wyjaśnienie faktów z przeszłości, że są pilnie obserwowane i mogą w każdej chwili zostać zaatakowane – bez zbędnej agresji – przez „ichtiolo-

gów” lub partnerów z „akwarium”. Z uwagi na „skoszarowanie” uczestników, Aktorzy musieli być gotowi do debat także poza formalnym porządkiem dziennym, nie tylko podczas przerw, ale podczas posiłków, spaceru po parku czy późnowieczornej wizyty w kawiarni; dawało to „ichtiologom” rzadką okazję do bezpośredniego indagowania i niejako intymnego kontaktu z przedmiotem badań. Korzystali z tego ograniczeni tylko własną śmiałością (lub bezczelnością). Toteż poza oficjalnymi wynikami konferencji – które ukaza się, mam nadzieję, w postaci trzech tomów (referaty, dokumenty i transkrypt wypowiedzi) – obecni na niej historycy i politolodzy poszerzyli osobistą wiedzę na temat wydarzeń i ich bohaterów. Całość konferencji – zgodnie z przedstawionymi wyżej założeniami tych spotkań – podzielona była na pięć półdniowych sesji (paneli). Dwie pierwsze dotyczyły „wewnętrznych wymiarów polskiego kryzysu”, trzy następne „wymiarów międzynarodowych” z podziałem na: „Związek Sowiecki i kraje Bloku”, „Stany Zjednoczone i zachodni sojusznicy” oraz „Polski kryzys i stosunki Wschód-Zachód”. Każdą sesję otwierała krótka prezentacja tez referatów z wypunktowaniem „białych plam”, sprzecznych interpretacji lub niezgodnych ze sobą przekazów źródłowych. Czyli wskazanie „czego nie wiemy” lub „nie rozumiemy”. Następnie prowadzący sesję otwierał debatę, przy czym pierwszeństwo w niej mieli Aktorzy, z czego – na szczęście – chętnie korzystali.

Rzecz jasna nie udało się utrzymać zaplanowanego podziału na tematy poszczególnych sesji i całość została zdominowana przez kilka problemów, które wracały niemal we wszystkich panelach. Należał do nich przede wszystkim „odwieczny” już dylemat „wejda – nie wejda” – a więc czy stan wojenny był konieczny z uwagi na zagrożenie sowieckie – który górował nad całą konferencją i można powiedzieć, że właśnie jemu była ona *de facto* poświęcona. Co zresztą było o tyle zasadne, iż syntetyzuje on niejako nie tylko zewnętrzne, ale w znacznym stopniu także wewnętrzne mechanizmy ówczesnego „polskiego kryzysu”. Sporo uwagi poświęcono też stanowisku administracji amerykańskiej wobec wydarzeń w Polsce, a w tym kontekście stosunkowo często wracano do sprawy strategii militarnej Moskwy w Europie, a nawet

doktryny wojskowej Kremla (defensywna czy ofensywna). Innym tematem wartym odnotowania była możliwość zawarcia przez PZPR i „Solidarność” „nowego porozumienia” oraz układ sił między radykałami i umiarkowanymi w jednej i drugiej.

W trakcie debat dochodziło niejednokrotnie do spięć – lub jeśli użyć języka psychologii grupowej, najbardziej w tym przypadku adekwatnego, do interakcji werbalno-mimicznych – gdyż każda ze „stron” starała się twardo bronić swego punktu widzenia. Kilka z nich warto przytoczyć, gdyż nie tylko dotyczą meritum spotkania, ale także oddają częściowo jego atmosferę.

Oto Zbigniew Bujak zwraca się do Mieczysława Rakowskiego tymi mniej więcej słowy (te i inne sformułowania przytaczam z pamięci, gdyż transkrypt nie jest jeszcze gotowy, a także lekko ubarwiam): z pewnością byłyby większe możliwości uzyskania porozumienia między nami a wami, które poszerzyłyby pole manewru wobec Moskwy, gdyby zamiast pana kto inny – choćby siedzący obok pana min. Ciosek – odpowiadał za kontakty z „Solidarnością”. Pan, panie premierze, ma po prostu zły charakter i nie dawało się z panem spokojnie rozmawiać. Odniosłem wrażenie, że Rakowski zaakceptował tę ocenę, a w każdym razie nie protestował.

Albo, gdy w kontekście wymiany zdań na temat misji płk. Kuklińskiego Zbigniew Brzeziński rzucił zimno w stronę marsz. Kulikowa: wiedzieliśmy wszystko o lokalizacji punktów dowodzenia Układu Warszawskiego i w trzy godziny po waszym ataku, pan, panie marszałku, by już nie żył.

Czy też gen. Odom, odpowiadając na sarkastyczną uwagę Kulikowa (lub Gribkowa), że amerykańskie satelity szpiegowskie nie były w stanie rozróżnić koncentracji wojsk liniowych od koncentracji podążających na manewry sztabów: pan marszałek ma chyba na myśli możliwości techniczne waszych satelitów?

Lub gdy na gwałtowne zaprzeczenia gen. Jaruzelskiego indagowanego „na okoliczność” dokumentu MSW, z którego wynika, że wprowadzając stan wojenny liczone na to, iż wojska sowieckie będą w pogotowiu na wypadek niepowodzenia, marsz. Kulikow wyciąga czerwony kajet z notatkami

jego adiutanta z pobytu w Polsce w dniach 7-17 grudnia 1981 r. i machając nim stwierdza, że takie uzgodnienia jednak były. (Część tego kajetu udało się wieczorem odbić na kserokopiarce, a w nocy Mark Kramer odczytał grymoły i przetłumaczył na angielski).

Nieźlą, choć oczywiście tylko ironiczną pointę krótkiej, ale intensywnej debaty na temat amerykańskich działań zmierzających do osłabienia Związku Sowieckiego – w której marsz. Kulikow „wyrzucił” Amerykanom, że m.in. podstępnie obniżali cenę ropy na rynkach światowych, aby zmniejszyć dochody dewizowe Moskwy, do czego prof. Pipes chętnie się przyznał – dał Bujak, który w ogóle był bardzo aktywny i w doskonałej formie. Przypomniał mianowicie, że Ameryka i świat demokratyczny dysponowali jeszcze tak świetnym instrumentem do walki z komunizmem, jak obrona praw człowieka, a „Solidarność” powstała i przybrała taki a nie inny kształt w znacznym stopniu w związku z oddziaływaniem tej idei, która była „ulubionym dzieckiem” administracji prezydenta Cartera. Nawiązując do amerykańskiej pomocy dla podziemnej „Solidarność”, Bujak zwrócił się do – paradującego cały czas w uniformie marszałka – byłego dowódcy wojsk Układu Warszawskiego: czy nie sądzi pan, że było to jedno z najtańszych zwycięstw – kosztem dwóch milionów dolarów pokonać marszałka Kulikowa?

Inna – tylko pozornie żartobliwa – sytuacja miała miejsce już nie na sali obrad, ale podczas przerwy, gdy Stanisław Ciosek stwierdził: teraz wiem w jaki sposób mogliśmy was uspokoić i sprowadzić na ziemię „Solidarność” – wystarczyłoby, żeby pana Wałęsę i parę innych osób zaprowadzić na rozmowę z „tymi” marszałkami (tu ruch głowy w stronę stojących opodal Kulikowa i Gribkowa), a natychmiast rzucilibyście się w nasze objęcia.

Gdybyście chcieli posługiwać się pojęciem obiegowym – zresztą od czasu najrozmaitszych, ale na ogół nieudanych rozmów „Rząd-Solidarność” z tamtych lat – można by powiedzieć, że większość wypowiedzianych opinii powinna być zapisana jako „protokół rozbieżności”. Jako organizatorzy nie liczyliśmy wszakże, gdyż nie jesteśmy aż tak naiwni, że Aktorzy dogadają się i napiszą (wypowiedzą) „wspólną historię” owych wydarzeń. Spotkanie miało służyć przede

wszystkim historykom, aby mogli lepiej zrozumieć Aktorów, mieć szansę na wyciągnięcie z nich dodatkowych „zecznań”, a samym Aktorom – przede wszystkim polskim – przecież na pewno nieraz wracającym pamięcią do tego, co działo się „między Sierpniem a Grudniem” (i później) ułatwić poznanie ówczesnych adwersarzy (czy raczej wrogów) i motywów, którymi się kierowali.

Problem kluczowy, czyli „wejda – nie wejda” – jak sądzę – skwitował Szachnazarow stwierdzając: „nie chcieliśmy, ale mogliśmy”. Przebieg całej debaty w tej kwestii można by chyba przedstawić w formie poniższych konkluzji, które formułuję w oparciu zarówno o to, co słyszałem w Jachrance, jak analizę dostępnych tam dokumentów.

Istniały dwie wyraźne fazy taktyki Kremla wobec sytuacji, która powstała w Polsce po sierpniu 1980 r. Pierwsza, nazwijmy ją „partycypacyjną”, zakładała, że polskie przywództwo nie ma możliwości stłumienia „Solidarność” własnymi siłami i niezbędna jest pomoc wojskowa. Wedle, bardzo przekonującej, interpretacji Stanisława Kani polegać ona miała na napływie do Polski – pod pozorem ćwiczeń – wojsk Układu Warszawskiego (jak wynika ze szkicowej mapy, którą widziałem jako ekspert Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej: czeskich na południowym zachodzie, energdowskich na północnym zachodzie, sowieckich na wschód od linii Kraków-Warszawa-Bydgoszcz-Gdańsk plus Północna Grupa Wojsk na Dolnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim) o łącznej liczebności kilkuset tysięcy żołnierzy. Wojska te nie miały wkraczać do miast, ale „zalec” na poligonach i „w terenie”, aby po prostu swoją masą wywierać nacisk zarówno na społeczeństwo i „Solidarność”, aby je „uspokoić”, jak i na PZPR, aby ośmielić ją do zdecydowanych działań typu – jak to się enigmatycznie mówi – administracyjnego (aresztowania, procesy). Działania te przygotowywano mniej więcej od połowy listopada 1980 r., a początek wykonania ustalono na 8 grudnia. Marsz. Kulikow zaprzeczał częściowo tej interpretacji twierdząc, że chodziło o ten sam cel, ale nie planowano wejścia wojsk, a tylko manewry sztabowe na poziomie dywizyjnym i armijnym, a więc liczba żołnierzy miała być znacznie mniejsza (ćwiczący sztab dywizji to, wedle niego, kilkuset oficerów i żołnierzy oraz kilkadziesiąt pojazdów,

sztab armijny – kilka tysięcy ludzi i kilkaset pojazdów). Gen. Gribkow dodawał, że nie było zamkniętych planów wejścia wojsk, a jedynie – jak to określił – „szkice projektów”. Niezależnie od tego czy realny był „wariant Kani” czy „wariant Kulikowa”, w dniu 8 grudnia miały rozpocząć się na całym terytorium Polski ćwiczenia wojsk Układu Warszawskiego pod kryptonimem „Sojuz 80”. Komentatorzy z sali dodawali, że obecność „ćwiczących sztabów” niezwykle ułatwia i przyspiesza ściągnięcie jednostek liniowych podległych ćwiczącym dowódcom.

Jakkolwiek na Kremlu wyróżniano już wówczas „zdrowe siły” w kierownictwie PZPR, najwyraźniej nie zakładano drastycznych zmian na szczytach władzy w Polsce. Niemniej „zalecano” zwiększenie roli wojska i szczególną troskę o integralność i lojalność aparatu bezpieczeństwa. Jak stwierdzał Szachnazarow – uchylający się od wypowiedzi na tematy wojskowe – już wówczas w „pionie politycznym” za niebezpieczeństwo równie groźne co „Solidarność” uważano możliwość „dubczekizacji” partii komunistycznej, ale nie przygotowywano – tak jak w przypadku inwazji na Czechosłowację – ścisłej kontroli nad administracją lokalną i nie planowano użycia środków własnej propagandy (w rodzaju radia „Wełtawa”) dla oddziaływania na polską opinię.

Niezależnie od tego czy amerykańskie satelity rozróżniały kolumny sztabowe od kolumn wojsk liniowych, w Waszyngtonie uznano, iż w każdym przypadku dojdzie nie tylko do stłumienia siłą polskiej opozycji, ale będzie miało miejsce naruszenie równowagi strategicznej w Europie. I to o rozmiarach być może większych niż w 1968 r., gdy jednym z rezultatów inwazji było utworzenie – w pobliżu granic neutralnej Austrii i natowskiej RFN – kilkudziesięcioletniej Środkowej Grupy Wojsk Armii Sowieckiej. Ewentualny napływ na ziemie polskie setek tysięcy żołnierzy sowieckich i rozwinięcie całej infrastruktury dowódczej powodował bowiem, iż wojska drugiego rzutu – rozlokowane dotychczas w białoruskim i zakarpackim okręgach wojskowych – przesunęłyby się o kilkaset kilometrów na zachód i stały się bezpośrednim zapleczem wojsk pierwszego rzutu, czyli grup wojsk Zachodniej w NRD, Północnej w Polsce i Środkowej w Czechach. Wprawdzie zarówno Kania i Jaruzelski, jak i –

oczywiście – Kulikow i Gribkow gwałtownie zaprzeczyli tezie, że doktryna wojskowa Układu Warszawskiego przewidywała wszczęcie działań ofensywnych, nawet w formie „ataku uprzedzającego”, ale Amerykanie (i nie tylko oni) mieli na ten temat odmienną opinię. Jak można wnosić z ich wypowiedzi nawet gdyby zakładać, że wejście takiej masy wojsk do Polski nie ma na celu przygotowań do bezpośredniej agresji wobec Europy Zachodniej (Jadwiga Staniszkis w swej wypowiedzi podczas ostatniej sesji twierdziła, że taki był w istocie strategiczny sens całej operacji „Sojuz 80”), ich obecność – o niemożliwej do przewidzenia trwałości – zmuszałaby do poważnych modyfikacji jeśli chodzi o siłę wojsk lądowych NATO. Dlatego też w pierwszych dniach grudnia 1980 r. Waszyngton – a w szczególności Zbigniew Brzeziński, który jako Polak rozpatrywał rzecz emocjonalnie i nie tylko z uwagi na bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych – podniósł gwałtowny alarm, z użyciem „gorącej linii”, apelem do Jana Pawła II i „przeciekami” do prasy włącznie.

Po dramatycznych rozmowach w Moskwie (5 grudnia), o których wiadomo zarówno ze wspomnień Kania, jak i dostępnych dokumentów, ćwiczenia zostały odwołane. Przy okazji rozmów dotyczących zarówno wydarzeń z grudnia 1980 r., jak i całego kompleksu spraw „wejda – nie wejda”, obaj sowieccy oficerowie prezentowali się jako „gołębie”, stwierdzając m.in., że dowództwo Armii Sowieckiej było przeciwne interwencji w Afganistanie, na co nastawali – i o czym ostatecznie zadecydowali – „starcy z Politbiura”. Wojsko jednak, dodał Kulikow, jest wojskiem i wykonuje decyzje najwyższej władzy politycznej państwa.

Aczkolwiek motywy odwołania ćwiczeń „Sojuz 80” nie zostały całkowicie wyjaśnione – z wypowiedzi można wnosić, iż decyzja ta wynikała z wielu przesłanek, zarówno międzynarodowych, jak i wewnątrzpolских – strategia „partycypacji” nie została zarzucona. Druga próba jej realizacji miała miejsce w marcu 1981 r., gdy tuż po rozpoczęciu – rzeczywiście tylko sztabowych – ćwiczeń „Sojuz 81” doszło do tzw. prowokacji bydgoskiej. Niestety osoby zasiadające po lewej (patrząc z pozycji prowadzącego obrady) stronie „prostokątnego stołu” okazały się z tej okazji nader małomówne. Kulikow sprawiał wrażenie jakby o całej sprawie dowiedział się dopiero

w Jachrance. Kania i Jaruzelski (oraz ich towarzysze) podtrzymywali tezę, że „incydent bydgoski” nie był częścią żadnego z góry zaplanowanego scenariusza i pretekstem do wprowadzenia stanu wojennego, którego ogólne założenia polityczne zostały podpisane przez Jaruzelskiego jako przewodniczącego Komitetu Obrony Kraju i Kanię jako I Sekretarza, dokładnie 27 marca, gdy kraj stał w gotowości do strajku generalnego. Bodaj Jaruzelski zwracał nadto uwagę, że to propaganda „Solidarności” wyolbrzymiła „incydent” gdyż jej radykałowie zmierzali do konfrontacji, a nawet, że to właśnie im był on na rękę, ergo nie można wykluczać podstępnych działań ze strony opozycji. Amerykanie nie mieli w tej sprawie nic do powiedzenia, nic nowego nie wnoszą też ich (odtajnione) źródła, z płk. Kuklińskim włącznie. Ani „strona solidarnościowa”, ani obecni na sali historycy, nie dysponowali niczym więcej niż poszlakowymi dokumentami (partyjnymi i MSW), sprawę więc trzeba było zamknąć. Wątpliwości – których ja osobiście nie mam i uważam hipotezę o zamierzonej prowokacji władzy za najbardziej prawdopodobną – nie zostały jednak rozwiane.

Po kompromisowym (tzw. ugoda warszawska) zakończeniu konfliktu wokół sprawy bydgoskiej, Moskwa zmieniła taktykę i za podstawę dalszego działania wybrała taktykę „asystencji”, która zakładała, iż polskie władze własnymi siłami stłumią „Solidarność”, mając w rezerwie – ale także „za plecami” – wojska sojusznicze. „W tym temacie” – jakby powiedział nieobecny w Jachrance przewodniczący związku – zaczęliśmy wchodzić w obszar ocierający się o psychodramę. Stosunkowo mniej uwagi przyciągnęła sprawa „puczu czerwcowego”, czyli nieudanej próby partyjnych radykałów wysadzenia z siodła tandemu Kania-Jaruzelski, na co posiadali moskiewskie imprimatur. Szachnazarow stanowczo potwierdzał, iż był to okres, w którym na Kremlu szczególnie mocno obawiano się – jak to powiedział – „socjaldemokratów” takich jak Barcikowski, Fiszbach czy Rakowski. Nie było jednak, jak można wnosić z jego słów, „twardej” decyzji o zmianie na szczycie PZPR, a w każdym razie dla jej przeprowadzenia odwołano się tylko do nacisku politycznego (wizyta Susłowa, list do KC PZPR) i propagandowego. Ponieważ zrezygnowano już z „wariantu czechosłowackiego”,

w żadnym razie działania te nie były wspomagane przez specjalny nacisk militarny, nie mówiąc już o wprowadzeniu wojsk. Czy to z racji braku należyte silnego poparcia Moskwy, czy z uwagi na własne słabości, czy też dlatego, że zaatakowani jednocześnie Kania i Jaruzelski razem się bronili, zamiary „betonu” spaliły na panewce. Poza chwilowym zamieszaniem skutek był tylko taki, iż w „dołach partyjnych” zwiększyło się poparcie dla uchodzących za „umiarkowanych”, czyli dotychczasowych koliderów, co najdobitniej wyraziło się w czasie zjazdu PZPR.

Chronologicznie wobec wydarzeń z 1981 r., a niekoniernie przebiegu debaty, tu właśnie rozgorzał spór o to czy – i jakie – były możliwości dojścia do „nowych porozumień społecznych”, tym razem nie między strajkującymi a władzą, a między dwiema największymi siłami *stricto* politycznymi, tzn. zorganizowaną w „Solidarności” opozycją a PZPR. Niestety, wobec nieobecności autorytatywnego przedstawiciela Kościoła Katolickiego i wyważonych wypowiedzi Wiesława Chrzanowskiego, który nie uznawał się za formalnego rzecznika stanowiska Episkopatu, nie udało się dokładniej wnikać w rolę hierarchii w tej sprawie. Zgodnie jednak konstatowano, że zarówno za życia prymasa Wyszyńskiego, jak i po objęciu jego stanowiska przez Józefa Glempa, Kościół dążył wytrwale i stanowczo do znalezienia *modus vivendi* opartego na ustępstwach obu stron. Można było jednak odnieść wrażenie, iż Kościół – podobnie jak kierownictwo PZPR – szczególnie obawiał się opozycyjnej „lewicy laickiej” jako siły nie tylko prącej do konfrontacji, ale także naznaczonej piętnem „anarcho-syndykalizmu”.

„Strona partyjna” z pewnym zażenowaniem – wynikającym, oczywiście, z późniejszych doświadczeń – ale chętnie przyznawała, że traktowała „Solidarność” w kategoriach wroga i nie widziała wówczas żadnych „okoliczności łagodzących” dla liderów i doradców związku. Że język, którego wówczas używano – „kontrewolucja”, „zagrożenie suwerenności”, „siły antysocjalistyczne”, „demontaż państwa” etc. – nie był językiem tylko propagandy, ale odpowiadał widzeniu rzeczywistości, zarówno w skali polskiej jak i ogólnej. Szczególnie Wojciech Jaruzelski, wspomagany mniej lub bardziej zgodnie przez swoich kolegów (a także przez niezbyt przekonującego

Władysława Bakę, który przeprowadził obszerny wywiad nt. planowanych reform ekonomicznych), podkreślał prowokacyjny charakter „marszów głodowych” i „blokady ronda w centrum stolicy” oraz przypominał o rozsypującej się – pod uderzeniami strajków – gospodarce. Nie jestem pewien czy kontrargumenty (np. że owe marsze to była „para w gwizdek” a nie początek rewolty ulicznej czy że straty czasu pracy z powodu strajków stanowiły zaledwie kilka procent „strat normalnych” w gospodarce rozprzężonej przez nieumiejętność rządu do zaradzenia kryzysowi) padające z przeciwnej strony stołu, wpłynęły choć częściowo na jego opinię. Działacze „Solidarności” podkreślali, że choćby z uwagi na brak „siły fizycznej” i dostępu do jakichkolwiek instrumentów władzy, radykalizm niektórych haseł miał charakter werbalny, czy wręcz symboliczny, a po gorączkowych nawet dysputach uchwalane – np. na zjeździe krajowym związku – wnioski i rezolucje były wyraźnie umiarkowane. Zwracano też uwagę, iż program związku oparty był o zasadę własności społecznej i że zawsze stanowczo podkreślano gotowość do zagwarantowania sojuszy z Układem Warszawskim włącznie, przypominając sławetne sformułowanie Jadwigi Staniszkis o „samoostrzegającej się rewolucji”.

Wychodząc od tych konstatacji, niektórzy uczestnicy – szczególnie emocjonalnie wypowiadał się Zbigniew Bujak – uważali, iż to z winy kierownictwa PZPR nie wykorzystano istniejących możliwości posunięcia o krok naprzód kompromisu z Sierpnia '80, co wprost lub pośrednio proponował związek i co spotkałoby się z pozytywnym przyjęciem na Zachodzie i zwiększało szanse w „negocjacjach” z Moskwą. Nie pamiętam już który z przywódców PZPR odpowiedział na to, że ani partia, ani „Solidarność” nie miały żadnej skonkretyzowanej wizji instytucjonalnych form takiego kompromisu, ani scenariuszy jego skutków. Tego samego, mniej więcej, kompleksu spraw dotyczyła – rozpoczęta, o ile pamięć mnie nie myli, przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego – dysputa nad tym, dlaczego Jaruzelski nie wystąpił wobec Breżniewa tak jak Gomułka w październiku 1956 r. wystąpił wobec Chruszczowa, tzn. nie odwołał się do poparcia społeczeństwa przeciwko naciskom Kremla. Po raczej chaotycznej debacie, w której zwracano przede wszystkim uwagę na

odmienności sytuacji zarówno na Kremlu (Chruszczow wciąż nie mający skonsolidowanej władzy i Breżniew „u szczytu jedynowładztwa”) jak i w Polsce (brak jakichkolwiek zorganizowanych form opozycji i PZPR jako jedyna *de facto* siła polityczna w 1956 r. a masowy, zinstytucjonalizowany w „Solidarności” ruch protestu) uznano, iż ta ciekawa kwestia wymagałaby osobnego seminarium. Taki obrót sprawy wyraźnie usatysfakcjonował „partyjną piątkę”.

Zanim przystąpiono do debaty nad okolicznościami wprowadzenia stanu wojennego, niejako *en passant* pojawiła się sprawa zmiany na stanowisku I Sekretarza PZPR. Indagowani (przez Jerzego Holzera, który odwołał się do dokumentów enerdowskich) Kania i Jaruzelski dosyć zgodnie podtrzymywali wersje, iż Kreml nie odegrał w tym czynnej roli – co raczej skwapliwie, ale mimicznie, potwierdzał Szachnazarow – aczkolwiek Kania parokrotnie podkreślał, iż dopóki on stał na czele partii, „ani razu” nie widział konieczności sięgnięcia do rozwiązań przewidywanych na „godzinę W”, na co Breżniew nieustannie nastawał. Obaj stwierdzili, że decydujący był nacisk „aparatu” (partyjnego), który coraz bardziej natarczywie domagał się siłowego skończenia z chaosem i kontrrewolucją, czego Kania nie chciał się podjąć. Jaruzelski dosyć dramatycznie zarysował perspektywę: gdyby nie zdecydował się na przyjęcie stanowiska alternatywą był Stefan Olszowski, co oznaczałoby znacznie ostrzejszy kurs po wprowadzeniu stanu wojennego. Obaj – przynajmniej w optyce obserwatora z boku – zachowywali się wobec siebie lojalnie, a Kania zaznaczając wprawdzie różnice zdań, istniejące między nim a przewodniczącym KOK, czynił to na ogół dyskretnie, a w każdym razie spokojnie. (Był w ogóle jednym z najspokojniejszych, „wyluzowanych”, a przy tym wytrwałych, dyskutantów – zwłaszcza w porównaniu z często reagującymi nerwowo Jaruzelskim i Siwickim czy „kamiennymi” Rosjanami – czym zyskał sobie wyraźną sympatię „ichtiologów”). W pewnym sensie obaj mieli zresztą „wspólny interes” w tym, aby decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego przedstawić jako podjętą w ostatniej chwili i *in extremis*, toteż np. przeszli do porządku dziennego nad pytaniami o znaczenie posiedzenia KOK z 13 września, na którym – jak wynika z przywoływanego na

konferencji protokołu z tego posiedzenia – uznano, że przygotowania zostały zakończone. W ogóle dał się zauważyć lekceważący stosunek zarówno „ludzi z PZPR”, jak i Rosjan do prezentowanych dokumentów. Najczęściej chyba postępował tak gen. Jaruzelski kilkakrotnie negując znaczenie („bez podpisu”, „wtórny charakter”) tekstów, które przeczyły jego słowom. Charakterystyczne jednak, iż mimo próśb zgłaszanych przed konferencją dostarczył tylko jeden cenniejszy dokument ze swoich zbiorów (depeszę wysłannika PRL z Moskwy o przewidywanych na rok 1982 ograniczeniach w dostawach podstawowych surowców), co było, o tyle mankamentem, że nie mieliśmy szans na przeprowadzenie kwerendy materiałów Sztabu Generalnego i do dyspozycji były tylko dokumenty znane niektórym „ichtiologom” (Holzer, Kerstenowa, Paczkowski, Werblan, Zgórnjak) z prac dla Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej.

Wreszcie kulminacyjny temat konferencji (i wydarzeń z 1981 r.) tj. zarządzenie stanu wojennego. Wojciech Jaruzelski przytoczył dosyć obszernie – w ogóle był chyba najczęściej i najdłużej wypowiadającą się „rybą” – cały katalog uzasadnień znany większości obecnych z jego poprzednich wypowiedzi, artykułów i polemik. Dla przypomnienia przytaczam jego najważniejsze punkty (w skrócie, rzecz jasna):

– Gospodarka, pod ciosami strajków i upadku dyscypliny pracy, staczała się w przepaść, a Moskwa szantażowała drastycznym ograniczeniem dostaw ropy i gazu, co w sumie stanowiło, iż groźba chłodu i głodu (ofiar śmiertelnych nie wykluczając) w czasie nadciągającej zimy była całkowicie realna.

– Postępująca radykalizacja „Solidarności”, mająca wyraźne cechy „ucieczki do przodu” (np. postulat społecznej kontroli nad gospodarką, żądanie wolnych wyborów do rad terenowych, domaganie się „wyprowadzenia” partii z zakładów pracy czy referendum ustrojowe) i stałe uciekanie się do broni strajkowej, prowadziły do całkowitej anarchizacji życia publicznego i społecznego, kumulowały napięcie i zapowiadały „konfrontację uliczną”, co nieuchronnie prowadziłyby do zamieszek, a nawet wojny domowej.

– Trwał, a nawet wzrastał się nacisk aparatu – już nie tylko partyjnego i MSW, ale także kadry dowódczej wojska

– na zastosowanie „ostatecznego rozwiązania”. Wojciech Jaruzelski odwoływał się m.in. do odprawy tej kadry, która odbyła się w nocy z 9 na 10 grudnia, ale (niestety) nie przedstawił (nie chciał? nie mógł?) żadnego dokumentu (protokołu, notatki) dotyczącej jej przebiegu.

– Presja ze strony Moskwy była coraz bardziej brutalna, a marsz. Kulikow coraz częściej pojawiał się w Warszawie, by wreszcie 7 grudnia przybyć z ultimatywnym żądaniem i pozostać już do chwili, gdy okazało się, że stan wojenny został w całej rozciągłości wprowadzony. Gdyby nie wprowadzono stanu wojennego wtedy gdy to zostało uczynione lub w najbliższym czasie, tzn. gdyby w Polsce trwała nadal sytuacja patowa, interwencja wojskowa Armii Sowieckiej (z udziałem wojsk czechosłowackich i ernerdowskich) była nieuchronna, a wszystkie przygotowania do niej zostały ukończone.

– I wreszcie: nie było żadnego sygnału z Waszyngtonu – a po wykrzyciu ucieczki płk. Kuklińskiego zakładano, że przywódcy amerykańscy wiedzą dużo (lub wszystko poza datą) o stanie wojennym – iż Stany Zjednoczone wypowiadają się zdecydowanie przeciwko wprowadzeniu *martial law*. Ostatnia, poza normalnymi kanałami dyplomatycznymi, możliwość dyskretnego przekazania opinii miała miejsce 9 grudnia podczas wizyty jednego z polskich wicepremierów w Waszyngtonie. Jaruzelski uznał, iż świadczyło to, że stan wojenny jest „mniejszym złem” także dla prezydenta Reagana.

Dyskusja była, rzecz jasna, nader ożywiona i brały w niej udział bodaj wszystkie „ryby” obecne na sali. W rzeczywistości odbyła się ona w kilku turach, gdyż niektóre elementy były poruszane nieomal od początku konferencji, co zresztą zapoczątkował sam Jaruzelski w swym pierwszym, solennie odczytanym oświadczeniu. Dwie sprawy z tej listy były szczególnie intensywnie „obrabiane”. Najpierw do kontrataku przystąpiła strona „solidarnościowa” i historycy zwracając uwagę m.in. na fakt, iż za „chaos gospodarczy” odpowiadały w pierwszej kolejności władze czy że Związek Sowiecki zapowiedział identyczne – a wobec niektórych państw nawet dalej idące – ograniczenia wobec wszystkich „klientów” z RWPG, a więc nie chodziło tu wyłącznie o szantaż polityczny. Podkreślano też, iż „Solidarność” nie mniej niż władze zatroskana była trudnościami bytowymi i

przygotowano nawet „akcję zima”, która miała pomóc biedniejszym i emerytom w przetrwaniu.

Karol Modzelewski indagowany o swoje słynne powiedzenie – podczas radomskiego posiedzenia władz związku – „bój ich to będzie ostatni”, ripostował, iż prawidłowym kontekstem było wypowiedzenie wojny przez PZPR, i miało oznaczać, że partia wojnę tę przegra, a nie że „Solidarność” rozpocznie rewolucję. Podkreślano też defensywny charakter uchwał radomskich, które zapowiadały obronę związku przed „siłowym” atakiem, coraz bardziej prawdopodobnym po zakończonym sukcesem złamaniu przez jednostkę specjalną MSW strajku w szkole pożarnictwa. To chyba Zbigniew Bujak – ówczesny przewodniczący Regionu Mazowsze, a więc szczególnie „brany na widelec” z racji planowanej na 17 grudnia manifestacji ulicznej w Warszawie – zwrócił uwagę, że w ostatnich tygodniach (i dniach) przed wprowadzeniem stanu wojennego, „Solidarność” w istocie tylko odpowiadała na konfrontacyjne posunięcia władz i nie przygotowywała się do żadnej „akcji fizycznej”, o czym – tak zawsze dobrze poinformowana (np. przez tego samego tajnego współpracownika, który nagrał przebieg spotkania w Radomiu) – SB powinna wiedzieć. Kierownictwo partyjne dążyło jednak do eskalacji, która miała dać pretekst do wprowadzenia stanu wojennego, a przy okazji było więzaniem zarządzanej przez siebie propagandy, która operowała absurdalnymi i całkowicie nieprawdziwymi zarzutami („bojówki”, „listy proskrypcyjne” etc.)

Nie wydaje się, aby „strona partyjna” została tymi argumentami przekonana, choć – jak już wspomniałem – późniejsze doświadczenia czyniły ją skłoną do uznania, iż być może przeceniano faktyczne zagrożenie i nie potrafiono wyzwolić się spod oddziaływania ideologicznych klisz. Odniosłem, być może mylnie, wrażenie, iż część argumentów – zwłaszcza Modzelewskiego czy Bujaka – nie trafiała też do przekonania prof. Chrzanowskiego, który zresztą przez cały czas trwania „solidarnościowego karnawału”, należał do najbardziej ostrożnych i nieufnych wobec „lewicy laickiej” doradców związku. Co zresztą było całkowicie zgodne z linią Kościoła. W każdym razie profesor przypomniał ostrzegawcze wystąpienie grupy doradców podczas ostatniego (11-12

grudnia) posiedzenia Komisji Krajowej „Solidarności”, którzy nawoływali – podobnie zresztą czynił Lech Wałęsa – do „opamiętania”.

Więcej emocji wzbudziła, oczywiście, sprawa roli Moskwy we wprowadzaniu stanu wojennego – i inne konteksty międzynarodowe – co było o tyle bardziej naturalne, iż angażowała ona wszystkie „strony” zebrane w Jachrance, podczas gdy spory wewnętrzne toczyły się w istocie bez udziału Rosjan i Amerykanów. Zarówno Szachnazarow, jak i sowieccy wojskowi twardo podtrzymywali tezę, iż w grudniu 1981 r. – w odróżnieniu od grudnia poprzedniego roku – nie było planowane uderzenie na „Solidarność” pod osłoną wojsk sowieckich czy Układu Warszawskiego. Z ich wypowiedzi, które znajdują potwierdzenie w znanych już (jednak nielicznych i być może nie najbardziej reprezentatywnych) dokumentach „komisji Susłowa” i protokołach posiedzeń Politbiura, wynika, iż „ścieżka decyzyjna”, na końcu której miał się znajdować rozkaz o rozpoczęciu akcji wojskowej – wedle modelu czechosłowackiego z 1968 r. czy nawet tego z zimy 1980 r. – nie została wszczęta. Jedyne, co postanowiono – jak sugerował Kulikow: z niechęcią i na prośbę Warszawy – ale decyzji politycznej jeszcze nie podjęto, to ewentualne wprowadzenie wojsk na wypadek niepowodzenia stanu wojennego. Wzbudziło to, jak wspominałem, nieomal żywiołowy protest obu polskich generałów, którzy kategorycznie stwierdzili, że prośby takiej nie składali. Bardziej analitycznie do sprawy podszedł Szachnazarow, który próbował określić jakie wydarzenia w Polsce mogły spowodować, aby „nie chcieliśmy, ale mogliśmy” przekształcić się we „wchodzimy”. Jego wypowiedzi i opinie obu wojskowych można by streścić w następujący sposób: interwencja byłaby konieczna gdyby:

a) Władzę w PZPR przejęli „socjaldemokraci”, co prowadziłoby do zmiany orientacji Polski i prób wystąpienia z Układu Warszawskiego, a więc podważenia globalnej strategii Moskwy. Prawdę powiedziawszy jego wypowiedź nie była – przynajmniej dla mnie – całkowicie jasna: niknęła w niej bowiem „Solidarność”, mówca nie sprecyzował czy zagrożenie to występowało także w listopadzie-grudniu 1981 r., a ponadto albo Szachnazarow, albo inny z Rosjan wspomniał,

że w 1968 r. opuszczenie Układu planował Dubczek, co nie jest zgodne z prawdą. Niemniej wydaje się oczywiste, iż na Kremlu bardzo obawiano się ewentualnego sojuszu partyjnych „liberałów” z „Solidarnością”, który *nota bene* był niezwykle mało prawdopodobny.

b) Doszło do zamieszek, krwawych starć i zablokowania komunikacji Armii Sowieckiej na liniach wiodących do NRD. Chaos w Polsce wywołałby zaniepokojenie światowej – a przede wszystkim zachodniej – opinii publicznej i Moskwa wystąpiłaby *de facto* (a może nawet *de jure*, tj. z upoważnienia ONZ) jako siła pacyfikująca sytuację. Ktoś z sali dorzucił porównanie z sytuacją w Bośni.

W związku z pytaniami o rolę „zdrowych sił” w PZPR opinia Rosjan była – mniej więcej – następująca: wiedzieliśmy, że są tacy ludzie, ale nie prowadziliśmy bezpośrednich rozmów z nimi, czym zajmowali się raczej towarzysze z NRD, w ogóle bardzo aktywni w sprawie sytuacji w Polsce. Obaj oficerowie, ze szczerym przekonaniem, wygłosili płomienną nieomal pochwałę gen. Jaruzelskiego jako „prawdziwego polskiego patrioty i dobrego komunisty”, czym wprawili generała w poważne zakłopotanie, gdyż wyglądała ona na „pocałunek śmierci”.

Wojciech Jaruzelski i jego koledzy (może poza Kanią i Cioskiem, którzy w tej sprawie wypowiadali się oszczędniej) zdecydowanie twierdzili, iż jedną z najważniejszych – chwilami wyglądało tak, jakby najważniejszą – przesłanek wprowadzenia stanu wojennego były właściwie niezawołowane groźby Moskwy wprowadzenia wojsk „bez wiedzy i zgody” przywództwa PZPR. Argumentację opartą na analizach protokołów z grudniowych posiedzeń Politbiura, którą wspierały wypowiedzi Rosjan obecnych w Jachrance, odrzucano, doszukując się manipulacji w zestawie dokumentów przekazanych swego czasu przez Jelcyna (rzeczywiście nie ujawniono do tej pory protokołu z posiedzenia w dniu 8 grudnia, podczas którego sprawy polskie były – o czym wiadomo z protokołu następnego posiedzenia – omawiane) i podkreślając siłę nacisków z Moskwy. Nie docierały też żadne sygnały, iż w kierownictwie sowieckim istnieją jakiegokolwiek rozbieżności wobec sytuacji w Polsce. W wypowiedziach Jaruzelskiego tkwiła dosyć oczywista sprzeczność, gdyż jednocześnie mocno

podkreślał (zresztą czynił to stale, łącznie z orędziem z 13 grudnia 1981 r.), że decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego była całkowicie „suwerenna”. Z czego można by wnosić, że zdanie Moskwy nie było decydujące. Przynajmniej jeśli chodzi o wybór momentu.

Innym elementem tej debaty było stanowisko Stanów Zjednoczonych: sprawa nieuprzedzenia „Solidarności” o przewidywanym – a znanym w Waszyngtonie – zasięgu dyspozycji stanu wojennego, jak też niepodjęcie alarmu tego rodzaju, jaki podjęto rok wcześniej. W wypowiedziach Amerykanów – przede wszystkim Brzezińskiego i Pipesa – znalazły się znane już argumenty o obawie, iż związek uprzedzony o rzeczywistych zamiarach władz mógłby zorganizować opór, co prowadziłoby do całkowitej destabilizacji sytuacji w Polsce i skłoniło Moskwę do interwencji. Prof. Pipes wskazał też na pewien – mówiąc łagodnie – bałagan w urzędach Białego Domu i fakt, iż informacje przekazane już ustnie przez płk. Kuklińskiego „nie przeszły” przez służby Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ale trafiły wprost do prezydenta. Tak czy inaczej, decyzja o „ciszy” zapadła na najwyższym szczeblu. Gen. Jaruzelski interpretował to, rzecz jasna, na swoją korzyść, jako amerykańską opcję za wewnątrzpolskim rozwiązaniem, a nawet za zdezawuowanie „Solidarności” przez jej „amerykańskich protektorów” (moje sformułowanie). Aczkolwiek organizatorzy zakładali, że podczas konferencji poruszone zostaną także problemy samego stanu wojennego, w tym także reakcje zagraniczne – na wschodzie (politycznym, a niekoniecznie geograficznym) i na zachodzie – ale nie starczyło już na to czasu. W ogóle znaczny kłopot prowadzącym poszczególne sesje, ale także uczestnikom i obserwatorom, sprawiało częste przechodzenie od spraw i konstatacji natury ogólnej do spraw szczegółowych. Chwilami odnosiło się wrażenie, że spotkanie powinno trwać nie dwa i pół, ale co najmniej 5-6 dni, a i tak nie omówiono by całego kompleksu wydarzeń. Kiedy indziej, zwłaszcza wówczas gdy niektórzy Aktorzy – najczęściej gen. Jaruzelski i gen. Gribkow – występowali z przygotowanymi deklaracjami (Gribkow zaczął czytać referat o... Jałcie, co prowadzący stanowczo mu przerwał), powstawała obawa czy cała ta konferencja ma sens.

Mimo, iż starałem się przedstawić w miarę systema-

tycznie – a nawet schematycznie – przebieg debaty, z pewnością ominąłem niektóre ważne wątki i interesujące (lub pikantne) opinie. Częściową odpowiedź na to da dopiero lektura materiałów konferencji. Częściową – gdyż bardzo wiele „działo się” poza salą obrad, w rozmowach *tête à tête* lub odbywanych w małych i zmieniających swój skład grupkach. Wiem też, że niektórzy z „ichtiologów” umówili się z niektórymi „rybami” na osobne spotkania. Tak więc plon spotkania w Jachrance będzie zapewne bardziej obfity niż to co wyczytamy z planowanych publikacji. Jest mi, jako współorganizatorowi, niezręcznie podnosić zalety tego przedsięwzięcia, ale większość opinii, które do mnie dotarły – od obecnych na miejscu – były bardzo pozytywne, a niektóre wręcz entuzjastyczne. Jako organizatorzy wyciągnęliśmy z tego prosty wniosek, że konferencje na temat implozji systemu komunistycznego, które odbędą się w latach 1999-2000, powinny mieć podobny kształt do spotkania w Jachrance: odbędą się przy „prostokątnych”, a nie przy „okrągłych” stołach.

Andrzej PACZKOWSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Mój Stanisławów (2)*

Koniec wojny zastał mnie w austriackiej miejscowości Mattighofen, niedaleko Braunau, gdzie urodził się Adolf Hitler. Za sobą miałam koszmar lat, przeżytych w okupowanej Warszawie i półtora roku spędzonego „na robotach”. Przeżyłam dzięki ludziom, których nie zapomnę i wbrew tym, o których nie chcę pamiętać.

W maju 1945 roku zgłosiłam się do amerykańskiego obozu DP na powrót do domu, którym wbrew logice i faktom ciągle jeszcze był Stanisławów.

Do Polski wróciłam w październiku. Tam, w zniszczonej, zrównanej z ziemią Warszawie dowiedziałam się, że Stanisławów znalazł się po drugiej stronie granicy.

Zostałam w Warszawie. Życie moje potoczyło się tak, jak życie wielu moich rówieśników w powojennej Polsce: studia, praca, codzienne radości i smutki, zrywy młodzieńczego entuzjazmu, przeplatane okresami zwątpień. Normalna, w miarę ustabilizowana egzystencja. Stanisławów jednak na zawsze pozostał moją ziemią niezapomnianą).

W roku 1954 wyszłam za mąż. Mąż miał swoje własne przeżycia wojenne, z wieloletnim pobytem na Syberii włącznie. Mogliśmy mówić ze sobą o wszystkim. Był tym, który cierpliwie wysłuchiwał nie kończących się opowiadań o moim Stanisławowie. Słuchał ich zresztą przez następnych czterdzieści lat.

W 1968 roku, jak wielu innych Żydów musieliśmy opuścić Polskę. Wyjechaliśmy z jednokierunkowym dokumen-

* Część pierwszą drukowaliśmy w *Kulturze* nr 7/598-8/599 (1997).

tem podróży, bez prawa powrotu, opuszczając Warszawę, która przez dwadzieścia trzy lata była naszym domem. Zabraliśmy ze sobą dwoje dzieci i gorzki smak doznanej krzywdy.

Losy zagnały nas do Australii. Osiedliśmy w Melbourne. Zapaściliśmy tu nasze korzenie.

Dokładnie dwadzieścia lat od wyjazdu z Warszawy, w zmieniającej się sytuacji politycznej, pojechaliśmy do Polski.

Jeździmy tam teraz regularnie co dwa-trzy lata.

Po pięćdziesięciu latach niespełnionych marzeń nowo powstały konsulat ukraiński w Warszawie wydał nam wizę wjazdową do Stanisławowa!

Pociąg na trasie Legnica–Kijów zbliżał się do Lwowa. W wagonie, a może nawet i w całym pociągu byliśmy sami. Wojska sowieckie niedawno opuściły Legnicę, gdzie stacjonowały ponad czterdzieści lat i ruch na tej trasie był znikomy.

Przebycie odległości trzystu kilometrów zajęło nam dwanaście godzin, w tym nie kończący się postój na granicy. Przez okno widzieliśmy długi sznur autobusów i ciężarówek: dla nich czas oczekiwania na przejściu granicznym trwał trzy albo cztery doby.

Po dalszych kilku godzinach pociąg zwolnił biegu i powoli wtoczył się na stację. Oboje pamiętaliśmy ten dworzec z dawnych czasów: wspinały budynek z oszkloną półkolistą halą wjazdową, i jedyny, niepowtarzalny zapach Lwowa.

Szklany dach jak dawniej rozpina się nad peronem; ponad nim przewala się ogromna ciżba podróżnych. Ludzie śpieszą w różnych kierunkach; niektórzy siedzą na walizkach, inni leżą na gołej ziemi. Ciężki zaduch wisi w powietrzu.

Do Stanisławowa pozostało nam już tylko osiemdziesiąt kilometrów!

...Do centrum miasta wjeżdżamy ulicą Kamińskiego. Jesteśmy teraz na Sapieżyńskiej, rozglądam się, patrzę w prawo i w lewo. Nie wierzę własnym oczom, chyba mam gorączkę: mam nieodparte wrażenie, że patrzę na dobrze znaną dekorację teatralną. JEST WSZYSTKO! Z daleka widzę zieloną kopułę na rogu Sapieżyńskiej i Trzeciego Maja. Po obu stronach jezdni te same znajome kamienice, te same, tylko większe drzewa...

Dzień pierwszy

Stoimy na rogu Sapieżyńskiej i Trzeciego Maja. Mój wyśniony, wymarzony dom. Wygląda dokładnie tak jak kiedyś; kamienne gorgony zdobią wysokie okna – sześć od frontu, reszta za rogiem od ulicy Szydłowskiego. Na parterze wystawy dawnego sklepu z kryształami Snihułowicza, teraz gigantyczny salon fryzjerski „Czarodijka”. Nie ma już kawiarni Kramarczyka. Fasada domu dobrze utrzymana. Po murze pną się zielone liście bluszczu. Przy bramie tabliczka z napisem „Pamiętka architektury”.

Wchodzimy na podwórko. Tam gdzie rósł karłowaty krzak bzu stoi jakiś nisko rozkraczony budynek. Podwórko jak dawniej wybrukowane kocimi łbami, pomiędzy których wyrastają rzadkie kępy trawy. W górze ganek kuchenny, gdzie kiedyś wietrzyły się kolorowe pierzyny. Teraz wisi tam kilka sztuk suszącej się bielizny.

Wracamy do bramy i frontowym wejściem wspinamy się na pierwsze piętro. Schody sfatygowane, znikły gdzieś mosiężne gałki na poręczach.

Drzwi naszego mieszkania... Ciężkie, rzeźbione, solidne, teraz tylko zamalowane brzydką zieloną farbą. Na drzwiach pięć dzwonek i pięć wizytówek, wypisanych cyrylicą.

Kiedyś, przeszło sto lat temu w tym mieszkaniu i za tymi drzwiami mieszkali i zmarli moi dziadkowie.

W mieszkaniu tym, począwszy od wczesnych lat dwudziestych, już po śmierci dziadków, mieszkali moi rodzice. Tu także spędziłam najwcześniejsze lata mego beztroskiego dzieciństwa. I chociaż później przeprowadzaliśmy się wielokrotnie – to właśnie był DOM.

...Nie, nie nacisnęłam żadnego z pięciu dzwonek na drzwiach...

●
Idziemy na miasto. Wychodzimy Sapieżyńską w prawo, widzimy księgarnię – kiedyś była to księgarnia Hasklera. Na rogu dawny Bank Hipoteczny, naprzeciw Gimnazjum Męskie, teraz jakiś urząd. Uliczka między Bankiem a Gimnazjum

proceedzi do Placu Mickiewicza, gdzie, jak dawniej, stoi spiżowy pomnik wieszczu.

Skręcamy znów w Trzeciego Maja. Tu powinna być moja szkoła. Podchodzimy bliżej – jest, stoi, dawna szkoła im. Królowej Jadwigi. Wydaje się trochę mniejsza i znikły gdzieś drzewa morwowe o słodkich białych owocach, ale to ta sama stara szkoła, z którą wiąże się tyle wspomnień. Chcę wejść do szkoły, znaleźć swoją klasę. Niestety, są wakacje i szkoła jest zamknięta.

Skręcamy teraz na Sobieskiego. Chcę pokazać mężowi dom, w którym umarła Mama. Stajemy przed numerem 41. To tu. Dom wygląda tak samo, widzę okna naszego mieszkania i balkon...

Idziemy dalej. Gdzieś niedaleko powinna być krótka uliczka św. Józefa, dochodząca do Sapieżyńskiej i łącząca się z ulicą Trzeciego Maja. Na rogu stała kamienica dentysty, dr. Harnika. W sąsiednim domu mieszkała moja nauczycielka, pani Wolańska, a na rogu Sapieżyńskiej mieściło się kasyno oficerskie...

Rzeczywiście, dochodzimy do ul. Św. Józefa. (Naturalnie wszystkie ulice mają zmienione nazwy.) Skręcamy w Sapieżyńską i nie przechodząc jezdni zmiernamy w kierunku ulicy Lipowej. Zaraz za rogiem powinna być apteka – jest. Dalej było kino „Urania”, do którego chodziłyśmy z Lidką. Budynek stoi, ale zamiast kina mieści się tu teraz teatr lalek „Skazka”. Obok księgarnia – dawna księgarnia Bodeka, w której kupowało się szkolne książki. Następny dom w remoncie i jeszcze dwie kamienice, których dobrze nie pamiętam.

Idziemy teraz przez ulicę Kraszewskiego. Kamienica, do której podchodzimy nie zgadza się z moimi wspomnieniami. Fasada zmieniona, przez okna wystawowe zamiast wnętrza wytwornej kawiarni widać coś pośredniego między jadłodajnią a herbaciarnią. Szkoda.

Na następnym rogu dawny hotel „Union”. Właścicielem tego budynku był ostatni burmistrz Stanisławowa, Chowaniec. Należała do niego również jedna ze stanisławowskich drukarni, a w Jaremczu piękna willa „Chowańcówka”. Naprzeciw „Unionu” dawny sklep Hauswalda.

Skręcamy w Gosławskiego. Stoi tu budynek nowej pocz-

ty; naprzeciw był kiedyś sklep bławatny braci Dermanów i sklep „Karibi”, gdzie Mama kupowała włóczkę. Dalej dawny sklep futer Freundlicha i księgarnia Jasielskiego, teraz biuro podróży.

Jesteśmy zmęczeni. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Postanawiamy wrócić do hotelu. Właściwie chcieliśmy zatrzymać się w hotelu „Union”. Stamtąd jednak odesłano nas do „Ukrainy”, nieciekawego wytworu budownictwa socjalistycznego na drugim końcu Sapieżyńskiej. Mimo ważnej wizy pobytowej i tu nie wiedziano co z nami zrobić – najwidoczniej brak jeszcze przepisów, jak traktować zachodnich turystów. Musieliśmy osobiście udać się po zezwolenie na meldunek do miejskiej komendy milicji i dopiero wtedy zostaliśmy wpuszczeni do hotelu.

„Ukraina” stoi na terenie dawnego cmentarza katolickiego. Resztę cmentarza zamieniono w park. Zachowało się kilka najstarszych pomników, służących jako elementy dekoracyjne.

Kiedyś naprzeciw cmentarza katolickiego mieścił się stary cmentarz żydowski. Był tam podobno grób jakiegoś słynnego cadyka. Tam też pochowany został mój braciszek Maniuś. Kilka lat przed wojną, z braku miejsca cmentarz został zamknięty i chowano tam już tylko co bardziej zasłużonych. Powstał wtedy nowy cmentarz za rzeką Młynówką, który tak tragicznie zapisał się w mojej pamięci.

Niestety, grobu Maniusia nie możemy odwiedzić. Na miejscu starego cmentarza stoi teraz brzydki budynek kina „Sputnik”.

Dzień drugi

Dziś chcemy odwiedzić dom przy ulicy Sapieżyńskiej 29, do którego wprowadziliśmy się po śmierci Mamy. Z niego właśnie w 1941 roku zostaliśmy wyeksmitowani przez władze sowieckie. Kamienica stoi bardzo blisko skrzyżowania z ulicą Trzeciego Maja. Stajemy przed bramą. Dobrze utrzymany fronton, w doniczkach kwiaty. Na bramie domofon, więc nie możemy nawet wejść na klatkę schodową.

Idziemy więc dalej, na ulicę Lipową. Boję się trochę konfrontacji z tym ostatnim adresem.

Przechodzimy koło poczty na Sobieskiego. Mijamy wystawę sklepu konfekcyjnego starego pana Papiera. Dalej okna Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Feniks”, którego wujek Broniek był prokurentem. Na rogu dawny hotel „Warszawa”.

Wchodzimy w piękną, wysadzaną starymi drzewami ulicę Lipową. Seminarium duchowne po lewej stronie zostało zamienione w koszary.

Dochodzimy do rogu Lipowej i Gillera. Było tu kiedyś takie miejsce, gdzie można było kupić stanisławowski przysmak – wspaniałą, gorącą kartoflanik...

Idziemy w kierunku parku. Dochodzimy do domu oznaczonego numerem sześćdziesiąt trzy. Z tym domem związane są najośniejsze wspomnienia.

Tu mieszkaliśmy do roku 1940 razem z rodzicami Pepy. Z okien naszego mieszkania na drugim piętrze zobaczyliśmy pierwszych Niemców w 1941 roku.

W kilka tygodni później z tego domu wyszedł mój Ojciec i nigdy już więcej nie powrócił. Kilka lat po wojnie dowiedziałam się, że zginął godnie, z podniesioną głową, zastrzelony na miejscu przez szefa gestapo, Obersturmbahnführera Krügera. Wszyscy inni, około tysiąca osób, zostali wywiezieni do lasu w Pawełczu i tam rozstrzelani. 12 października 1941 roku z tego właśnie domu zostaliśmy wypędzeni na ulicę i prowadzeni na cmentarz żydowski za miastem, gdzie około dwunastu tysięcy ludzi zostało rozstrzelanych i wrzuconych do zbiorowej mogiły.

I w tym właśnie domu w grudniu 1941 roku rozstałam się z Pepą, aby pójść z nieznanym Ukraińcem, który mnie wywoził ze Stanisławowa¹.

Długo stoimy przed domem. Brak mi odwagi, aby wejść chociaż do bramy...

Idziemy dalej. Jesteśmy już blisko parku Romaszkana. Mijamy piękne domy-wille. W najładniejszej mieszkała rodzina Margoszelesów, właściciele garbarni; szef gestapo Krüger zajął ją później na swoją kwaterę.

Przed wojną były tu właściwie dwa parki – „stary” – po lewej stronie, i „nowy” – ze stawem – po prawej. Teraz oba par-

1. Pepa wraz z rodzicami, siostrą i bratem zginęła w getcie stanisławowskim.

ki zostały połączone. Przed wejściem do dawnego „nowego” parku stał Pomnik Grunwaldzki – wysoka kolumna z orłem. Kolumna stoi, orła już nie ma. Ale park jest bardzo piękny.

Dzień trzeci

Wizytę na cmentarzu odsuwamy o jeszcze jeden dzień. Tymczasem idziemy w stronę rynku. Za sklepem Hauswalda był kiedyś sklep ze sprzętem elektrycznym, który prowadzili dwaj bracia – obaj rudzi. Dalej sklep z włóczkami „Trójkąt w Kole” i sklep futer „Alaska”. Przed rynkiem, na Placu Piłsudskiego stała bardzo duża cerkiew, za nią I Gimnazjum, a później stary kościół – fara.

Podchodzimy bliżej, do świeżo odremontowanej katedry ormiańskiej. Naprzeciw piękny budynek cerkwi greko-katolickiej. Idziemy dalej, dochodzimy do katedry rzymsko-katolickiej. Tu właśnie, na początku każdego roku szkolnego odbywały się nabożeństwa międzyszkolne. Uczestniczyli w nich uczniowie wszystkich wyznań. Nabożeństwa odbywały się także z okazji niektórych świąt państwowych; dobrze pamiętam nabożeństwo żałobne po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Chcę wejść do środka, ale drzwi są zamknięte. Na murze tabliczka z napisem „Ateistyczeskij muzej” – jeszcze jedna pozostałość okresu socjalizmu...

Pamiętam, że niedaleko mojej szkoły, naprzeciw teatru im. Moniuszki, stała kiedyś postępową synagoga, zwana Templum – okazały budynek dwufrontowy, z głównym wejściem od ulicy, prowadzącej do rynku. Była to synagoga rabina Berysza, który także uczył religii w gimnazjach państwowych.

Oczywiście nie spodziewam się, że synagoga ocalała. Widzieliśmy, co się stało ze starym cmentarzem żydowskim; dziś rano oglądaliśmy puste miejsce po dawnym żydowskim szpitalu i nowo powstały teatr na miejscu budynku dawnego kahału. Ale chcę przynajmniej zobaczyć to miejsce, choćby dlatego, że mój dziadek, Salomon Gelehrter był jednym z założycieli tej synagogi.

Idziemy w tym kierunku. I nagle, jak fata morgana staje przed nami znajomy gmach. Nie wierzę swoim oczom. Majestatyczny budynek wydaje się nie zmieniony, znikły tylko

mosiężne gwiazdy Dawida na kopułach. Na bramie tablica z napisem „Medicinskij Institut”. Obok mniejsza, częściowo napisana po hebrajsku, niżej drugi napis cyrylicą „Iwano-Frankiwszkaja Synagoga”. Na murze plakietka „Pamjatka architektury”.

Wchodzimy do środka. W korytarzu siedzą dwie kobiety, chyba woźne. Pytamy o synagogę. Jedna z nich wyciąga rękę, coś pokazuje. Idziemy w tym kierunku i dochodzimy do wielkich oszklonych drzwi. Są zamknięte, ale spoza firanki widać coś w rodzaju zaciągniętego kotarą ołtarza, stół, na którym leżą jakieś książki i kilka rzędów krzesel.

Wracamy do kobiet. Czy możemy rozmawiać z kimś z synagogi? Kobieta podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę i nakręca jakiś numer. Odzywa się męski głos. „Czy rozumie pan po polsku?” – pyta mąż. Mężczyzna potwierdza. „Czy pan jest Żydem?” – pada drugie pytanie. „Jestem rabinem” – odpowiada mężczyzna.

Zjawia się w synagodze w ciągu kilkunastu minut. Jest młodym sympatycznym człowiekiem, który cierpliwie odpowiada na wszystkie nasze pytania. Kilka tygodni temu władze ukraińskie postanowiły oddać budynek synagogi w ręce nowo powstałej gminy żydowskiej, liczącej około 500 osób². Nie ma wśród nich nikogo z rodowitych mieszkańców Stanisławowa. Większość stanowi powojenna ludność napływowa. Jak na razie dla potrzeb synagogi udostępniono tylko główne pomieszczenie na parterze, ale jest nadzieja na dalsze.

Gmina objęła w posiadanie zrównany z ziemią przedwojenny cmentarz za Młynką. Postawiono pomnik poświęcony pamięci 120 tysięcy Żydów, rozstrzelanych tam w latach 1941-1943. Na murze dawnego getta umieszczono tablicę pamiątkową. Rozebrano przed kilkoma dniami pomnik poległym enkawudystom, zbudowany z żydowskich nagrobków. Objęto opieką masowy grób inteligencji żydowskiej, rozstrzelanej w Pawełczu w sierpniu 1941 roku. Rozwiązania wymaga jeszcze sprawa podwórza lokalnej straży pożarnej, wybrukowanego żydowskimi nagrobkami. Podjęto w tej sprawie rozmowy z władzami.

2. Przed wojną w Stanisławowie mieszkało ponad 30 tysięcy Żydów.

Dzień czwarty

Jesteśmy w Pawełczu. Wsiadamy z samochodu i stajemy przed tablicą z polsko-ukraińskim napisem „Uszanuj teren uświęcony krwią mieszkańców Stanisławowa i okolic, zamordowanych przez hitlerowców w 1941 roku”.

Wchodzimy w las. Idziemy dość dłużej. Las jest gęsty. Wreszcie dochodzimy do kamiennego kopca z wmurowaną tablicą pamiątkową: „Jeżeli zapomnę o nich Ty Boże na niebie zapomnij o mnie” (Adam Mickiewicz). I jeszcze „Miejsce uświęcone krwią mieszkańców Stanisławowa i okolic, zamordowanych przez hitlerowców w sierpniu 1941 roku – Rodacy”. Jest to zbiorowa mogiła polskiej inteligencji Stanisławowa, zamordowanej w tym miejscu w kilka dni po masakrze inteligencji żydowskiej...

Idziemy dalej. Ziemia jest tu mokra, ugina się pod butami. Przedzieramy się przez gęstwiny – sami nigdy byśmy tego miejsca nie znaleźli. Wreszcie stajemy przed głęboką jamą, do połowy wypełnioną mętną wodą. W powietrzu unosi się zapach zbutwiałych liści. Z wody wystają powyręcane kikuty krzaków. To właśnie jest grób mojego Ojca...

Odłamuję kawałek suchej gałązki. Zabiorę ją ze sobą do Australii.

Dzień piąty

Zbliżamy się do cmentarza. To droga marszu śmierci z października 1941 roku, kiedy do zbiorowej mogiły wrzucano i zasypywano ciała tysięcy niewinnych ludzi – mężczyzn i kobiet, dzieci i starców.

Przechodzimy przez bramę. Przy wejściu groby powojenne – jest ich niewiele. Dalej, na długości kilkudziesięciu metrów, zapadnięta nieco ziemia: to tu...

Patrzę w lewo, tam gdzie kiedyś stały pomniki przedwojennego cmentarza. Nie ma nic. Jak okiem sięgnąć tylko wysoka, świeża trawa i wielkie liście łopianu, na których siadają kolorowe motyle.

Nagle z daleka widzę jakiś ciemny kształt. Zostawiam męża, biegnę w tym kierunku. I widzę samotny, podziuraw-

wiony kulami, jedyny na całym cmentarzu – nagrobek mojej Matki!

Dzień szósty

Cały dzień spędzamy w miejskim archiwum. Tyle nieoczekiwanych rzeczy wydarzyło się nam w ciągu ostatniego czasu, że próbujemy dalej.

Pytamy o stare księgi metrykalne. Większość oczywiście została zniszczona. Ale zachowały się trzy czy cztery roczniki. Czy możemy je zobaczyć? Pracownica wychodzi z pokoju, za chwilę wraca i kładzie przed nami cztery duże księgi. Otwieramy z niedowierzaniem pierwszą – to rok 1928. Kartkujemy gorączkowo, dochodzimy do ostatnich stron. JEST! Nigdy dotąd nie widziana prawdziwa metryka mojego urodzenia!

Druga księga jest z 1924 roku – jest to rok urodzenia mojego kuzyna Waldka. Bierzymy ją do ręki, otwieramy i spoglądamy na siebie ze zdumieniem. Wszystkie rubryki tej książki wypełnione są pięknym, równym, bardzo charakterystycznym pismem mojej Mamy.

Trzecia książka jest z 1921 roku, nie mamy więc czego tam szukać. Ale w ostatniej, z 1937 roku znajdujemy, pod datą 1 kwietnia akt zgonu Mamy...

Podajemy dalszą próbę. Czy archiwum posiada jakieś przedwojenne akta sądowe? Urzędniczka znowu wychodzi. Tym razem nie ma jej dość długo. Wreszcie wraca i przynosi ze sobą związaną sznurkiem teczkę. W teczce komplet dokumentów sprawy sądowej z 1936 roku. Niektóre na blankietach firmowych Ojca, niektóre opatrzone pieczętką jego kancelarii. Na kilku oryginalny, własnoręczny, zamaszty podpis...

Wychodzimy z gmachu archiwum. Zabieramy do Australii fotokopie wszystkich znalezionych dokumentów. Razem z setkami fotografii będą świadczą o tym, że wszystko co tu przeżyliśmy to prawda...

Dzień siódmy

Wstajemy bardzo wcześnie rano, aby uniknąć ulicznego ruchu. Ostatni dzień naszego pobytu + chcemy pożegnać się

ze Stanisławowem – bez ludzi. Chodzimy po pustych ulicach, jeszcze raz robimy obchód wszystkich tak dobrze znanych miejsc.

Dzień ósmy

Zbliżamy się do Jaremca.

Pogoda jest piękna, świeci słońce. Jedziemy samochodem. Podróż trwa krótko – to wszystkiego trzydzieści kilometrów. Na horyzoncie pojawiają się pierwsze zarysy gór – to Karpaty. Mijamy kamienny drogowskaz z napisem „Jaremca”. Stajemy, robimy zdjęcie. Wjeżdżamy w dawną ulicę Piłsudskiego, teraz ulica Swobody. Dalej, na przeciwległym końcu tej ulicy stała „Irena”.

Zatrzymujemy się przed ładną huculską willą. Wieziemy list polecający do gospodarza – dostaliśmy go od księdza cerkwi grekokatolickiej w Stanisławowie.

Zostawiamy nasze rzeczy i idziemy dalej pieszo. Ulica Piłsudskiego jest bardzo długa i tej części Jaremca nie pamiętam. Wiem tylko, że musimy dojść do stacji kolejowej, stamtąd trafię do „Ireny” nawet z zamkniętymi oczyma.

Mijamy miejsce, gdzie kiedyś stała poczta. A więc do dworca jest już niedaleko. Po chwili widzimy znajomy budynek z dwukolorowej cegły. Prowadzi do niego szeroka jezdnia, wybrukowana drobną kostką. Nic się nie zmieniło – z prawej strony budynek, w którym kiedyś mieściła się kawiarnia Hanusa, z lewej rotunda kawiarni Skrzyńskiego. Mijamy kilka zabudowań. „Irena” musi już być całkiem blisko.

Jesteśmy na miejscu, i stajemy przed długim sztachetowym ogrodzeniem. Kiedyś rósł tu wysoki żywopłot, który owocował małymi kulkami, w lecie białymi, a czarnymi późną jesienią. Takim samym żywopłotem wysadzana była aleja, prowadząca do „Ireny”. „Irena” stała w górze, oddalona od ulicy, i trzeba było wspiąć się serpentyną po skarpie, aby ją zobaczyć.

...Idziemy więc z mężem długą aleją i dochodzimy do serpentyny. Wspinamy się po skarpie, już jesteśmy na górze. Patrzę, szukam – na próżno.

Nie masz już, nie masz „Ireny”...

Wieść o naszym przyjeździe rozeszła się po Jaremczu. Zaczęli nas odwiedzać miejscowi ludzie. Znosili pamiątki – rzeźbione pisanki i drobne wyroby z drewna nabijane koralikami. Kobieta, która z matką przynosiła do „Ireny” masło i śmietanę. Miejscowa nauczycielka. Burmistrz, który jeszcze dziesięć lat temu miał w „Irenie” swoje biuro. Kiedy budynek nie nadawał się już do remontu – został rozebrany. Nic na tym miejscu nie postawiono. Burmistrz obiecał nam zdobyć gdzieś fotografię „Ireny”. Dotrzymał słowa. Dostaliśmy od niego także wiele innych zdjęć, wśród nich fotografię nie istniejącego już kamiennego wiaduktu kolejowego nad Prutem. Umożliwił nam wyjazd samochodem, przez Mikuliczyn i Kosmacz do Żabiego – teraz Werechowyna, na odpust do Kosowa, i z powrotem przez Kołomyję i Delatyn do Jaremcza.

Zostaliśmy tam przez tydzień. Odwiedziliśmy znajome miejsca w okolicy, Jaskinię i Kamień Dobosza, Tatarów i Nadwórne.

Ale jedno marzenie dotąd pozostało nie zaspokojone – aby jeszcze raz zobaczyć Howerłę.

Pojechaliśmy więc do Worochty. Stała tam kiedyś wielka skocznia narciarska i malowniczy kościółek kamienny. Skocznia stoi jak stała, z kościółka pozostały tylko ruiny.

Z Worochty na Zaroślak jechaliśmy kiedyś kolejką wąskotorową do Foreszczenki. Ale kolejka wąskotorowa już nie istnieje, w ogóle nie ma żadnego regularnego transportu na Zaroślak.

Zatrzymujemy jakąś ciężarówkę. Okazuje się, że to samochód nadleśnictwa. Wzruszony chyba moim błaganiem kierowca zgadza się zawieźć nas na górę.

Droga jest trudna, kamienista i pełna wybojów. Widać, że uczęszczana jest rzadko. Przed nami wspaniały widok gór – Pop Iwan i Howerla. Wierzchołki szczytów pokryte śniegiem, choć tu na dole lato w całej pełni.

Mijamy znak drogowy z napisem „Gowerla”. Dojeżdżamy do szczytu. Kiedyś stało tu schronisko, z którego pan Czuczewicz posyłał po nas konie do Foreszczenki, a potem częstował gorącym bigosem na przywitanie.

Oczywiście – stare schronisko już nie istnieje. Na jego miejscu stoi nowy budynek „Turbazy” (baza turystyczna). Jest

przeznaczona dla zawodników, którzy przyjeżdżają tu na narciarskie obozy szkoleniowe. Teraz jest pusto i obco, ale widok na góry jest tak samo piękny.

W Jaremczu zostajemy siedem dni. Nasz pobyt na Ukrainie zbliża się do końca. Czeką nas jeszcze jeden postój – Lwów.

Do Lwowa jeździłam z Ojcem wielokrotnie, a każdy taki wyjazd był wydarzeniem szczególnym. Nic więc dziwnego, że ze Lwowem wiążą się przyjemne wspomnienia, nie licząc dnia wybuchu wojny, kiedy znalazłam się w Parku Stryjskim z kuzynem Zbyszkim i kiedy Lwowem wstrząsnęły pierwsze detonacje spadających na miasto bomb.

Zatrzymujemy się blisko dworca, na Gródeckiej. Mamy tam polecenie do siostry naszego przyjaciela Genka z Bielska.

Oczywiście, pierwsze nasze kroki prowadzą na Łyczaków. Idziemy wzdłuż Łyczakowskiej. Zbliżamy się do kościoła św. Antoniego. To tu w 1941 roku, po ucieczce ze Stanisławowa, ksiądz Czapran wydał mi pierwszą katolicką metrykę, która przez pewien czas ratowała mi życie.

Skręcamy w Małą i stajemy przed kamienicą numer sześć. Tu mieszkała babcia Amalia. Tu mieszkał wujek Ludwik z ciotką Stefą, którym tak wiele zawdzięczam. W tym domu spędziłam kilka bardzo trudnych tygodni na przełomie 1941 i 1942 roku, przed dalszą ucieczką do Warszawy...

Jesteśmy blisko ulicy Kurkowej. Stajemy przed bramą, za którą rozciąga się spore podwórze. W głębi niby dom, niby pałacyk, była siedziba NKWD z lat 1939-1941. Stąd właśnie rozpoczęła się wędrówka mojego męża na Syberię...

Chodzimy po Lwowie dwa dni. Idziemy na ulicę Legionów i na Wały Hetmańskie – w obu kierunkach – ku Teatrowi Wielkiemu i ku Placowi Mariackiemu. Spacerujemy po Akademickiej. Idziemy napić się kawy do dawnego Hotelu George'a – wrażenie bardzo smutne. Zatrzymujemy się na Placu Bernardyńskim przed kościołem. Kłaniamy się pomnikowi Mickiewicza. Zwiedzamy piękny Rynek Lwowski, gdzie na tle starej architektury domów rynkowych, w czterech rogach stoją studnie empirowe, zdobne rzeźbami Neptuna, Diany, Amfitryty i Adonisa. Oglądamy starą ka-

tedrę i Podwale, i Arsenał. Błądzimy po ulicach, których nazw nie znam – ulice i place, kamienice i pomniki pięknego jak zawsze, ale smutnego Lwowa...

Zbliża się czas wyjazdu. Zamknął się trójkąt Stanisławów–Jaremcze–Lwów. Spełniło się marzenie mojego życia.

Opuszczamy moją ziemię niezapomnianą.

Tym razem już chyba na zawsze...

Christine WINECKA

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Obrazki ze starych klisz*

KONIEC WOJNY

To była pierwsza moja wiosna po wkroczeniu Sowieców do naszego miasteczka. Front wprowadzie dawno już przewalił się na Zachód, dudnił potem jeszcze czas jakiś dalekimi echami armatnich wystrzałów, ale dopiero po paru miesiącach, gdzieś na początku maja, wojna zakończyła się na dobre i nasz ksiądz wikary długo z tej okazji kazał bić w kościelny dzwon. Dźwięk tego dzwonu, najpierw miękki, pojedynczy, potem już rozkołysany i niespodziewany o tej porze dnia, napełniał ludzi strachem, zatrzymywał na ulicy, albo prostował im plecy przy robocie w polu.

– Coś się złego musiało stać – mówili między sobą a potem ogarnięci radością klaskali w dłonie i ukradkiem ocierali nagle zwilgotniałe oczy szczęśliwi, że wreszcie zapadł pokój. Sześć długich lat czekali przecież na ten dzień.

– To był koniec wojny. Boże Wielki, prawdziwy, ostateczny koniec wojny. Nic już teraz nad niedawne cierpienia, nie mogło być gorsze ani bardziej okrutne. Nic i nigdy. Na kwadratowym rynku naszego miasteczka, władze natychmiast zarządziły uroczysty wiec. Stary Bogdanowicz, woźny magistracki, już od godziny walił w bęben na balkonie ratusza i oznajmiał wszem i każdemu z osobna, że straszna wojna właśnie dzisiaj została zakończona. – Ludzie! – wołał między jednym uderzeniem w bęben a drugim. – Ludzie, Niemce zostały pobite. Wygramy wojnę. Ludzie. Mamy znowu Polskę. Mamy Polskę. Ludzie. – Wieść o ostatecznej kapitulacji Nie-

* Fragment przygotowanej do druku książki pod tym samym tytułem.

miec i definitywnym zakończeniu wojny rozniosła się wnet po okolicy i na rynek miasteczka zaczęły ściągać tłumy.

Z kilku pobliskich fabryk i urzędów ruszyli ludzie z biało-czerwonymi flagami i transparentami, na których sławiono zwycięską Armię Czerwoną i wieczystą od dziś przyjaźń sowiecko-polską. Nie dziwiło to wtedy nikogo. Rosjanie wygonili przecież z Polski Niemców i oni byli teraz dla nas synonimem zwycięstwa i tyle co odzyskanej wolności. Z balkonu ratusza, jakiś nieznanym nikomu w miasteczku człowiek, zaczął już przemawiać i mówił, że właśnie przyszedł czas, żeby teraz, przy bratniej pomocy Związku Sowieckiego stworzyć Polskę nową, sprawiedliwą i demokratyczną, lepszą od tamtej przedwojennej, skłóconej narodowościowo, pańskiej i burżujskiej. Polskę, która nareszcie będzie dobrą matką dla wszystkich swoich dzieci.

Tłum mu wtórował. Krzyczał, że co racja, to racja, w ojczyźnie musi być teraz dostatnio i sprawiedliwie, potem długo klaskał w dłonie, aż mówca na balkonie musiał ich uspakając gestem wyciągniętej ręki a gdy ludzie przycichli, jeszcze mocniej natężył głos i wznosił okrzyki na cześć władzy robotniczo-chłopskiej, niezwycięzonej Armii Radzieckiej i jej wielkiego wodza *Generalissimusa* Józefa Stalina, naszego najlepszego przyjaciela. – Niech żyje – odpowiadali mu ludzie na rynku – i żeby nigdy więcej nie było już wojny, żeby był pokój i wolna ojczyzna. To było teraz dla nas najważniejsze. Echo odbijało te okrzyki od frontonów starych kamienic, mieszało z dźwiękami trąb orkiestry dętej, tyle co zawiązanej na miejscowej kolei wąskotorowej a potem zlewało się w jeden wspólny śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Grzmiał ten nasz, zwycięski śpiew głośno i wspaniale i dopiero po chwili zaczął się łamać narastającym wzruszeniem. Po sześciu latach niemieckiej niewoli śpiewaliśmy znowu nasz narodowy hymn z całym patriotycznym uniesieniem, aż dławiące w gardłach łzy odebrały nam głos.

Tak się to wszystko dla nas zaczęło, tamtego maja 1945 roku i nikt wtedy, tam na rynku, nie przypuszczał wcale, że tyle co wyzwolonej od Niemców Ojczyźnie rozpoczynał się oto okres naszej następnej niewoli. Tym razem wprowadzanej w sposób podstępny, w myśl widniejących na plakatach słów: „Przyjaźń, pomoc, przykład Związku Sowieckiego, gwarantem

naszego, niepodległego bytu”. W nocy całe miasteczko ktoś oblepiał takimi afiszami. Prawdziwość tych haseł, ich sens, zrozumieliśmy dopiero w jakiś czas później, jedni wcześniej, bo już następnego dnia, wiezieni w bydłych wagonach, hen, na Syberię, do sowieckich łagrów, inni dopiero po upływie lat lub dziesięcioleci. Różnie z tym przecież u nas Polaków bywało.

Na razie jednak, na rynku naszego miasteczka trwał dalej uroczysty wiec zwycięstwa. Wiwatom i owacjom nie było końca. Kolejarska orkiestra trochę nieporadnie i piskliwie grała nam marsze wojskowe a potem nie wiadomo skąd, wśród ludzi na placu zaczęły krążyć butelki z samogonem, sprawiedliwie podawane z rąk do rąk, z ust do ust. Ale co tam. Świątowano przecież koniec wojny i początek nowego, jak sądziliśmy lepszego życia.

Ile nadziei łączono wtedy z tamtym dniem. Ile codziennych modlitw do Boga miało się spełnić, ziścić właśnie teraz. Te wszystkie prośby o syna, który jeszcze nie wrócił z niemieckiego obozu. O chłopaka z partyzantki na którego przez całą wojnę czekała dziewczyna. O brata, matkę, siostrę, wywiezionych na roboty do Niemiec wprost z ulicznych łapanek. O powrót ojca z oświęcimskiego obozu śmierci. Ile ufności niósł z sobą tamten maj.

O, roku ów, jak cię nie pamiętać?

A ludzie na placu, pod ratuszowym balkonem, upajali się odzyskaną co dopiero wolnością i mówili sobie, że świat musi być teraz lepszy i Polska musi być lepsza, niepodległa i demokratyczna, żeby chleb był dla każdego i praca, i równość wszystkich stanów. Tyle przecież wycierpieliśmy. Tym razem chyba nie na darmo.

– *Da nikagda bolsze* – wtórowali nam w tym również sowieccy wyzwolicieli, nieźle już podpici samogonem pociągającym z butelek na tamtym majowym wiecu w naszym miasteczku.

Stałem tam wtedy na tym rynku pośród chłopaków z mojego podwórka i krzyczałem wraz z innymi „Niech żyje Polska. Niech żyje pokój. Niech żyje wolność. Dzisiaj nawet nie wiem skąd brała się w nas owa wiara, że już nigdy więcej nie będzie okupacji, ani strachu, ani zniewolenia, że przyszłość czeka nas piękna.

O, roku ów.

A Rosjanie już od przeszło dwóch tygodni kwaterowali w kilku naszych domach, przydzieleni do pilnowania niemieckich jeńców wojennych pracujących przy załadunkach wagonów na miejscowej, kolejowej rampie. Miałem z tego powodu spory mir u chłopaków na Podklasztorzu, bo ich dowódca, „starszyna” jak go nazywali inni żołdaci, mieszkał u nas na kwaterze w dużym pokoju z wejściem od ogrodu. O tych szwabskich jeńcach dowiedziałem się właśnie od niego i nie było chłopaka na całej naszej ulicy, który nie chciałby nacieszyć sobie oczu widokiem tak bardzo przecież znienawidzonych Niemców, przegranych teraz i upokorzonych, niedawnych naszych władców życia i śmierci.

– Musimy ich koniecznie zobaczyć – stwierdziliśmy zgodnie na podwórkowej naradzie i potwierdzić jednocześnie sens pewnej piosenki, którą tak często w czasie okupacji śpiewaliśmy sobie po cichu.

Jeszcze Polska nie zginęła i nie zginie nigdy.

Jeszcze Niemiec Polakowi odpowie za krzywdy...

Pognaliśmy więc na ową rampę przeładunkową, zaraz następnego dnia, podekscytowani tym mocniej, że podobno pośród szwabskich jeńców tam pracujących był również znany dobrze nam wszystkim na całym Podklasztorzu *Bahnschutz* Finke, ten sam który najczęściej i najgorliwiej zabierał nam węgiel z takim trudem podkradany z kolejowej parowozowni. Ten szwab Finke, to była taka nasza zimowa zmora. Zasadzał się na nas w zaułkach kolejowych budynków, czatował wytrwale w ukryciu a potem krzyczał *Hände hoch* i lubił bić, kolbą swojego karabinu, mocno i zapamiętale, aż do krwi.

We wszystkich polskich domach, każdej okupacyjnej zimy ludzi trapiło wciąż to samo zmartwienie: czym napalić w piecu, czym ogrzać mieszkania, jak ugotować jedzenie? Niemcom węgiel był niezbędny do prowadzenia wojny. Nie zezwalali więc na żaden handel opałem, toteż brakowało go niemal całkowicie. Ludzie, jak mogli i gdzie mogli, organizowali sobie konieczny do życia ogień. Sposobów na to znajdowano zresztą sporo. Jedni wędrowali do odległego lasu po chrust lub szyszki, inni rozbierali drewniane płoty, albo

rozbijali na kawałki domowe meble, inni zaś cichcem i pod strachem podbierali Niemcom węgiel wprost z wagonów, gdy pociąg zatrzymywał się przed stacyjnym semaforem, albo kradli go z niemieckich składów z opałem.

Mnie z Luckiem Jąkałą stary Sopolewski wyrzucał co parę dni za ogrodzenie wąskotorowej parowozowni kilka brył węgla, które ładowaliśmy do worków i wieźli na saneczkach do domu. Odbywało się to na zasadzie sprawiedliwego podziału, jemu jedna połowa, nam druga. Worki po wyładowaniu czarnymi kamieniami robiły się niewygodne, kanciaste, za ciężkie dla dzieciennych rąk i w dodatku co chwilę spadały w śnieg z małych nie przystosowanych do takich ciężarów saneczek. I wtedy właśnie złapał nas *Bahnschutz* Finke. Wylaźł niespodziewanie z jakiegoś zakamarka i od razu krzyknął w naszym kierunku:

Hände hoch!

Stanęliśmy natychmiast w momencie zdrętwieli ze strachu a on pomału szedł w naszym kierunku, bliżej i bliżej, aż na odległość swojego karabinu a potem końcem lufy uniósł mi do góry brodę. Musiałem podnieść twarz. Finke miał daszkiem czapki przysłonięte oczy ale usta wyraźnie zaciśnięte gniewem. Bałem się tego szwaba. Boże jak się bałem. W miasteczku krążyły o nim same złe legendy i nawet zbliżający się front, co noc dudniący zza Wisły salwami katiusz, nic w jego *Bahnschutz*'kiej gorliwości nie zmieniał. Tutaj, w naszym miasteczku ciągle trwała wojna, czas wyznaczony do zabijania i niemieccy funkcjonariusze okupacyjni mieli wciąż prawo strzelać do wszystkich, którzy działali na szkodę Wielkiej Rzeszy. Kradliśmy przecież węgiel przeznaczony wyłącznie dla niemieckich parowozów ciągnących wagony z zaopatrzeniem na front wschodni, utrudnialiśmy przez to ostateczne zwycięstwo Niemców, toteż *Bahnschutz* Finke nie miał potrzeby wyjaśniać nikomu, dlaczego akurat zastrzelił tych dwóch polskich gówniarzy przyłapanych na jawnym, wojennym sabotażu. Staliśmy więc przed niemieckim strażnikiem kolejowym zupełnie przerażeni z dziecinnie trzęsącymi się brodami z trudem mitygując płacz.

Bahnschutz Finke pomału opuścił ku ziemi lufę swojego karabinu. – *Wek go tam nazat* – zawołał w naszym kierunku i wskazał ręką płot pobliskiej parowozowni. Schyliliśmy się

do worków z węglem. – *Schnell, schnell*, prenko, prenko – poganiał i pewnie dla przyspieszenia swojego rozkazu mocno z rozmachem kopnął Lucka Jąkała w tyłek. Chłopak upadł jak długi w mokry, porowaty śnieg i zakwilił głośno, przeciągłym, dziecięcym płaczem a potem zastął przerażony, jakby czekał na strzał. Niemiec zamachnął się powtórnie i kopnął go jeszcze raz, w twarz chyba, bo śnieg wokół Luckowej głowy nagle poczerwieniał od krwi. Widziałem jak małymi dłońmi, brudnymi od węgla, zasłaniał się przed następnym uderzeniem. Wzmogłem więc płacz, zacząłem szybko rozwiązywać jutowe worki i wydobywać z nich kęsy węgla w zamiarze przerzucenia ich z powrotem za płot. Chciałem w ten sposób uspokoić, udobruchać rozwścieczonego Niemca. Węgiel był zimny, zamrznięty w dużych bryłach i trudno mi było w pojedynkę dźwignąć go do góry:

– *Schnell, schnell* – poganiał *Bahnschutz* ochrypłym wrzaskiem – a mnie zaczęły drżeć ręce i gwałtownie ubywało sił. Na szczęście Lucek wygramolił się jakoś ze śniegu, otarł rękawem zakrwawiony nos i pomógł mi spełnić rozkaz Niemca. – *Ja, Ja gut* – powiedział Finke, coś tam jeszcze pod nosem pomamrotał po szwabsku ale na koniec przyłożył nam jeszcze po mocnym kopniaku. Trafiał mnie jakoś nieszczęśliwie, bo od razu poczułem ogromny ból w kroku i upadłem na ziemię. Nagle zrobiło mi się cicho i ciepło jak w domu przy naszym żeliwnym piecyku.

– Mówię ci Ję...jędrek, że na raaampie przyy stacji, pracujee teen sam *Bahnschutz* Finke co naas zeeszłej zimy skoopał poo życi – tłumaczył mi Lucek Jąkała. – Jaaak nie wierzysz to chodź, sam zooba, zobaaczysz.

Pognaliśmy więc na stację kolejową w kilku chłopaków i najpierw dla rozeznania sytuacji zalegliśmy w trawie blisko przeładunkowej rampy. Widok stąd mieliśmy dobry. Kilku Niemców, dziwnie jakoś odmienionych, bez pasów na bluzach i sznurowadeł w butach, bez wojskowych oznak na czapkach, rzeczywiście przeładowywało jakieś tam skrzynie i paki z samochodów do towarowych wagonów. Nie było jednak wśród nich naszego Finka. – Widziaałem go jaak Booga koocham – sumitował się Lucek. Wiiiidziałem.

Czekaliśmy więc. Było ciepło, świeciło słońce, w polu brzęczały owady i pachniało młodą, majową miętą. Czas

włókł się pomału, czekaliśmy jednak cierpliwie, to gryząc żdźbła trawy, to oglądając kłębiące się na niebie chmury. Dopiero po jakiejś godzinie, od strony pobliskiej suszarni tytoniu podjechały do rampy dwie oplandekowane ciężarówki. Z budynku stacyjnego ruszył zaraz w ich kierunku jeden z rosyjskich wartowników, odziany w wystrzępiony u dołu szynel z pepeszą niedbale przewieszoną przez ramię. Odebrał od szoferów jakieś papiery, nie patrząc zwinął je do kieszeni i odszedł z powrotem na stację. Z paki samochodów zaczęli zeskakiwać na ziemię niemieccy jeńcy a wśród nich nasz *Bahnschutz* Finke. Ledwieśmy go poznali. Schudł przez te parę miesięcy i nie miał już na sobie ani ciemnego, *bahnschutz*'kiego uniformu, ani swojej czapki na głowie, okrągłej, z dużym daszkiem, który przysłaniał mu oczy, ani butów z cholewami na nogach świecących codziennym czarnym glancem. Ubrany był teraz w jakąś starą, wypłowiałą kurtkę, połatana na rękawach i przewiązana zwyczajnym, konopnym sznurem.

– Nie ten sam Niemiec, jak pragnę Boga – powiedział jeden z chłopaków.

Przedtem jak szedł na służbę do parowozowni, to taka jedna dziewczyna, Polka co u niego służyła, czyściła mu na klęczkach buty, glancowała cholewy, chuchała na nie własnym oddechem, żeby dały lepszy połysk. A teraz patrzcie. Jeńców na placu było sześciu albo siedmiu, w luźnych, rozpiętych bluzach z odkrytymi głowami, zupełnie teraz niepodobnych do prawdziwych, okupacyjnych Niemców. Poruszali się pomału, leniwie, niespiesznie, tak jak czynią to wszyscy ludzie będący w niewoli i mieli strachem rozbiegane oczy. Widać to było wyraźnie, nawet z naszego nasypu bo słońce właśnie wylało się zza pękatej chmury i mocniej oświetliło plac ciągnący się obok kolejowych torów. Mieliliśmy teraz *Bahnschutz*a Finkego i pozostałych szwabskich jeńców blisko, bliżutko i wyraźnie jak na dłoni. – Wieecie co ja tera zroobie, teemu Finkowi? – zapytał nagle Lucek. – Wieecie? Naakoo pie mu doo życie. Taak jak on mnie kie... kiedyś nakopał. Będzie, kurde weet, za weet... – Chłopaki roześmiali się głośno, dowcip im się spodobał ale Lucek jakby już tego nie słyszał. Pomału uniósł się z ziemi i nagle ruszył w stronę stacyjnej rampy.

- Masz rację Luckek – krzyknęli za nim pozostali chłopcy.
- Masz rację. Nikt przecież nie chciał być od niego gorszy.
- Nakopiemy Szwabom do zyci.
- Choćta chłopaki.

Niczym stadko poderwanych do lotu ptaków zbiegliśmy gromadą z kolejowego nasypu i pogonili w stronę stacyjnego placu. Niemcy przetaczali właśnie jakieś drewniane beczki w stronę czekających na załadunek wagonów. Na środku rampy siedział na krzeselku rosyjski strażnik z pepeszą ułożoną na kolanach i zdawał się drzemać. Twarz trzymał zwróconą ku słońcu i tylko co chwilę wycierał spocone czoło pod zdjętą z głowy futrzaną papachą. Było cicho. Kierowcy ciężarówek wyłączyli motory i niedbale oparali o szoferki swoich samochodów palili tytoń po sowiecku okręcony w kawałek gazety. Luckek Jąkała pierwszy z nas dopadł Finkego. *Bahnschutz* toczył właśnie po ziemi beczkę, był nad nią nisko pochylony z wystawionym do tyłu grubym niemieckim tyłkiem. Luckek wziął rozmach i kopnął tam Szwaba, mocno z całych sił, aż chuda, dziecinna noga odskoczyła mu gwałtownie do tyłu. Niemiec natychmiast zatrzymał się w miejscu, wyprostował grzbiet i tak jak jeńcowi przystało unióś obie ręce do góry. Luckek stał z tyłu za nim, przez moment nie zdecydowany co czynić dalej, dziwnie mały na tle rosnącego Niemca ale Finke musiał chyba zmiarkować, że coś słałutkie było to uderzenie bo przez ramię obejrzał się do tyłu.

– *Fafluster* – zaklął zdziwiony, widząc przed sobą mizerną postać jasnowłosego chłopaka.

– *Fafluster* – powtórzył ze złością teraz i zamachnął się na Lucka ręką.

– Stoi, ty faszysta – zawołał wtedy starszyna, ten sam który kwaterował w naszym domu i *Bahnschutz* od razu opuścił uniesioną dłoń. W momencie stał się znowu zwyczajnym, pokornym, szwabskim jeńcem. Inni Niemcy też stanęli wyprostowani przy swoich beczkach nie wiedząc pewnie do kogo odnosił się rozkaz rosyjskiego starszyny. Wszyscy więc na moment znieruchomieli, niczym na fotografii, na całej rampie od razu zrobiło się cicho. Nie wiem czemu, ale wtedy nagle poczułem się jakoś bardzo odważny. Starszyna znał mnie przecież, wołał na mnie Andriusza i

nawet teraz patrzył w moim kierunku i przyjaźnie machał mi ręką. Więc i ja podskoczyłem do Finkego. Nie chciałem być gorszy od Lucka zwłaszcza, że miałem z tym Szwabem również swoje, osobiste porachunki. *Bahnschutz* stał odwrócony do mnie twarzą, ciągle wielki i masywny, więc musiałem go obieć dookoła, żeby mu wymierzyć swojego kopniaka. Udało się. Nie drgnął jednak, ani się nie poruszył, więc ze złością przyłożyłem mu kopniaka jeszcze raz i jeszcze. – Za ten węgiel zabrany mi zimą – przeleciało mi przez głowę. – Za mój strach, za ojca na wojnie, za naszą biedę, za codzienny głód, za mroźne zimy, za Polskę. Tak, za Polskę też. Za Polskę szczególnie. Boże Wielki, za wszystko to tłułem prawdziwego Niemca, wymierzałem mu swoją prywatną sprawiedliwość z całym patriotycznym przekonaniem a on stał z rękoma pokornie uniesionymi do góry, przegrany teraz i pokonany wreszcie, nawet przez małego, polskiego chłopaka.

Byłem dzieckiem wojny i okupacji niemieckiej z gromadzoną od lat potrzebą zemsty, powiększaną każdorazowo widokiem rozstrzeliwanych na ulicach mojego miasteczka znajomych mi ludzi, potęgowaną wieściami o transportach zdążających do obozów śmierci, o ludziach wyłapywanych jak zwierzęta na ulicach a potem wywożonych na roboty w głąb Niemiec. Byłem dzieckiem wojny. Bezsens tamtej swojej prywatnej zemsty zrozumiałem dopiero po latach, kiedy wydorostałem a minione zdarzenia stały się już tylko wspomnieniami. Na razie słyszałem jedynie głośny, zbiorowy śmiech sowieckich strażników i ich okrzyki: – *Bij Giermańca. Bij Giermańca.*

Najbardziej ze wszystkich radował się mój starszyna. Zanosił się głośnym, gardłowym rechotem i z uciechy co raz walił dłonią w udo swojej nogi. – *Ot polskie malczyki* – wołał ubawiony patrząc na naszych chłopaków polujących na tyłki przestraszonych Szwabów. *Ot polskie gieroje.* Było nas pięciu, mniej niż Niemców na rampie, więc uganiał się za nimi po całym placu, żeby żadnemu nie przepuścić, żeby każdy dostał sprawiedliwie co mu się należało. Jakaż, była frajda, Boże Drogi. Co to była za frajda. Po sześciu latach niemieckiej niewoli, tam na tamtej kolejowej rampie, czuliśmy na swój dziecinny sposób, że dopiero teraz, naprawdę wygrywaliśmy tę wojnę. Żałowałem tylko, że mój Ojciec nie

mógł tego zobaczyć. Byłby ze mnie dumny – pomyślałem – na pewno, byłby dumny. Może mu kiedyś o tym opowiem?

Ruskim strażnikiem znudziła się w końcu nasza zabawa, bo nagle jeden z nich uniósł się z ławki, podniósł do góry pepeszę i wygarnął z niej w niebo długą, jednostajną serię. Wystrzały zabębniły w powietrzu, odbiły się echem o ścianę niedalekiego lasu i wróciły do nas strachem jak złe wspomnienie niedawnej wojny.

– *Chwatit* – zawołał któryś z żołdatów – *chwatit. Rabotać uże nada.*

Odchodziliśmy z rampy zadowoleni. Mój starszyna odprowadził nas, aż do końca stacyjnej ulicy, biegnącej w stronę miasteczka między dwoma rzędami starych, rozłożystych lip. Tutaj w przypływie jakiejś serdeczności przygarnął mnie do siebie mocno, prawie po ojcowsku. Poczulem zapach machorki, spotniałej bielizny i jeszcze czegoś, czym pachną tylko żołnierze. Przez moment, przynaję, byłem szczęśliwy. Tulił mnie przecież pogromca Niemców, nasz wyzwoliciel i przyjaciel, jak mówili w czasie tamtego wiecu na rynku obok ratusza. Kochałem więc w tamtym momencie tego ruskiego starszyny, jak kogoś bliskiego. Dopiero w kilka dni potem, kiedy zastrzelił mi ulubionego gołębia pomyślałem, że chyba niewiele różni się od *Bahnschutza* Finke.

AKOWCY

To było jakoś późnym wieczorem, kiedy mój Stryj na stałe wrócił z lasu do domu. Przez całą wojnę walczył w oddziałach polskiej partyzantki i nosił pseudonim Gajowy. Usłyszałem jego pukanie w okno, tym samym jak zawsze umówionym sposobem: dwa krótkie uderzenia, potem przerwa i znowu puk, puk. Matka jeszcze nie spała, siedziała w kuchni i pewnie liczyła uderzenia w szybę, bo dopiero po chwili zapiszczały otwierane drzwi od ganku. Wskoczyłem z łóżka i podszedłem do uchylonych od kuchni drzwi. Stryj już tam był. Przez chwilę stał na środku izby nieruchomo, jakby witał się z domem a potem zdjął z ramion podniszczony wojskowy plecak wypełniony jego partyzanckim ekwipunkiem i odstawił go w kąt izby.

– Koniec wojowania – powiedział do matki jakby z ulgą. Mamy wreszcie pokój Mario i wolną niepodległą Ojczyznę. Nagle podszedł bliżej i ujął matkę za ręce. Wywalczyliśmy tę wolność uczciwie Mario i nikt nie może powiedzieć, że to nie my. Nikt i nigdy.

Podobał mi się ten mój Stryj. Wysoki, taki bardzo wojskowy, ubrany w polski, przedwojenny mundur z orłem w koronie na oficerskiej czapce i niemieckim zdobycznym pistoletem przewieszonym przez ramię.

Z wrażenia nie mogłem się ruszyć z miejsca. Tyle przecież nasłuchałem się w latach okupacji niemieckiej o wyczynach świętokrzyskich partyzantów. I oto jeden z nich był teraz tak blisko. Przez uchylone drzwi wciąż patrzyłem do kuchni. Matka siedziała już za stołem, prawie nieruchomo wpatrzona w Stryja.

– Polski mundur – mówiła cicho. – Boże Wielki, polski mundur. Doczekaliśmy jednak – dopowiedziała i nagle zaczęła płakać. W rękach zaciskała jakieś zielsko, którego sterty leżały obok na stole. Stryj chwilę głaskał ją po głowie, uśmiechał się z jakąś spokojną wyrozumiałością a potem odpiął sobie pas i razem z pistoletem położył na ławie pod ścianą. Matka jakby dopiero teraz oprzytomniała. Otarła wierzchem dłoni twarz i powiedziała do Stryja: – Dołóż do pieca. Pokrzywę trzeba sparzyć we wrzątku, to będzie miała smak szpinaku. Zjemy sobie z niej kolację. Nie mam niestety w domu niczego innego, poza chlebem i olejem z rzepaku. Stryj odsunął z paleniska fajerkę i rzucił pod blachę parę patyków. Ogień buchnął mocniej i na moment rozjaśnił mu twarz. W tym nagłym podświetleniu przypominał mi ojca odchodzącego na wojnę w 39 roku. Boże, jak to było dawno – pomyślałem – jak dawno.

Ojciec też miał wtedy na sobie wojskowy mundur i hełm stalowy na głowie, i karabin w rękę. Wydawał się z tym wszystkim wyższy jakiś i mocarny, nie do pokonania przez żadnych wrogów. Przyszedł pożegnać się z domem i rodziną, tuż przed odjazdem na front jego pancernego pociągu, w którym pełnił służbę celowniczego.

– Śniło mi się dzisiaj w nocy – powiedziała matka – że odprowadzałam chłopców do szkoły, do takiej prawdziwej, normalnej, polskiej szkoły, rozumiesz? – Położyła ręce na

kolanach ale ciągle trzymała w nich pęk zielonych, młodych pokrzyw. – Ciekawa jestem kiedy je znowu otworzą? – Pewnie już niedługo – odpowiedział Stryj. – Wojna się przecież skończyła, więc i życie zacznie pomału wracać do normalności. Zobaczysz, już niedługo znowu będziesz chodziła na wywiadówki, będziesz czekała na powrót chłopców z harcerskich wycieczek i martwiła się zdartymi na boisku butami. Zobaczysz, już niedługo.

Słuchałem tej rozmowy z wypiekami na twarzy i nie miałem zaciekawieniem. Podczas okupacji niemieckiej nie było przecież szkół dla polskich dzieci i moje pokolenie nie mogło wiedzieć jak wygląda prawdziwa szkolna klasa, taka z rzędami ławek, katedrą dla nauczyciela, z dzwonkiem na początku i na końcu lekcji. Jeśli ktoś w tamtych czasach w ogóle się uczył, to potajemnie, pod strachem w parę zaledwie osób w prywatnych mieszkaniach w których wykładali, narażając się na więzienie albo obóz koncentracyjny polscy nauczyciele. Ciekawy więc byłem bardzo, jaka to będzie ta prawdziwa szkoła, do której miałem niebawem pójść.

– Życie się teraz zmieni – odezwał się znowu Stryj – wszystko pomału zacznie być historią. Za kilkanaście lat będziesz opowiadała swoim wnukom jak to naprawdę było w czasie wojny. W szkole na lekcjach będą ich uczyć o wielkich wodzach i zwycięskich bitwach, o operacjach morskich i konferencjach sojuszników a ty im opowiesz jak przyrządzałaś potrawy z młodej pokrzywy i jak drżałaś przez te wszystkie lata wojennej zawieruchy o los swoich bliskich. – Matka wciąż siedziała bez ruchu zapatrzona gdzieś przed siebie, jakby to wszystko o czym mówił Stryj dopiero teraz zaczynała rozumieć. Wracało przecież normalne życie.

A wolność, tyle co odzyskana, kwitła wokół razem z zielenią majowych drzew. Świat się nagle odmienił, odświeżniał nawet. Z lasu zaczęły wychodzić oddziały polskich partyzantów i na głównej ulicy naszego miasteczka urządziły sobie zwycięskie defilady. Dziwne to było wojsko ci partyzanci. Poubierani każdy inaczej, w pstrokate, ponemieckie bluzy zwane „panterkami”, cywilne marynarki albo jakimś cudem przechowane przez czas wojny, prawdziwe, polskie mundury. Tylko biało-czerwone opaski, wszyscy mieli

jednakowo założone na rękawach kurtek i gałuszki świeżego majowego bzu zatknięte w lufy karabinów. Ludzie zebrani po obu stronach ulicy bili im brawo i krzyczeli: „Niech żyją leśni chłopcy! Niech żyje Polska!” A oni wtedy wzmacniali defiladowy krok, aż kurz spod ich butów unosił się szarą chmurą ponad rzędami starych topoli.

Kwitła nam wtedy Polska wielką nadzieją.

Na czele jednego z oddziałów defilował mój kuzyn, niespełna siedemnastoletni Janek Król i dumnie dźwigał na piersiach potężny karabin maszynowy z okrągłym, talerzowym magazynkiem na naboje. Nie zastanawiałem się wtedy dlaczego właśnie jemu dziewczęta rzucały najwięcej kwiatów i zalotnych uśmiechów. Może ten RKM czynił go bardziej od innych bohaterskim a może był po prostu przystojnym chłopcem?

W dwa dni później, polscy ubowcy tak zmaltretowali go w piwnicach kieleckiego więzienia, że został kaleką do końca życia. Na razie jednak trwała defilada zwycięstwa. Z prowizorycznej trybuny salutowało jej kilku polskich oficerów z kościuszkowskiej dywizji, nowy burmistrz miasteczka i stojący obok nich dwaj sowieccy lejtnanci. Obaj mieli na sobie zielonkawę bluzy, z szerokimi pagonami i dużą ilość okrągłych medali na obu piersiach. Był to dla nas wszystkich wielki dzień. Po sześciu latach niemieckiej niewoli wracała przecież Polska razem z chłopcami z lasu, z biało-czerwonymi flagami i naszym hymnem narodowym: „Jeszcze Polska nie zginęła”, granym z głośników umocowanych na dachu jakiegoś sowieckiego, wojskowego samochodu.

Stałem wtedy obok matki wśród tłumu wiwatujących ludzi i nagle zaczęło mi się robić dziwnie jakoś pod gardłem i pod sercem, ale kiedy popatrzyłem na stojących wokół ludzi i zobaczyłem, że większość z nich ukradkiem ociera łzy z oczu, rozbeczałem się również, głośno i serdecznie.

Stryja aresztowali w kilka dni potem. Przyjechali nocą, łomotali do drzwi kolbami karabinów i przeklinali po rosyjsku. Patrzyłem na nich przerażony i nie umiałem niczego zrozumieć. Przecież Stryj całą wojnę walczył z Niemcami, ze wspólnym germańskim wrogiem, jak mówili na tamtej partyzanckiej defiladzie owi sowieccy oficerowie. Więc dlaczego jak zbrodniarza zakuli go w kajdanki?

Matka płakała, mówiła coś o Sybirze ale u nas w rodzinie, odkąd pamiętam o Sybirze mówiło się zawsze. Jakiś wuj matki już tam był, zesłany po powstaniu styczniowym i ciotka, która pojechała za nim na złą i nieznaną dolę i syn sąsiada zamordowany w jakimś Katyniu, bo dla nas w tamtych czasach cała Rosja, to właśnie był Sybir.

Stryj uciekł im jednak. Przekupił w Skarżysku złotym zegarkiem jednego z pilnujących go żołdatów, tuż przed odjazdem pociągu towarowego, którym wywożono polskich akowców do sowieckich łagrów. Zgrupował ich tam kilkuset, aresztowanych poprzedniej nocy w całym województwie kieleckim. Czekali na swoją kolej do załadunku klęcząc w szeregach po pięciu ludzi z uniesionymi do góry rękami. Cały ogromny plac obok torów kolejowych, jak okiem ogarnąć, pełen był klęczących mężczyzn i uniesionych rąk. Czekali tak cały wczorajszy dzień i całą noc w głodzie, deszczu i bezruchu, aż wagony, którymi mieli być wywożeni stały się dla nich pragnieniem, nadzieją, gdzie będzie można wreszcie opuścić drętwiejące dłonie i wyprostować bolące kolana.

Zaden ze strażników nie chciał im odpowiedzieć na pytanie, dokąd ich zawiozą i co z nimi będzie. Trzymali nisko pochylone karabiny, gotowe do strzału prosto w nogi, gdyby któryś z więźniów próbował dźwignąć się z ziemi i milczeli, jakby nie rozumieli słów. Ładowanie wagonów szło pomału. Sprawdzali ich dokładnie, nazwisko, imię, stopień wojskowy i zaraz wpychali do bydłych wagonów, piątka za piątką, piątka za piątką, aż zazgrzytał zamek ryglujący drzwi a potem ładowano następny wagon i znowu piątka za piątką i ryglowanie drzwi... Stryj był już blisko swojego wagonu. Zmęczone nogi bolały gdzieś aż po kręgosłup, dokuczalo zimno bijące od mokrej odzieży i strach, i pragnienie, i jakieś niepojęte zaskoczenie. Przecież to nie Niemcy. To przecież sojusznicy w tej wojnie. Nie byliśmy ich wrogami, więc dlaczego? Dlaczego?

Czas się włóki. Dwie piątki przed Stryjem podniesiono z klęczek – *Wchaditie* – krzyknęli żołdaci z obstawy. Zazgrzytały otwierane wrota wagonu. Szeregi jeńców poruszyły się, zafalowały ciężkim nierównym wstawaniem z ziemi. Obok Stryja stanął strażnik z dużym psem na smyczy.

– *Smatri kakije u mienia czasy* – powiedział Stryj

szeptem – *smatri* – i pokazał strażnikowi połączoną, kieszonkową cymę. Sołdat spojrzął niby obojętnie, ale po chwili przysunął się bliżej w stronę Stryja. – *Nu pokazi jego* – szepnął również, ale Stryj cofnął rękę. – *Pójdziemy tam za stację, tylko ty i ja, to pogawarim* – zaproponował. Sołdat rozejrzał się wokół, podrapał brodę z frasunkiem a potem kiwnął głową na znak zgody. Oczy pałały mu wyraźnie. Takiej okazji za żadną cenę nie mógł przepuścić. Zegarek w tamtych latach był dla Sowietów czymś zupełnie mistycznym, przedmiotem marzeń i pożądania każdego niemal krasnoarmiejcy. Nobilitować ich musiał zapewne do wyższej sfery w powszechnej sowieckiej *urawnitowce*, przydawał *kulturnego* wyglądu, dodawał uroku i uszlachetniał. Zdobywali je więc na różne sposoby. Najczęściej w wyniku zwyczajnego rabunku, kiedy podchodzili do ludzi na ulicy i pytali grzecznie *skolko wremia* a potem mówili *dawaj czasy* i zabierali zegarek. Odbierali też jeńcom na zasadzie wojennego łupu i rabowali z pustych domów. Każdy sposób na zdobycie zegarka był dobry. Nosili je później na rękawach swoich wojskowych mundurów, żeby było widać, bywało, że po kilka na jednej ręce, albo przypinali agrafką na piersiach obok medali za „Rodinu i Stalina”.

– *Pajdiom* – powiedział sołdat do Stryja, coś zameldował strażnikowi stojącemu obok, odłączył Stryja od szeregu jeńców i poprowadził pod karabinem w stronę stacyjnego budynku. Po drodze rozglądał się wokół, jakby szukał odpowiedniego miejsca na kryjówkę aż w końcu skierował się w stronę stojącej na końcu placu, dworcowej ubikacji. Nim weszli do środka nakazał psu warować u drzwi, potem je zamknął dokładnie i kazał sobie pokazać zegarek. Delikatnie ujął go w palce, grube i po żołniersku brudne, chwilę patrzył w rytmicznie drgające wskazówki a później podniósł do ucha i słuchał uważnie czy chodzi z wyraźnym i głośnym tik, tak. Stara pocziwa „Cyma” na łańcuszkowej dewizce, którą Stryj otrzymał na pamiątkę od Marszałka Piłsudskiego za wojnę z bolszewikami w dwudziestym roku, miała mu teraz uratować życie. – *Puść mnie do domu* – zaproponował Stryj – a *czasy* będą twoje. – Strażnik skinął mu głową, jeszcze raz podniósł zegarek do ucha a potem schował go do kieszeni swojej drelichowej bluzy.

– *Nu charaszo* – powiedział. – *Ty uże swobodny. Idi kuda chcesz.* – Poprawił pepeszę na ramieniu i zamierzał odejść.

– Tak mnie nie możesz zostawić – zaprotestował Stryj. – Jak tylko stąd wyjdę, złapią mnie zaraz twoi żołdaci. I jeśli zostaną też mnie złapią. Wystarczy, że któryś z twoich przyjdzie do ustępu za swoją potrzebą. Słuchaj. Zegarek dostałeś, musisz mnie teraz wyprowadzić w jakieś bezpieczne miejsce, najlepiej do lasu, za stacją. Inaczej złapią ciebie i mnie. – Żołdat natychmiast zatrzymał się w drzwiach. Przez chwilę klepał po karku swojego owczarka i spoglądał z uwagą na stacyjny plac. Nic się tam nie zmieniło. Wciąż trwał załadunek więźniów, piątka za piątką. Ujadały psy.

– Schowaj się tam – powiedział do Stryja i ręką wskazał dół kloaczny pod deską ustępową, pełen cuchnącej, brązowej mazi. – Tam *budiet* dobrze. I czekaj, aż transport z jeńcami odjedzie a stacja opustoszeje. *Paniatna?* Inaczej nie ujdziesz im. *Ot i wsio.*

– Człowieku, przecież ja się tam utopię.

– Albo *budiesz żył* – odpowiedział strażnik i odsunął deskę z okrągłym wycięciem nad kloaczny doł. – *Nu bystra, bystra* – ponaglił a potem patrzył jak Stryj obsuwał się na dno śmierdzącej mazi. Dopiero gdy nie było go już widać, założył deskę z powrotem na poprzednie miejsce i ruszył z psem w stronę rampy do swojej służby.

Od tamtego dnia Stryj znowu się ukrywał. Podobnie jak za okupacji niemieckiej wpadał do domu tylko pod osłoną nocy, zmieniał brudną bieliznę, zabierał do torby trochę żywności i odchodził do lasu. Wszędzie na świecie panował już pokój i formalnie mieliśmy wolną i niepodległą Polskę a w naszym domu znowu zaczęło się mówić o wojnie, tym razem Amerykanów z bolszewikami, bo dopiero ta wojna miała się okazać sprawiedliwą, przynieść nam miała prawdziwą wolność i powrót Stryja z lasu do domu a ojca z dalekich Włoch do Ojczyzny. Znowu, jak dawniej w czasie okupacji niemieckiej, rozlegało się po nocach umówione, delikatne pukanie do okna. Matka zrywała się z łóżka, otwierała Stryjowi drzwi a on coraz częściej przyprowadzał z sobą kolegów akowców, podobnie jak on ukrywających się w lesie przed bolszewikami i polską bezpieką. Aresztowania

nasilały się bowiem. Kto w czasie wojny walczył w szeregach Armii Krajowej był teraz wrogiem, faszystą i „zaplutym karłem reakcji”. Tak ich właśnie określała nowa władza ludowa na plakatach rozlepionych na murach naszego miasteczka. „AK zaplute karły reakcji”. Trudno nam było to wszystko zrozumieć. Ludzie którzy przez sześć długich wojennych lat znosili trudy partyzanckiej wojny z niemieckim okupantem, mieliby teraz okazać się „zdrajcami naszych narodowych interesów”? Mój Stryj też? W lasach tymczasem było ich coraz więcej. Nazywano ich teraz obraźliwie bandytami, watażkami, awanturnikami a oni czuli się oszukani, osaczeni, zdesperowani, i było to widać w ich oczach kiedy nocami przychodzili do naszego domu, żeby posłuchać radia. W ogrodzie, przezornie rozstawiali wartowników a potem rozsiadali się wokół odbiornika radiowego, nerwowo palili papierosy, niecierpliwie kręcili wskaźnikiem skali, aż z pisków, trzasków i szumów wydobył się w końcu upragniony głos: Tu mówi Londyn.

Ile to ja lat potem słuchałem tej rozgłośni? Całą właściwie młodość i wiek dojrzały, aż gdzieś do początków 1990 roku. Czterdzieści parę lat jak obszył. Zawsze ilekroć chciałem usłyszeć prawdę o wydarzeniach w Polsce i niezafałszowane informacje o świecie, przestawiałem swój odbiornik na fale krótkie i szukałem znajomych mi głosów, z Londynu, Wolnej Europy, Głosu Ameryki.

Tamtej nocy Stryjek i jego koledzy bardzo się czymś zdenerwowali. Słyszałem jak podniesionymi głosami krzyčili: „zdrada”, „hańba”, a potem pomstowali brzydko na Anglików i nasz rząd w Londynie, że to przez ich ugodową politykę bolszewicy wyłapują teraz polskich akowców i wywożą ich hen, na Syberię.

– Więc już krew polska przelewana na frontach całej Europy nie liczy się wcale – pytali samych siebie. – Nie ma znaczenia? Oszukali nas panowie, oszukali.

Siedzieli potem za stołem jacyś zrezygnowani z bezradnie ku ziemi opuszczonymi rękoma i milczeli.

– I co teraz będzie z nami? – pytali po chwili. Co będzie z Polską?

Stryj dopiero teraz uniósł głowę i zobaczył, że wszystkie oczy zwrócone były na niego.

– Nie wiem – odpowiedział. Nie wiem, proszę panów.

– Musimy walczyć – odezwał się na to czyjś głos. – Musimy walczyć, bo okazuje się, że wojna dla nas wcale się nie skończyła. Wróg zmienił tylko język. Wszyscy teraz jesteśmy w podobnej sytuacji, cała Polska. Ten fetor sowieckiego szamba czuć już wyraźnie. Nie za długo będziemy w nim wszyscy.

– Zachód do tego nie dopuści – odpowiedział inny głos.

– Jesteśmy przecież i byliśmy jego najwierniejszymi sojusznikami a to ich zobowiązuje.

– W Jałcie już nam za tę wierność zapłacili.

– To jeszcze nic pewnego, panowie. Generał Anders z tym się nie zgadza. Podobno zabiega u Aliantów o pozwoleńie na powrót do Polski ze swoim wojskiem. A wtedy, panowie?

Słuchałem tej rozmowy zza drzwi mojego pokoju z wielkim zaciekawieniem, bo o tym generale Andersie to już słyszałem wcześniej. Wiedziałem od matki, że miał przyjechać do Polski na białym koniu, na czele prawdziwego polskiego wojska i dopiero wtedy nastać miała wolna i niepodległa Ojczyzna. Miał nas wyzwolić od niemieckich najeźdźców a teraz wybawić od Sowietów. Ilekroć potem przed snem zamykałem oczy, to zawsze ten przyjazd generała Andersa na czele naszych wojsk potrafiłem sobie wyobrazić. Było przecież w tej opowieści coś z baśni o śpiących pod Giewontem rycerzach i niebiańskich hufcach. Koń tego generała Andersa musiał być piękny, oczywiście okazały, podobny koniecznie do ogiera ze stajni naszego nadleśniczego. Łeb wysoko uniesiony, grzywa srebrzysta jak promienie padające od księżycy a ten krok. Boże, jak ten koń chodził, z jaką gracją i lekkością, przynależną chyba tylko wiotkim dziewczynom i cugowym koniom. Ale przyjazd generała Andersa ciągle się odwlekał. Stryj też zniknął gdzieś na czas jakiś, aż któregoś dnia, usłyszałem o nim w Polskim Radiu. Mówili, że okazał się zdrajcą Narodu Polskiego i zaciekle wrogiem ludowej Ojczyzny.

Nie uwierzyłem. Nigdy w to nie uwierzyłem. Może tylko z tą Władzą Ludową było trochę prawdy.

POLSKA SZKOŁA

Lato już się kończyło. Coraz częściej nad Wierną Rzeką rozpościerały się wieczorne mgły, szarą bielą pokrywające błonia i rozlewiska. Wraciałem tamtędy codziennie do domu, zaraz po wieczornych nieszporach do których „służyłem” chętnie i gorliwie z prawdziwą chrześcijańską pobożnością. To były moje ostatnie wakacje w Małogoszczy. Mieszkaliśmy z Matką w domu Stryja, zbudowanym jeszcze w połowie poprzedniego wieku, chyba przez dobrych murarzy i dobrych cieśli, bo w zimie było w nim zawsze ciepło a w letnie upały panował lekki, wiejski chłodek. Zaraz za domem był sad, przepastny, zdziczały w czas wojny, sięgający aż po las a w nim stara, gęsta, rozłożysta grusza. Lubiłem na nią wchodzić, bo jedna z gałęzi daleko odrastała od pnia i można było stąd zobaczyć kawał odległego świata. Kiedy po niebie płynęły pękate chmury przedziwne w kształtach i cieniach, wydawało się, że moja gałąź jest okrętem płynącym po jakimś ogromnym morzu. Wieś z oddali wyglądała jak upragniony ląd, wieża drewnianego kościółka jak morska latarnia. Czasem z oddali dobiegał też świst wąskotorowej lokomotywy z pobliskiej stacji i wtedy czułem się jak w prawdziwym porcie. Teraz to wszystko musiałem zostawić. Od września miałem bowiem zamieszkać na stacji w niewielkim ziemiańskim dworku u ciotki Woynarowskiej w Jachcicach i podjąć naukę w miejscowej szkole średniej. Zdałem już pozytywnie egzamin wstępny do klasy pierwszej i dzięki temu miałem niebawem zostać gimnazjalistą.

Wcześniej jednak w którąś sierpniową niedzielę po południu, matka wyszykowała mnie szczególnie uroczyście w świąteczne granatowe ubranie a przed wyjściem z domu zerwała w ogródku narcze fioletowych astrów i powiedziała, że pójdziemy na Podklasztorze podziękować panu nauczycielowi, który w wielkiej tajemnicy przed całym światem uczył mnie w czasach niemieckiej okupacji pisać, czytać i rachować a także fizyki, biologii i historii ojczystej, słowem wszystkiego co było obowiązujące w przedwojennej szkole podstawowej. Był bowiem nauczycielem uniwersalnym, oddanym swojej pracy, mądrym i patriotycznym. Nieraz w

trakcie owej, konspiracyjnej nauki wydawał nam się uczniom, człowiekiem nawet trochę nudnym, monotematycznym w swojej zasadniczości i przywiązaniu do narodowych symboli. A on wpajał nam po prostu polskość i umiłowanie do rodzimej ziemi. Dopiero po latach z pewnym już socjalistycznym bagażem doświadczeń życiowych na karku uświadomiłem sobie, ile samozaparcia, wiary w swoją pracę i miłości do ojczyzny było w tamtych przedwojennych polskich nauczycielach.

Swoją zawód traktowali ze szczególnym posłannictwem zwłaszcza kiedy Ojczyzna znalazła się w wielkim zagrożeniu narodowym i niepodległościowym. Nowej ludowej władzy te piękne cechy polskich nauczycieli wcale nie były na rękę. Właśnie zaczęto u nas zastępować patriotyzm internacjonalizmem a miłość do Ojczyzny przyjaźnią ze Związkiem Sowieckim. Starych, przedwojennych pedagogów zaczęto wnet zastępować nową kadrą „nauczycieli” po szybkich kursach ideologicznych, gdzie wpajano im zafałszowaną historię, opluwano naszych bohaterów narodowych i propagowano żywcem przenoszone z Kraju Rad, nowe, rewolucyjne zasady moralne w myśl których zbrodnie nazywano koniecznością dziejową a kradzież i rabunek sprawiedliwością społeczną.

Większość nauczycieli przeciwstawiało się tak pojmowanemu szkolnictwu i ci na ogół skończyli w ubowskich więzieniach, lub pod byle pretekstem odsuwani byli od zawodu. Ale znałem także takich, którzy potrafiliby się przystosować do nowych zwyczajów i z pełnym ideologicznym przekonaniem szkolili nowe kadry dla potrzeb socjalistycznej Ojczyzny.

Co z tego wynikało dla następnych pokoleń Polaków?

Jakoś jesienią 95 roku a więc już w wolnej, niepodległej Polsce, miałem spotkanie z czytelnikami w jednym z łódzkich Domów Kultury. Wśród zebranych był też pewien starszy pan, który w trakcie dyskusji zdecydowanie twierdził, że w książce pt. „Bóg o nas zapomniał” podałem nie sprawdzone, subiektywne historyczne nieprawdy. „Nie było bowiem żadnych masowych ani przymusowych wywózek na Sybir, a tylko sami Polacy mieszkający wtedy na dawnych kresach Rzeczypospolitej dobrowolnie wyjeżdżali na wschodnie tereny

Związku Sowieckiego w poszukiwaniu pracy”. Oniemiałem. W pierwszej chwili pomyślałem nawet, że jest to taki swoisty żart, powtórzony jako sarkazm za oficjalną propagandą sowiecką. Dopiero później w trakcie kulturalowych już rozmów podeszło do mnie dwóch młodych ludzi, studentów Uniwersytetu Łódzkiego, jak się okazało, którzy powiedzieli mi, że ów starszy pan to profesor historii na ich uczelni. Dla niego w doktrynach naukowych nic się nie zmieniło. Piłsudski dalej pozostał antypolskim, austriackim agentem. Anders był zdrajcą narodu i sługusem światowego imperializmu a Katyń to wymysł goebbelsowskiej propagandy. Tragedia w tym wszystkim polegała na tym, że ów profesor dalej uczył historii naszą młodzież.

W tamtą powojenną, sierpniową niedzielę, pan Rokicki zaprosił nas, czwórkę swoich konspiracyjnych uczniów, na coś w rodzaju zakończenia roku szkolnego. Za domem był sad ze starymi drzewami, pełen zapachów dojrzałego lata i kolorowych owoców. W cieniu, pod gałęziami drzew ustawiony był stół nakryty białym obrusem a na nim duży kajet o formacie A-4, zastępujący w tamtych czasach dziennik lekcyjny i kosz jabłek na poczęstunek dla gości. Siedzieliśmy na krzesłach wystawionych z domu do ogrodu, było cicho, pobrzękiwały pszczoły obok pobliskiej pasieki i wtedy pan Rokicki odziany w niedzielne ubranie z aksamitną kokardą pod szyją usiadł za stołem i każdemu z nas zaczął odręcznie na kratkowanym listowym papierze wypisywać świadectwa ukończenia siedmiu oddziałów szkoły podstawowej.

– Chłopak jest zdolny – mówił do mojej matki – chociaż łobuz i leń ale wypiszę mu dobre stopnie, niech ma na początek dalszej edukacji w wolnej już polskiej szkole. – Umoczył stalówkę pióra w szklanym kałamarzu z niebieskim atramentem i zaczął pomału kaligrafować moją cenzurkę.

„Ja, Rokicki Antoni, nauczyciel a przed wojną kierownik szkoły wiejskiej w Małogoszczy, zaświadczam z całą odpowiedzialnością, że Andrzej Kalinin, syn Józefy i Włodzimierza, wyznania rzymsko-katolickiego, urodzony 25 listopada, pobierał u mnie nauki na tajnych kompletach w zakresie szkoły podstawowej i ukończył siedem jej oddziałów z ogólnym wynikiem dobrym. Świadectwo niniejsze wydaje się dla potrzeb władz oświatowych w celu...”

— Czemu pan nie napisze, że zdał z wynikiem bardzo dobrym – dopytywała się moja matka.

— Bo na tyle zasłużył – odpowiedział Rokicki. – Szkoła, proszę pani, powinna być szkołą i zawsze oceniać sprawiedliwie.

Zaraz po udanym egzaminie wstępnym do pierwszej klasy szkoły średniej, matka kupiła mi na jarmarku w Jędrzejowie obowiązującą wszystkich gimnazjalistów granatową czapkę. Zgodnie z ówczesną modą była ona w kształcie rogatywki na czele której umieszczony był znaczek otwartej książki z literami ONC co oznaczało: Ojczyzna, Nauka, Cnota. Boże Wielki. Kto dzisiaj pamięta jeszcze o takich rzeczach i kto uznaje takie ideały? Wydają się teraz śmieszne, nie pasujące do współczesnego skomercjalizowanego życia a w tamtych czasach czapka na głowie z takim znaczkiem była powodem do dumy. Oznaczała przecież gimnazjalistę i nominowała do wyższej, społecznej klasy nie w sensie materialnym oczywiście, ale zawsze w wymiarze jakiegoś moralnego statusu. Im ta czapka była bardziej zniszczona, spłowiała, wyświechtana, tym dobitniej świadczyła o długim stażu edukacyjnym gimnazjalisty. Podnosiła jego prestiż intelektualny i znaczenie w środowisku. Gniotłem więc swoją granatową rogatywkę ile weszło, wykręcałem ją, maltretowałem, czyściłem nawet buty byle tylko dodać jej starości. Nie wiem czemu, ale za żadne skarby nie chciałem wyglądać na nowicjusza. Gimnazjum, to było gimnazjum, nie to co smarkata podstawówka.

PSZCZOŁY I TRUTNIE

Dworek Ciotki w Jachcicach był w połowie spalony i doszczętnie obrabowany przez miejscowych wieśniaków. Pod dachem została jedynie duża kuchnia z ogromnym piecem kaflowym, w którym można było wypiekać nawet chleb i dwa pokoje od strony ogrodu, z których jeden przeznaczony został na moją stancję. Stało tam już łóżko z siennikiem wypchanym jęczmienną słomą, drewniany stół pod oknem, duża, gdańska szafa na ubrania i w podobnym stylu cztery krzesła o wysokich oparciach i siedzeniach wyściełanych miękką,

morską trawą. Tyle tylko zostało ciotce z bogatego wyposażenia dworskich pokoi. Dziedziczka bowiem w trakcie parcelacji majątku siedziała zamknięta w ubowskim areszcie, toteż wszystkie dworskie dobra zgromadzone tam przez kilka pokoleń rodziny Woynarowskich były nie pilnowane, więc jakby przez to niczyje. Rabowano zatem wszystko co wpadło w ręce, potrzebne, niepotrzebne, byle brać. Każda rzecz miała tu przecież swoją tajemniczą i do końca nie odgadnioną wartość. Bywało później, że nawet po latach, w wielu chłopskich obejściach w cuchnących gnojem oborach i przydomowych szopach odnajdywała ciotka swoje stylowe meble, obrazy w pozłacanych ramach, ozdobne kafle z pieca i pordzewiałe już, ale wciąż zdadne do użytku maszyny rolnicze. Niczego jednak z tych rzeczy nie udało się jej odzyskać. Mimo, że próbowała.

— No cóż obywatelko, mieli prawo zabrać ze dworu co chcieli – tłumaczył ciotce komendant miejscowego posterunku milicji, gdy przyszła prosić o pomoc w odzyskaniu odnalezionych na wsi przedmiotów.

— Sami chyba rozumiecie, że to co wam zabrali, to tak po prawdzie nie było wcale wasze, tylko ludu pracującego miast i wsi, ot co. Wy obszarnicy i burżuje przez całe wieki zabieraliście sobie owoce ciężkiej, proletariackiej pracy i teraz właśnie nadszedł czas na dokonanie sprawiedliwości dziejowej.

— Nie rozumiem tak pojmowanej sprawiedliwości – odpowiedziała ciotka.

— Nie rozumiecie? No tak, nie rozumiecie. A jaką wy właściwie macie szkołę?

— Wyższą.

— Wyższą, wyższą. Ja się pytam ile klas?

— Będzie chyba gdzieś piętnaście albo szesnaście, bo to matura i parę lat studiów.

— No i proszę. A ja mam tylko pięć oddziałów powszechniaka na Podklasztorzu ale wiem w czym sprawa. Lud wszedł do śródmieścia – rozumiecie obywatelko? Lud – jak powiedział jeden rewolucyjny poeta.

— Słowacki.

— No właśnie. Przypomnieliście mi nazwisko. Towarzysz Słowacki. Na kursach milicyjnych mówili nam o nim.

Tą nową sprawiedliwością dziejową pachniało wokół dworu długo jeszcze, bo przez kilka następnych lat. Ziemia tak mocno przesiąknięta była pogorzelskiem, że nawet wiosenna zieleń nie była w stanie go uśmierzyć. Wciąż pachniała dymem, draństwem i niesprawiedliwością. W miasteczku zaś, nikt nie wiedział kto podpalił dwór. Opowiadano tylko, że kiedy przedstawiciele nowej ludowej władzy przyjechali żeby parcelować dworską ziemię i dzielić między chłopów inwentarz z dobytkiem, dziedziczka Woynarowska stanęła przed nimi z rozpostartymi rękoma i zawołała: – Nie oddam. Po moim trupie dopiero. To jest ziemia powstańców styczniowych i listopadowych, zesłańców carskich i żołnierzy Piłsudskiego z 20-go roku. Na zmarnowanie bolszewikom nie oddam. – Roześmiali się w głos. Ktoś ją potem pchnął i powalił na ziemię. Patrzyli teraz na nią z góry, małą i drobną, rękami uczeponą ziemi z desperacją broniącą swojej własności. Ludzie ze wsi stojący wokół zastygli w bezruchu i nagle zrobiło się cicho, od wstydu może albo zakłopotania. Ale oto wtedy dwóch rosyjskich parobków, niedawno jeszcze zatrudnionych w dworskiej stajni, ujęło dziedziczkę pod ręce, uniosło do góry i wrzuciło do środka odkrytego, wojskowego łoża. Zamilkła tam przerażona nagle i trwała tak czas jakiś w odrętwieniu, aż dopiero kiedy zobaczyła swojego męża wrzuconego również na skrzynię samochodu przywarła do niego mocno i gwałtownie niczym dziecko szukające bezpiecznego schronienia. Ta serdeczna bliskość musiała im wtedy dodać sił, bo oto wnet obydwójce podnieśli się z klęczek, wyprostowali plecy i spojrzeli po ludziach wokół samochodu. Ci nie wytrzymali ich wzroku i pomału, jeden po drugim spuszczały oczy ku ziemi. Znali ich przecież. Nie raz przychodzili do dworu szukać rady i pomocy. Lata całe leczyła ich w czasie choroby, kupowała lekarstwa, zdolniejszym dzieciom opłacała gimnazjalną „bursę”. Matkowała im z racji wykształcenia i tradycji polskich dworów. Ale oni teraz nie chcieli o tym wszystkim pamiętać. Milczeli uparcie w zgodzie ze swoją chłopską zawziętością i czekali. Mieli przecież dostać na własność ziemię, tę której im zawsze brakowało, liczoną na morgi, na łąny, na biedne bytowanie, na głodne przednówki.

I teraz to wszystko miało się odmienić na lepsze, na stałe,

za sprawą tych ludzi, którzy przyszedli przegonić panów dziedziców. Nie patrzyli więc za samochodem odjeżdżającym w stronę miasteczka. Odwracali głowy, spuszczały wzrok i starali się nie widzieć na skrzyni wojskowego łoża podtrzymujących się nawzajem dwu postaci niedawnych właścicieli ich dworu. A oni oddalali się i oddalali długą kasztanową aleją w nicość. Dopiero kiedy ucichł do końca warkot samochodowego silnika, ktoś krzyknął głośno: – Do dworu. Choć do dworu.

Rzucili się tam wszyscy a potem czeredą rozbiegli się po pokojach i dworskich obejściach. Zabierali co się dało, potrzebne, niepotrzebne, byle szybko. Podniecała ich owa nagła wizja bogactwa jakby żywcem przeniesiona z baśni o wielkich skarbach. Mieli już zupełny obłęd w oczach, kiedy gwałtownie w pośpiechu zaczęli zrywać z framug drzwiowych dekoracyjne kotary a ze ścian portrety i obrazy w ciężkich złożonych ramach. Przez otwarte na oścież okna wyrzucali na zewnątrz meble i sprzęty, odzież i pamiątki rodowe. Cała prawie wieś, dorośli i dzieci brali w tym udział. Niektórzy ładowali zdobyte łupy na swoje furmanki, inni na piechotę gonili z dworu do wsi i ze wsi do dworu, po kilka razy w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, niczym mrówki w pracowitym zapamiętaniu, aż zastała ich przy tym noc.

Wtedy ktoś podpalił dwór, żeby było widniej.

Ciotka wróciła w ubeckiego aresztu po dwóch tygodniach dziwnie zubożona i pogodzona ze wszystkim co się wokół niej wydarzyło. Obeszła dookoła spalony dwór a potem usiadła na schodach domu i trwała tam długo i nieruchomo, zapatrzona w perspektywę kasztanowej alei. Minął dzień i noc, przeszedł deszcz i zrobiło się zimno a ona siedziała dalej. Jakaś litościwa kobieta otuliła ją grubą wełnianą wiejską chustą ale dziedziczka nawet nie drgnęła ani nie skinęła jej głową. Skurczyła się tylko bardziej pod tą chustą, jakby zmalęła. Ludzie ze wsi podglądali ją ukradkiem zza drzew, zza ścian spalonego dworu, jakby zawstyżeni tym co się stało a potem mówili do siebie, że dziedziczka pewnie zwariowała. Myśli jej się w głowie poplątały od tego wszystkiego co się wydarzyło. Mówili też, że ktoś ze wsi chciał ją zabrać do swojego domu, ale odmówiła. Powiedziała, że czeka na męża, aż go wypuszczą z ubeckiego aresztu. Dni

jednak mijały a wuj do domu nie wracał. Po latach dopiero okazało się, że zmarł gdzieś na Syberii w jednym z sowieckich łagrów jako polski pan, obszarnik, ciemiężca ludu i okrutny krwio pijca.

Z pogorzelska dziwnym trafem uratowała się tylko jedna po nim pamiątka, mianowicie portret jego ukochanego wodza, marszałka Józefa Piłsudskiego, który po dziś dzień wisi na głównej ścianie domu jego córki. Przetrwiał wszystkie złe czasy, Bieruta, Gomułki, Gierka i nawet stan wojenny generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Mój przyjazd do Jachcic ciotka przyjęła z wielką radością. Popłakała się nawet i kiedy na powitanie przytuliła mnie do siebie, mówiła: – Nie będę już sama. Boże, dziękuję Ci, nie będę już sama.

Zamieszkaliśmy w tej części budynku, która w tamtą noc, kiedy rabowano dworski majątek, szczęśliwie ocalała od pożaru. Któryś z dawnych pracowników folwarcznych oszklif nam okna a pan Kulas, dawniej ekonom na ciotczynym majątku, przywiózł na drabiniastej furmance część mebli i drobnych sprzętów odebranych na wsi chłopom. Jako tako urządziliśmy nimi nasz dom. Ten dawny ekonom Kulas od razu zwrócił na siebie moją uwagę. Jakoś dziwnie śmiało i poufale odnosił się do swojej dawnej dziedziczki. Ciotka nazywała go Janem, choć miał na imię Franciszek, ale ciotka z przyzwyczajenia do wszystkich mężczyzn mówiła „Janie”, bo jak twierdziła nie chciała sobie zaprzętać głowy innymi imionami. Każdy chłop był u niej Janem i basta. Jedyne w stosunku do mnie czyniła wyjątek, nazywając mnie Jędrkiem albo Andrzejem w zależności od humoru ale tylko do momentu, gdy w całości byłem posłuszny jej myślom i planom. W przeciwnym wypadku obrażała się natychmiast i jak wszystkich mężczyzn nazywała mnie Janem.

– Niech Jan zabiera się do odrabiania lekcji – mówiła – albo niech Jan naniesie wody ze studni, bo jutro sobota i trzeba się porządnie wyszorować.

Kulas już od jakiegoś czasu na stałe mieszkał w naszym domu i najpierw ukradkowo a potem już całkiem jawnie sypiał z ciotką niczym dawny mąż dziedziczki. Moja matka, która co jakiś czas wpadała do nas w odwiedziny, nie mogła się z tym pogodzić.

– Z takim chamelem się złączyłaś – mówiła z wyrzutem w głosie – z takim prostakiem i heretykiem w dodatku.

Ale ciotka na to uśmiechała się tylko melancholijnie i twierdziła, że wszystko dookoła tak się teraz poplątało i pozmieniało, że ani rozwodu nie ma, ani wdowieństwa, jakże więc ma inaczej postąpić ze swoimi rozterkami.

– To był podobno piękny chłop z tego Kulasa. Wysoki, gibki, śniady jak Cygan z rzędem białych zębów niczym u młodego psa – opowiadały potem o nim dziewczyny ze wsi, gdy gdzieś w półtora roku później nowa władza ludowa wyprawiła mu pierwszy w całym powiecie partyjny pogrzeb. Zupełnie inny od dotychczasowych, bo bez udziału księdza i Bożego słowa. Bo też wślawił się ten Kulas gorliwością i okrucieństwem na ubeckiej służbie, że żaden uczciwy człowiek nie mógłby go za to rozgrzeszyć.

– Wszystko to stało się dlatego, że się głupek wziął za politykę i do czerwonych przystąpił – zawyrokowała ciotka. – Nie miał do tego przecież ani głowy, ani potrzebnych szkół i zamiast budować ule i hodować pszczoły jak czynił to przez lata całe, zachciało mu się władzy i lekkiego chleba.

Tamtej ostatniej zimy nim Kulas wyjechał do Kielc na partyjne szkolenia, ciotka kazała mi pomagać mu przy budowie uli. Zamówień na pasieki było bowiem sporo i do wiosennych, pszczelich wyrojeń trzeba było przygotować nowe dla nich mieszkania. Ciotkę zawsze fascynowały te niezwykle owady i mogła o nich opowiadać godzinami niczym o jakichś mistycznych zjawach wyznających kult kwiatów, słońca i lata, o ich alchemicznych wręcz umiejętnościach przemiany kwiatowego pyłu w życiodajny miód. Budowałem więc z Kulasem ule niemal we wszystkie zimowe wieczory i wtedy w całym naszym domu pachniało świeżo heblowanym drewnem i olejną farbą. Ule musiały być przecież dokładnie do pszczelich potrzeb skonstruowane, należycie zabezpieczone przed złymi pogodami i pięknie dla elegancji wymalowane na zielony kolor w takiej samej barwie, jaką miały majowe liście w naszym przydomowym sadzie. Wczesną wiosną były już gotowe i czekały w cieniu rozłożystych, starych jabłoni na przyjęcie nowych lokatorów. Pszczół jednak do tych świeżutko zbudowanych uli Kulas już nie wprowadził. Został bowiem w naszej gminie przewod-

niczącym PPR-u i zajął się kolektywizacją wsi.

Tymczasem lato zrobiło się już dojrzałe, pszczoły wyraźnie zaczynały się roić w pełnych miodu ulach a Kulas do dworu nie wracał. Ciotka niby tego nie zauważała, lekceważąco machała ręką gdy ktoś o nim wspominał, ale po nocach bywało, że popłakiwała cichutko z samotności pewnie, upokorzenia i wstydu. Nigdy nie zdołałem dociec która zdrada Kulasa zabolęła ciotkę mocniej. Ta zwyczajna kobieca, związana z pustym teraz łóżkiem, czy ta druga, patriotyczna, polegająca na wysługiwaniu się komunistom.

Andrzej KALININ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wiersze

Wacław IWANIUK

SONET DLA MARKIZY

*Podczas ostatniej wojny, „Markiza” z historycznej, za-
możnej, włoskiej rodziny, z narażeniem życia odwiedzała
Warszawę, starając się wywieźć na fałszywych papierach
polskie sieroty do Włoch i do Anglii.*

*Po wojnie „Markiza” zamieszkała w Anglii w swej
posiadłości, gdzie ją poznałem i historię polskich dzieci.
Wtedy właśnie napisałem dla niej ten sonet.*

Chciałbym jak Ronsard, wiążąc zdania
Napisać sonet z krwi i kości.
Wyjaśnić rymem sens kochania
I głębszy jeszcze sens miłości.

Chciałbym posągi rzeźbić z liter.
Opisać Diany wdzięk wspaniały;
Julie, Heleny, Beatrycze
Rzeźbić jak Fidiasz swoje skały.

A najpiękniejszym ze słów, słowem
Oddać myślącą twarz Markizy.
Jej uniesioną dumnie głowę

Z dziwnym uśmiechem Monny Lizy.
Jej wzrok co sięga głębi duszy
I ludzką małość w sercu kruszy.

Wacław IWANIUK

Aleksander JASICKI

KRUPNICZA 22 – POŻEGNANIE Z LEGENDĄ

urząłem się z legendą
leżę pod stołem urznięty
obok mnie
na podłodze
urznięty
łeb legendy

z perwersją odrąbany
na bilardowym stole
nad nim
z kijem w rękę
tańczy dziwka Salome

tańczy płąsa Salome
wredna córka mamony
urznięty jest łeb legendy
rozniosą nas widły
brony

8.01.96

Aleksander JASICKI

(W styczniu 1996 literaci opuścili dom przy ul. Krupniczej 22 w Krakowie. Jest tam klub bilardowy).

Jarosław KLEJNOCKI

ŁABĘDZIA WYSPA

Malutki Hel. Drobny chodnik. Ostrów
niepewności. Siedzimy na ławce. W

naszych słowach młodość (*upadła
albo dumna – w każdym razie nie nasza,
inna. Jak historia niewinnej kruczaty,
albo baśń*). Płyną ciężkie barki po rzece,
płyną słowa, jeszcze cięższe. Daleko stąd
pod namiotem tlenowym umiera poeta.
W tej chwili nasza pamięć uwolniła się.
Jest bardzo gorąco. Ciało ma swoje prawa
i one tymczasem dyktują konstytucję. Mosty
wielkich dróg niczym bieguny spinają nasz
spacer. Jest wyraźny początek i dotkliwy koniec.
Trochę potu i zmęczenia pomiędzy. Nasi
bliscy pozostają w podróży. Tymczasem oddaleni,
w obcych miejscach. Więc idziemy, wyzbyci troski,
zawieszając wzrok na przydrożnych kamieniach.
Ślady tych co szli przed nami dawno wyparowały.
Powietrze unosi ich minioną obecność ale niczego
nie udaje się wyczuć. To tylko epizod mówimy sobie
w myślach. Tak. Nasze serca pracują jak oszalałe.
Jesteśmy szczęśliwi, niewiele widzimy.

Ile des cygnes, Paryż, 12.07.1997

Jarosław KLEJNOCKI

Stefan PEKSA

* * *

Mamie bez żadnej, bo ciągłej okazji

Jeszcze wczoraj
rozpędzony halnym
przeczesywał doliny
grzebieniami chmur
zmarły na Zawrat
z miłości do gór

Książyc
może wstanie jutro
by nas położyć
w nadziei.

Kalatówki, 24/25 X 80.

Stefan PEKSA

TRZY WIERSZE Z NIEMIECKIEGO

Johann Wolfgang GOETHE

Wandrer's Nachtlied („Über allen Gipfeln“)

Nad każdym szczytem gór
jest spokój taki.
Korony drzew bez ruchu,
zastygł bór,
milczą w nim wszystkie ptaki.
Już teraz nic nie usłyszysz,
czekaj – ty też za chwilę
spoczniesz w tej ciszy.

Heinrich HEINE

Tausend Jahre schon und länger

Tysiące lat znosimy siebie,
jak bracia z losem pogodzeni:
ty znosisz to, że ja oddycham;
ja znoszę ciebie, gdy się pienisz.

Rainer Maria RILKE

Was wirst du tun Gott, wenn ich sterbe?

A gdy ja umrę, Boże, co zrobisz ze sobą?
Jestem twój dzban: jak pęknę, nie będę ozdobą.
Jam twój napój; gdy zniknę, nie zostanie z tobą.
Z twego wyrobu jestem, twoją garderobą,
Kiedy mnie już nie będzie, jaki twój sens będzie?

Stracisz po mnie i swój dom, a z nim słów orędzie
bliskie, ciepłe, co wita ciebie jak sąsiada.
A oto ze znużonych twoich stóp już spada
Sandał aksamitny: to przecież jestem ja.
Ten wielki płaszcz na tobie zsuwa się z ramienia.
Na policzku jak ciepła na poduszce ła
zatrzymał się dotyk twojego spojrzenia.
Będzie mnie odtąd szukał, powracał co dnia,
aż raz, gdy zachód słońca opromieni ziemię,
na łonie mym położą się obce kamienie.

Co wtedy zrobisz, Boże? Lęk – lęk jest we mnie.

Przełożył Jerzy PIETRKIEWICZ

Artur SZLOSAREK

KWIETNIOWA OPOWIEŚĆ

pamięci Paula Antschela

O,
to wcale
nie takie proste –
złudzenie: bulgoce śnieg, no w chmurze, bo wisi nad dzwonnica,
bo jedzą z dzwonu, bo dusi je dźwięk, bo on ptaki zmusił –

o, sam widzę;
odbite w brudnej wodzie, płyną na północ
wykoślawione gałęzie –

o, za tą szybą pisałem prozą,
abyś wybrał to miejsce, abyś przeinaczył,
a teraz chodzisz, tu i tam,
i z powrotem, no zmiłuj się, nie męcz tak tej najbliżej z nocy –
ha, ależ było: piliśmy z tymi, co nie mają twarzy,

voilà votre mort, monsieur,

o,
to wcale nie takie proste, ale sprawiedliwe

łudzić się, że się czuwa nad tobą
w świetle,
w odwróconej do góry nogami sekwanie

Artur SZLOSAREK

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

KSIEGA CZARNA I... CZERWONA

Motto: „Habent sua fata libelli...” Książki mają swoje losy. Ale żeby do tego stopnia!?

I. PRZEZ BUCHALTERIĘ DO SERCA KOMUNIZMU

Żadna książka historyczna, zwłaszcza tak opasła, trudna w czytaniu, pełna dokumentów, statystyk, nazwisk, cytatów, odsyłaczy, nie wywołała w ciągu ostatnich lat, takiego echa, a przede wszystkim takiego skandalu i takich ataków. „Książka nachalna”, „gwałt techniki reklamowej na pracy naukowej”, „operacja propagandowa”, „hucpa (*imposture*) intelektualna”, „dane manipulowane”, „liczby sfałszowane”... to tylko skromny wybór z litanii na temat „Czarnej księgi komunizmu: zbrojne, terror, prześladowania” i jej autorów, a zwłaszcza Stéphane'a Courtois, koordynatora całości, redaktora przedmowy i wniosków.

Jest się o co spierać. Ilościowo i jakościowo, na wagę i na treść. Sześciu autorów głównych: poza Courtois, są tam historycy Nicolas Werth, Jean-Louis Panné, Jean-Louis Margolin, Karel Bartosek, i Polak Andrzej Paczkowski, pięciu współpracowników i ko-autorów niektórych rozdziałów: Rémi Kauffer, Pierre Rigoulot, Pascal Fontaine, Yves Santamaria i Sylvain Boulouque, 850 stron gęstego druku, 15 stron indeksu z około 1.500 nazwiskami, masa dokumentów, 32 strony zdjęć (mało: „komuniści nie chwalili się ‘sukcesami’”, wyjaśnia Courtois), wszystko razem, wydane przez „Robert Laffont”,

słąda się na pierwszą, według Courtois, próbę globalnego, „planetarnego” dotarcia i opisu jądra zjawiska pod nazwą komunizm, to znaczy zbrodni i terroru.

„Księga”, poza wstępem i zakończeniem, zawiera kolejno rozdziały dotyczące ZSSR („Państwo przeciw narodowi”), Kominternu („Rewolucja światowa, wojna domowa i terror”), Europy Środkowej i Wschodniej („Druga Europa, ofiara terroryzmu”), Azji („Komunizm azjatycki: między reedukacją i masakrą”), Trzeciego Świata (Ameryka Łacińska w starciu z komunizmem, afrokomunizm i Afganistan)...

Samo wyliczenie tytułów rozdziałów przyprawia o dreszcze. Nic dziwnego, że Courtois oczekiwał kontrofensywy. I doczekał się – co w swojej przedmowie podkreśla – że podjął wszystkie możliwe w nauce kroki zapobiegawcze zanim sformułował wniosek, iż terror był od samego początku jednym z zasadniczych czynników współczesnego komunizmu, w jego całości i przez cały czas jego istnienia. Że, inaczej, w bardzo wielkim skrócie mówiąc, masowa zbrodnia stanowiła w komunizmie istotę systemu sprawowania władzy.

„Księga” podejmuje próbę podliczenia rezultatów rządów komunistycznego terroru (czyli bez ofiar wojny). Naturalnie, jest to, jak powiada Courtois, tylko przybliżenie (raczej w dół, dodaje), ale jest to także jedyny sposób na uświadomienie sobie „wagi (czy zasięgu) problemu”. „Wagi” to naturalnie eufemizm. Bilans jest przerażający. ZSSR: 20 milionów zabitych; Chiny: 65 milionów; Wietnam: milion; Korea Północna: 2 miliony; Kambodża: 2 miliony, Europa Środkowa i Wschodnia: 1 milion; Ameryka Łacińska: 150.000; Afryka: 1,7 miliona, Afganistan: 1,5 miliona... Bilans sięga – powiada Courtois – 100 milionów ofiar czerwonego terroru według wszystkich trzech uznanych w zasadach trybunału z Norimbergii rodzajów: zbrodni przeciw pokojowi (np. traktat z Hitlerem w 1939 r.), zbrodni wojennych (np. Katyń) i zbrodni przeciw ludzkości (głód, deportacje, „rozkułaczenie” i inne likwidacje całej grupy, „wrogiej klasy” itd.).

Halucynacja? Wcale nie, rzeczywistość. I to bardzo starannie udokumentowana. Jeżeli, jak napisał Queneau, „historia to nauka o ludzkim nieszczęściu”, to „Księga” tę formułę potwierdza. Koszmarna „buchalteria” nie stanowi jednak celu samego w sobie. Jest tylko jednym (może głównym) z instru-

mentów, jakimi posłużyli się autorzy poszczególnych rozdziałów dla omówienia i zrozumienia tego kolosalnego zjawiska jakim jest współczesny komunizm, jeden z dwóch totalitaryzmów jakie nazaczyły i wykrwawiły XX wiek i jaki, w Chinach, Korei czy na Kubie, lub mniej bezpośrednio jak we Francji, gdzie partia komunistyczna uczestniczy w rządzie, jeszcze go w jakiś sposób znaczą.

Ostrość ataków na książkę, a zwłaszcza na Courtois (krytykowany także, co jest osobliwością wydarzenia, przez niektórych... współautorów) nie powinna dziwić. Książka ma (dzięki m.in. – co za paradoks – ostrości ataków przeciw niej), jak na tego rodzaju dzieło, kolosalne powodzenie. 130.000 egzemplarzy sprzedanych w ciągu pierwszego miesiąca, nadaje jej wymiar ważnego zjawiska politycznego i ideologicznego. Nie mogło ono nie wywołać gwałtownej reakcji ze strony zwolenników (bezpośrednio zainteresowanych lub ich poputczyków) licznych, zwłaszcza we Francji, innej – nie głównie „zbrodniczej” – analizy komunizmu. „Księga” stawia bowiem sprawę jasno: terror i masowa zbrodnia tkwią w samym sercu systemu komunistycznego, terror komunistyczny nie był pomysłem Stalina, który miał zdradzić wielkiego Lenina, a pojawił się wraz z rewolucją, był obecny od początku w teorii i praktyce Lenina; Stalin, jak powiada Werth w najdłuższym i najlepiej udokumentowanym rozdziale (jedna trzecia całej książki), „był w Leninie”.

To jednak tylko początek rozumowania. Idąc tym śladem, Courtois dowodzi, że jakaś część zbrodni popełnianych przez rządy komunistyczne (np. „zamorzenie” głodem milionów chłopów, tylko za to, że uznano ich za „kułaków” i tylko za to, że byli Ukraińcami, albo masowe wywózki całych narodów Czeczeńców czy Ingusów), zaliczyć można bez wahania i w pełni do kategorii zbrodni przeciw ludzkości. Stąd był już tylko jeden krok do zestawienia „dokonań” komunizmu i hitleryzmu, dwóch systemów totalitarnych, które umieściły zbrodnie u podstaw ich funkcjonowania, do porównania „totalitaryzmu (i zbrodni) rasy” do „totalitaryzmu (i zbrodni) klasy”. To prawda, że po jakimś czasie bolszewicki terror tracił na ostrości, w Europie Środkowej po kilku latach, w ZSSR czy Chinach po kilku dziesięcioleciach, że reżymy komunistyczne, stabilizując się, przechodziły na

„represje na co dzień” (cenzura, zamknięte granice, prześladowanie dysydentów), ale „pamięć terroru” bardzo przyczyniała się do zapewnienia skuteczności systemu.

Mówiąc w wielkim skrócie i po dziennikarsku, „Księga” rzuciła ogromne wyzwanie: zrozumieć jak to się stało, że tak wielki ideał przeszedł w tak wielką zbrodnię, że tak ogromna nadzieja przekształciła się w tak ogromny koszmar? Udało się? I tak i nie, a raczej i nie i tak.

Nie, bo awantura między autorami (Werth i Margolin są w sporze z Courtois) w jakiś sposób redukuje wiarygodność książki. Tak, albowiem niezwykła w kołach naukowych ostrość krytyki zewnętrznej potwierdza, że „Księga” trafiła w czuły i bolesny punkt. Zdumiewający sukces książki świadczy o ogromie ludzkiej ciekawości i wątpliwości, a także o ogromie potrzeby sprostania temu „zamówieniu”.

Dla uważnego czytelnika wydawnictw i czasopism historycznych np. w Polsce, „Księga” zawiera tylko niewiele faktygraficznych rewelacji. Jednak problemy natury, nie bójmy się tego słowa, ideologicznej, jakie, poza „buchalterią”, stawia ta „Czarna (rzeczywiście) księga”, są już dziś, miesiąc po jej ukazaniu się, niezbędnym etapem na drodze poznania zjawiska komunizmu, jednego z głównych, jeżeli nie głównego rozdziału historii XX wieku.

Historia ludzkości znaczonej krwią. Ale żaden wiek tak nią nie spłynął jak nasz kochany wiek XX. My, współcześni, poznaliśmy wszystkie wielkie katastrofy możliwe: dwie wojny światowe, masakry w Turcji (Ormianie), Abisynii, Biafrze, Rwandzie i Bośni. Jedyne w historii zjawisko *Shoa*. I dwa totalitaryzmy. O wszystkich właściwie nieszczęściach powstały książki i filmy, każde prawie ma swoje muzeum, „użyźnia” całe gałęzie nauki. Także komunizm w jego utopijnym aspekcie ma bogatą literaturę. Ale jego realna tragedia była właściwie, w sensie globalnym, w jej światowym wymiarze, pominięta albo zafałszowana. „Księga” stara się zacząć to nadrabiać.

Do niedawna historia była pisana przez przyzmat dziejów władzy. Potem, przez przyzmat dziejów społeczeństwa. Teraz nie może już być pisana bez uwzględnienia dziejów prześladowań i ich ofiar. Dla książki, nawet „Księgi”, to nie najgorszy rezultat. Aby tak być mogło, trzeba było wywołać dys-

kusje. „Czarnej księdze” się to udało. Może nawet za bardzo. Jak do tego doszło?

II. COURTOIS, PROSTO Z SINIAWSKIEGO I DOSTOJEWSKIEGO

Broda à la Siniawski, bary byłego gracza w rugby (był), Stéphane Courtois przypomina wyglądem rosyjskiego chłopca. Temperament, wprost przeciwnie, raczej anarchysty, prosto z powieści Dostojewskiego. Courtois, 50-tka chyba na karku, to prowokator, w najlepszym, intelektualnym sensie tego słowa. Z zawodu jest historykiem, prowadzi badania w ramach CNRS-u, głównego francuskiego ośrodka badań naukowych.

Do podjęcia się tak ogromnego, i ryzykownego zadania jak koordynowanie prac nad „Czarną księgą” i napisanie do niej przedmowy i zakończenia, Courtois był dobrze przygotowany. Naukowo i „biograficznie”. Niedawno Courtois brał udział w przygotowaniu i wydaniu dwóch bardzo kontrowersyjnych książek. W pierwszej, „Prawda archiwów”, Karel Bartosek, historyk pochodzenia czeskiego, mieszkający od dawna we Francji, pracujący także w CNRS, współautor „Czarnej księgi”, obala męczenniczą – według autora – legendę Artura Londona, więźnia stalinizmu, cudem uratowanego spod stryczka w serii procesów Słaskiego, autora książki „L’Aveu” (Przyznanie się do winy), która posłużyła za kanwę scenariusza głośnego filmu z Yves Montandem w fantastycznej roli. W drugiej, historyk Gérard Chauvy zaatakował inną francuską legendę, okupacyjną epopeję małżonków Lucie i Raymonda Aubrac.

Specjalność Courtoisa to historia komunizmu. Specjalność i pasja, co nie zawsze daje udaną mieszkankę. Courtois uzupełnia historię XX wieku, ale, być może, załatwia tą drogą porachunki. Także z sobą samym...

W maju owego roku 1968, student w Nanterre, sercu ruchu goszystowskiego, Courtois działał w „Niech żyje rewolucja”, grupce maoistowskiej „ale nie pro-chińskiej” jak oznajmiał jej bełkotliwy „program”. Lekkie, na szczęście, delirium trwało chyba do 1971 roku, kiedy Courtois przejrzał i dojrzał, aby móc się zdziwić, że mógł tak uwielbiać

„największego zbrodniarza w historii” (doliczył się w „Czarnej księdze” 65 milionów ofiar „wielkiego sternika”).

Ale jak przejrzał, to dokładnie i do końca. Ostateczne „objawienie” nastąpiło z chwilą kiedy Courtois spotkał Annie Kriegel, jedną z najbardziej żarliwych, gorliwych i ... inteligentnych stalinowskich komunistycznych intelektualistek francuskich, która wtedy już zdążyła przejrzeć i przejść na pozycje wprost przeciwne. Razem założyli bardzo poważne pismo naukowe *Komunizm*, pierwsze właściwie na takim poziomie w tej dziedzinie we Francji, gdzie, z uwagi na głębię „zakażenia” przedsięwzięcie tego typu było wyjątkowo trudne i ryzykowne. Razem z Kriegel, Courtois wydał m.in. biografię Eugena Frieda, agenta Kominternu, który z upoważnienia Stalina, kierował właściwie partią francuską w latach 30-tych.

Przeciwnicy, w tym niektórzy spośród jego byłych towarzyszy, biją w Courtois jak w bębny: głównie zarzuca mu się manipulowanie danymi i obsesję spisku z udziałem niewidzialnych macek KGB. Ataki są ostre, ale dokumenty na ogół przyznają rację Courtois. On sam się zresztą nie zraża. Na każdy atak, poza inwektywami, odpowiada propozycją dyskusji. Courtois niczego się nie boi. Ani kompartii francuskiej, ani nawet tak potężnej francuskiej instytucji jak *Le Monde*, której dyrekcję posądza o trockistowską nostalgię. Niektórzy twierdzą, że nie bez racji...

Courtois to człowiek ambitny. Swoje posłowie do „Czarnej księgi” zatytułował skromnie „Dlaczego?” Dlaczego nowoczesny komunizm przeistoczył się, prawie natychmiast, w krwawą dyktaturę, a potem w zbrodniczy ustrój? Drobiazg, można powiedzieć. W chwili, kiedy te słowa dotrą do czytelników *Kultury*, Courtois będzie w pełnej wojnie o jego odpowiedź na to pytanie. W chwili kiedy te słowa były pisane, Courtois tę odpowiedź właśnie szykował.

III. „OD SZATANA DO BELZEBUBA”

Stéphane Courtois był w Brukseli z początkiem grudnia 1997 roku. Rozmowa, kurtuazyjna choć fragmentami ostra, trwała prawie 2 godziny. Potem poszliśmy na znakomitą kolację. Oto streszczony zapis rozmowy (kolacji streścić się nie da)...

Leopold UNGER: - *Te 850 stron, to, w sporej mierze, Pańskie dzieło. Pan koordynował zespół, Pan napisał długą i rzeczową przedmowę i wnioski. Słusznie więc w Pana właśnie przede wszystkim godzą krytycy. Nie żałują sobie. Czego tam nie ma? Właściwie najmniej jest poważnej, rzeczowej dyskusji, najwięcej inwektyw. Dostał Pan nie lada wyróżnienia: jest Pan najbardziej chyba atakowanym autorem ostatnich lat. Co się dzieje?*

Stéphane COURTOIS: - Nic nadzwyczajnego. Nasza książka wprawiła rzeczywiście we wściekłość pewną ilość osób, w wielu – właściwie we wszystkich, w jakiś sposób zainteresowanych – środowiskach. Było to zresztą do przewidzenia. Wiedziałem, że „Księga” wywoła podział, ba, przepaść nawet, między tymi, którzy gotowi są pogodzić się z prawdą, a tymi, którzy – z powodów politycznych czy ideologicznych – nie zechcą jej uznać. Rzeczywistość przeszła jednak wszystkie moje oczekiwania. Przy czym ciekawe, choć to w istocie też nie zaskoczenie, że linia podziału przebiega nie między lewicą i prawicą – tendencjami czy środowiskami – a idzie, przecina wszystkie właściwie prądy. Ciekawe np. że katolicy są wyraźnie podzieleni. Gazeta *La Croix* opublikowała doskonałe dossier bardzo nam przychylnie, podczas gdy *La Vie* (dawniej miała ‘catholique’ w tytule) zjechała nas bez litości. To samo wśród protestantów. *La Reforme*, główne pismo protestanckie, wzięło naszą stronę, co wywołało ostry atak ze strony części jej czytelników. Najważniejsze, że ostro podzieliła się lewica...

L.U.: - *Najostrzejszy atak wyszedł ze strony pisma Le Monde. W tym piśmie podziału nie widać. Wprost przeciwnie. Le Monde diplomatique wylał na was ogromne i generalne wiadro ... „nieczystości”.*

S.C.: - Podziału w *Le Monde* nie widać... na razie. W istocie istnieje, i, jeżeli się nie mylę, jest głębszy niż się na ogół sądzi. Redakcja nie jest jednomyślna ani na nasz temat, ani odnośnie sposobu w jaki kierownictwo *Le Monde* potraktowało naszą książkę. Presja „dołów” redakcji była wystarczająco silna, aby doprowadzić dyrekcję, która wydaje się być pod wpływem bardzo określonego goszystowskiego sposobu

myślenia, do zaproszenia nas do wydrukowania odpowiedzi. Jest w drodze (10 grudnia 1997. Dop. LU).

L.U.: – *Le Monde to bardzo widoczny, ale tylko wierzchołek góry lodowej. Jak Pan tłumaczy oburzenie lewicy waszą książką?*

S.C.: – Ostrożnie. Nie całej lewicy. To przecież nie koniec dyskusji. Odwrotnie. Ale istotnie gwałtowność ataku jest zastanawiająca. Inwektywy trudno uzasadnić, ale istoty pretensji nie trzeba się domyślać, leży jak na dłoni. „Księga” dotarła do serca problematyki: do zbrodni jako istoty komunizmu. Podjęła się oceny systemu komunistycznego według jego rezultatów: dziesiątków milionów ofiar. Podjęła się odpowiedzi na pytanie, jak się to dzieje, że wszędzie, gdzie komunizm znalazł się u władzy, pozostawił za sobą miliony grobów. To dla niektórych nie jest łatwe do przełknięcia.

L.U.: – *Ale to nic nowego. System komunistyczny był już „podliczany” setki razy, w kontekście politycznym, gospodarczym itd. Na rynku znajdują się setki książek i świadectw, słowo „gulag” weszło do języka potocznego, jest nadużywane, służy do wszystkiego. Ktoś, kto (na jego szczęście) tego nie przeżył, ale chciał wiedzieć, wiedział. Dlaczego właśnie „Księga” wywołała burzę?*

S.C.: – Zgoda, kto chciał wiedzieć, wiedział. Dużo, a nawet jeszcze więcej. „Księga” jednak to w pewnym sensie nowa nie tylko ilość, ale także jakość. Po raz pierwszy ukazuje się globalny bilans całej epoki komunizmu, we wszystkich krajach, we wszystkich przejawach, dokonany z uwzględnieniem jednego tylko czynnika: jego zbrodniczego charakteru. Wszystko inne jest pominięte...

L.U.: – *To m.in. wam się właśnie zarzuca. Dla milionów ludzi, komunizm miał przecież także inne oblicze, nióst nadzieję, jakiś ideał...*

S.C.: – Tak, to zresztą m.in. dzięki temu mógł się utrzymać tak długo, ale o tych innych „atrakcyjnych” aspektach ko-

munizmu sporo już mówiono. Natomiast takiego globalnego „podsumowania” zbrodni, jako istoty, a nie wypaczenia, komunizmu, nikt się jeszcze nie podjął.

L.U.: – *Ale dlaczego taki właśnie kąt ataku?*

S.C.: – Bo właśnie terror jest wspólny. Nie ma takiego modelu komunistycznego, który by terroru nie stosował.

L.U.: – *To także właściwie nie nowość...*

S.C.: – Tak, ale nie w tym ujęciu. To jest zresztą kolejne wytłumaczenie burzy. Po raz pierwszy, w każdym razie we Francji, tego rodzaju książka zredagowana jest z dystansu, z zachowaniem naukowej ostrożności, przez profesorów uniwersytetu i naukowców w ogóle. Tu już nie chodzi ani o uczestników wydarzeń, ani o wspomnienia świadków czy ofiar ustroju komunistycznego. To nie jest kronika osobistych przeżyć, ta „Księga” jest pracą historyczną. Przy czym powaga autorów jest nie do podważenia. Tym bardziej, że większość opracowań „Księgi” opiera się, to ważne *novum*, o archiwa. Jasne, nie ma dostępu do archiwów Chin czy Korei Północnej, ale jeżeli chodzi o „matkę wszystkich archiwów”, to znaczy Moskwę, nie wspominając o krajach Europy postkomunistycznej, źródła o jakie opiera się np. Nicolas Werth w swoim zasadniczym dla „Księgi” opracowaniu na temat ZSSR, nie mogą być kwestionowane.

L.U.: – *Chwileczkę. Jeżeli wszystko się zgadza i źródła są poza wątpliwościami, to jak wytłumaczyć polemikę nie między wami a waszymi krytykami, a między wami współautorami, która zresztą wybuchła jeszcze zanim się książka ukazała?*

S.C.: – Nie dramatyzujmy. Dwaj nasi autorzy Werth i Margolin, może pod wpływem ich przyjaźni politycznych na lewicy, mieli trudności, jakby to powiedzieć, z pogodzeniem się z ...własnymi tekstami. W końcu jednak, po skrytykowaniu mojej przedmowy jako kładącej zbyt wielki nacisk na zbrodniczą treść systemu komunistycznego, w swoich tekstach ni-

czego, choć mieli dużo czasu, nie zmienili. A przecież to właśnie ich opracowania, najbardziej w tej mierze właśnie przekonujące i naj...okropniejsze, moje wnioski uzasadniają. Moja przedmowa była dyskutowana przez 7 miesięcy i 17 zebrań roboczych. Jej obecni krytycy niczego wówczas nie zmienili. To dopiero kiedy 30 października 1997, zanim książka poszła do druku, *Le Monde* otworzył ogień, zaczęły się nieporozumienia.

L.U.: – *Nie ma nieporozumienia co do „podsumowania”. Nikt właściwie nie kwestionuje „buchalterii”. To wasza metoda się nie podoba. Czy jest np. dopuszczalne tak mechaniczne dodawanie ofiar najrozmaitszych, czasem aż sprzecznych, modeli komunizmu?*

S.C.: – Dodawanie, jak Pan mówi, nie jest mechaniczne. Jest jak najbardziej uzasadnione: wszystkie ofiary „dodane” padły z rąk władzy komunistycznej. Naturalnie, to łatwe, można dowodzić, że komunizm chiński nie miał niczego wspólnego z sowieckim, a kambodżański z kubańskim. To nie rewelacja. Ale, z punktu widzenia terroru, wszystkie rządy komunistyczne były kopią jednego właściwie modelu. Tak więc, mimo różnic między nimi, zasadnicze cechy były wspólne: monopol partii, monopol ideologii, kult szefa, podporządkowanie państwa aparatowi partyjnemu, no i terror. W tym sensie, nawet po rozmaitych schizmach, system komunistyczny pozostał w swojej istocie, systemem światowym.

L.U.: – *Według waszej metody, można by z równym powodzeniem dokonać „podsumowania” systemu kapitalistycznego i udowodnić, że on także w swojej istocie był systemem zbrodniczym...*

S.C.: – Niech pan spróbuje. Ale nie uda się Panu. Prawda, były państwa niekomunistyczne, które winne są zbrodni na wielką skalę. Francja masakrowała Algierczyków w czasie rewolty roku 1945, czy Malgaszów dwa lata później. Niech Pan sięgnie do mojej przedmowy. Jest tam sporo o zbrodniach państw demokratycznych czy niekomunistycznych dyktatur. Przypominam ludobójstwo Indian w Ameryce,

handel ludzkim towarem, który tak wzbogacił burżuazję francuską i angielską, los Murzynów w Ameryce, masakry kolonialne itd. Ale, uprzedzam, nie uda się wszystkiego wymieścić. Nasze obliczenia nie obejmują np. ofiar działań wojennych, a dotyczą tylko ofiar prześladowań. Demokracje, to prawda, też popełniały okropieństwa, ale zbrodnia nie tkwiła w sercu systemu, nie stanowiła istoty jego sposobu rządzenia państwem. To jest „specjalność” komunistyczna. No, a poza wszystkim, my jesteśmy specjalistami od świata komunistycznego. Niech się inni, jeżeli potrafią, zajmą światem kapitalistycznym. Powodzenia.

L.U.: – *No, ale wy wykraczacie poza specjalizację komunistyczną. Oskarżacie przywódców epoki terroru o zbrodnie przeciw ludzkości, a przecież to pojęcie stosowane było jedynie wobec hitlerowców, lub, ostatnio, ludobójców z Bośni czy Rwandy...*

S.C.: – Tu Pan dotknął bardzo drażliwej kwestii. To jedna z przyczyn ofensywy. Ja rzeczywiście uważam, że pewna część zbrodni dokonanych przez reżymy komunistyczne na ludziach, tylko za to czym oni byli, a nie za to co robili, może i powinna być tak zakwalifikowana. Jak inaczej nazwać to, że z przyczyn ideologicznych i politycznych, Stalin i jego ludzie postanowili zagłodzić na śmierć miliony chłopów ukraińskich za to, że byli „kułakami” czyli klasą, lub Ukraińcami czyli narodem, albo kiedy deportuje się w transportach śmierci całe grupy etniczne? Kiedy, jak powiedział Frossard, „zabija się człowieka albowiem się urodził”, kiedy „zbrodnia klasy” równa się „zbrodni rasy”, wtedy są to zbrodnie przeciw ludzkości, tak według doktryny procesu w Norymberdze jak i, bardziej współcześnie, nowego kodeksu karnego Francji. Czy mamy wymyśleć nową nazwę? Czescy prawnicy zaproponowali, żeby zbrodnie popełnione przez komunizm określać po prostu jako „zbrodnie komunistyczne”...

L.U.: – *I dlatego niektórzy podejrzewają was, że domagacie się „czerwonej Norymbergi”?*

S.C.: – To po prostu nieprawda. Niczego takiego Pan u nas

nie znajdzie, to zresztą nie nasza sprawa. Po pierwsze, ewentualny „czerwony” proces z Norymbergi wytoczyć mogą narody rosyjski i inne, bezpośrednio zainteresowane, a nie grupa francuskich historyków. Po drugie, sytuacja jest zupełnie inna. W Norymberdze, zwycięzcy sądzili pokonanych. Stalin był wśród zwycięzców, nawet Katyń nie został wspomniany, choć z wyjątkiem stalinowców i poputczyków, mało kto miał wątpliwości kto jest odpowiedzialny za zamordowanie polskich oficerów.

L.U.: – *Poza procesem w Norymberdze była także szeroka denazifikacja. Dlaczego, patrząc z Paryża, nie ma właściwie nigdzie dekomunizacji?*

S.C.: – No, to *Kultura* wie lepiej. Inny był koniec obu reżymów. Komunizm padł od implozji i to w gnilnej fazie jego istnienia. Paroksyzm prawdziwego terroru był już oddalony w czasie. Z wyjątkiem osób odpowiedzialnych, politycznie lub bezpośrednio, za ofiary stanu wojennego w Polsce (których, jak widać z procesu „Wujka”, też już niełatwo ukarać), w innych krajach oprawcy albo już nie żyją, albo z uwagi na wiek i stan zdrowia, nie są w stanie stawić się przed sądem. Postkomuniści, w zasadzie, przeszli wszyscy na wyznanie socjaldemokratyczne. Trzeba, sądzę, pogodzić się z myślą, że winni terroru odpowiedzą już tylko przed sądem ostatecznym. I historią. Dla młodych, a to są ich czasy, to wszystko stare dzieje.

L.U.: – *Jelcyn przyznał, że rewolucja roku 1917 to był „fatalny błąd”, ale słowa „przepraszam” nie wypowiedział... A przecież nawet Kościół katolicki uderzył się w pierś...*

S.C.: – Jelcyn, to nie Kościół. Jest niewierzący. W ogóle, mamy dobry kontakt z „Memoriałem”, przywracanie pamięci w Rosji to wielki i mozolny trud. Milczenie Jelcyna i jego towarzyszy bierze się także z faktu, że oni wszyscy są rodem z wysokiego aparatu KPZS. Wcale nie mam pewności czy społeczeństwo rosyjskie dojrzało do *mea culpa* jego przywódców.

L.U.: – *Na Zachodzie to także nie jest całkiem jasne. Widziałem Pana w debacie telewizyjnej (niedobrej zresztą) z Robertem Hue, szefem kompartii francuskiej. On co prawda żałuje, że komunizm popełnił „monstrualne” zbrodnie, ale unika, za cenę niezwykłych wygibasów, uznania prawdy w podstawowych dwóch sprawach. Nie uznaje, że Stalin „był w Leninie”...*

S.C.: – To pierwsze „nie” można krótko wytłumaczyć. Gdyby Hue „rozwiódł się” z Leninem, to poderwałby rację bytu swojej partii. FPK powstała w 1920 roku na kongresie w Tour z rozłamu w partii socjalistycznej, właśnie, mówiąc w skrócie, wokół ideologii Lenina. To tak jakby kościół protestancki wyrzekł się Lutra.

L.U.: – *Druga sprawa: dlaczego Hue nie godzi się na aplikowanie wobec niektórych „monstrualnych” jak sam mówi komunistycznych zbrodni pojęcia zbrodnie przeciw ludzkości?*

S.C.: – To też proste. I bardziej dramatyczne. Gdyby Hue w tym punkcie uległ, to automatycznie wyraziłby zgodę na porównanie komunizmu i nazizmu. A tego naturalnie zrobić nie może. Przecież jego partia, przypominam, jest we francuskim rządzie, a premier Jospin jest, jak sam w parlamencie się wyraził, z tego dumny...

L.U.: – *Ale wy dokonujecie tego porównania. Niektórzy uważają, że identyfikujecie te dwa reżymy...*

S.C.: – Uważają, ale to nieprawda. Porównujemy, to najzupełniej normalne, ale nie identyfikujemy. Nazizmu i komunizmu identyfikować się nie da, ale porównywać trzeba. Chodzi tu o dwa totalitaryzmy, które nazaczyły świat w XX wieku i bez historycznego i naukowego ich porównania, nie da się napisać dziejów naszych czasów.

L.U.: – *Każdy miał inny początek. Do komunizmu szło się, bo obiecywał pokój, równość i sprawiedliwość, do nazizmu szło się mimo, że zapowiadał krew i rasizm...*

S.C.: – Powoli, to nie takie proste. Utopie były zrazu po obu stronach. Jasne, ci co szli do Czeki czy SS, szli po władzę i krew, ale ci ludzie, którzy szli w ciemno za Leninem, albo głosowali w 1933 roku na Hitlera, też wierzyli, że oni przyniosą im szczęście. Różnice w motywacji dojścia do partii, jednej czy drugiej, ujawniły się naprawdę dopiero później. Hitlerizm oparł się na jednym narodzie, miał fundamenty ultra-nacjonalistyczne. Komunizm miał mieć, od Lenina, zasięg światowy. Tak powstał mit światowej rewolucji proletariackiej.

L.U.: – *I to właśnie się Hitlerowi nie udało...*

S.C.: – Nie mogło się udać. Hitler zapowiadał, że jego celem jest podbicie narodów i zmuszenie ich siłą do służenia interesom Niemiec. Nie mogli więc mieć sojuszników. Lenin, odwrotnie, obiecał szczęście ubogim i to w skali świata. Na tym polegał jego geniusz. Uzurpację władzy, Lenin ubrał w mistyfikację. To był wielki reżyser i manipulator. To bolszewicy przecież wynaleźli nowoczesną propagandę i dezinformację. Rozdział napisany przez Wertha jest, także w tym punkcie, rewelacyjny.

L.U.: – *Hitler i Goebbels to też nie byli amatorzy. Jak wytłumaczyć, że hitlerizm trwał tylko 10 lat (o 10 za długo), a komunizm 80 (o 80 za długo)?*

S.C.: – Bo mit rewolucji światowej był nieporównanie bardziej nośny niż mit czystej rasy. No i bo, po parantezie Stalin-Hitler 1939-1941, komuniści byli po dobrej stronie w II wojnie światowej.

L.U.: – *Żydzi byli po obu złych stronach. Sowietci, po krótkim wahaniu, kiedy w ogóle nie uznawali specyfiki holocaustu, zaczęli ostro podkreślać hitlerowskie zbrodnie na Żydach, aby, po prostu, ukryć rozmiar komunistycznych zbrodni. A czy Pan, poprzez Pańskie porównania obu totalitaryzmów, nie banalizuje tragedii Żydów, nie kwestionuje wyjątkowości, unikalności zjawiska Shoa...*

S.C.: – Nie, to też nieprawda. Trzeba czytać dokładnie. Nie ma u nas pod tym względem żadnych niedomówień czy dwuznaczności. Ofiary jednego totalitaryzmu nie wymazują ofiar drugiego. My nie kwestionujemy wyjątkowości Oświęcimia czy Treblinki, komór gazowych, eksterminacji ludzi z powodów rasowych. To był prawdziwy szok, wstrząs sumień, i jest to zjawisko historycznie wyjątkowe. I w żadnym wypadku nie relatywizuję zbrodni komunistycznych.

L.U.: – *Co Pan odpowiada tym, którzy zarzucają Panu fałsze, manipulacje, hucpę, naginanie faktów, mówiąc w skrócie obsesję w udowadnianiu za wszelką cenę, że zbrodnia jest istotą systemu komunistycznego, co miałyby wskazywać na Pańskie motywy nie naukowe, a ideologiczne?*

S.C.: – Na inwektywy nie odpowiadam. Na inne zarzuty odpowiemy, naturalnie.

L.U.: – *Ale, bądźmy uczciwi, w zarzucie o ideologie coś jest. Przecież sprawa przypomina także coś w rodzaju awantury w rodzinie. Wszyscy skłóceni autorzy są przecież z lewicy...*

S.C.: – Nawet ze skrajnej lewicy. To byli trockiści, lub maoiści, jak ja sam. Przez kilka lat, po 1968 roku naturalnie, byłem zawodowym rewolucjonistą *full-time*. Prowadziłem nawet maoistowską księgarnię w Paryżu z pełnym wyborem literatury w rodzaju „czerwonej książeczki”. Byłem przekonany, jak wielu innych intelektualistów francuskich, że maoistowska rewolucja proletariacka była najbardziej demokratycznym doświadczeniem ludzkości. Byliśmy wierzący. Aż po dzień, kiedy znalazłem się wobec wszystkich niezbędnych elementów prawdy. I taki był koniec wiary.

L.U.: – *Coś Panu opowiem na zakończenie rozmowy. Rozmawiałem niedawno z nowym polskim premierem o nazwisku Jerzy Buzek. Waszej „Księgi”, naturalnie jeszcze nie mógł przeczytać, ale opowiedziałem mu awanturę jaką wywołała i zapytałem jak Polak, który miał „szansę” żyć pod obu totalitaryzmami, reaguje na zestawienie nazizmu i ko-*

munizmu? Odpowiedział, że w oczach Polaka, oba totalitaryzmy stanowią identyczną negację naszych podstawowych wartości i że, jeżeli chodzi o konsekwencje ich zbrodni, to Polacy mieliby trudności w „wyróżnieniu” jednego czy drugiego. Dla Polaków – powiedział Buzek – „to nie jest debata teoretyczna”. Co na to francuski historyk?

S.C.:– To dla nas trudna sprawa. Nigdy nie żyliśmy pod okupacją niemiecką porównywalną z tym, jak ona wyglądała w Polsce. Nigdy też nie żyliśmy pod okupacją sowiecką, czerwona armia do nas nie dotarła, choć niektórzy tego pragnęli. A nasi komuniści, chociaż najbardziej gorliwi staliści, musieli jednak funkcjonować w ramach państwa demokratycznego. Polski premier powtarza właściwie znaną formułę Margarety Buber-Neumann, komunistki niemieckiej, więźniarki gułagu, zanim Stalin nie „podarował” jej Hitlerowi, który wysłał ją do Ravensbrück. Na identyczne pytanie, ona odpowiedziała: „Nie ma wyboru między szatanem a belzebubem”.

IV. „REWOLUCJE, JAK DRZEWA, POZNAJE SIĘ PO ICH OWOCACH”.

„Sprawić aby przemówiły milczenia historii...” Jeżeli ta formuła wielkiego historyka francuskiego Julesa Micheleta oddaje intencje i ambicje autorów „Czarnej księgi”, to wykonali oni swoje zadanie, i to w podwójnym sensie. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd na Zachodzie (Europa po-sowiecka, to naturalnie, jak zresztą przyznaje sam Courtois, zupełnie inna sprawa), mówi się obecnie o zbrodniach systemu komunistycznego, światowego i „narodowego”. No i bardziej niż autorzy sami się tego spodziewali, mówi się o ich książce. W tym sensie, czasem nawet chamskie, wyraźnie ideologiczne, ataki przydały książki, w większym stopniu niż rzeczowe analizy, także materialnego rozgłosu. Nie tylko nie zdyskredytowały książki, ale znalazła się ona w sercu tajfunu intelektualnego i to w szerszych, jak wynika z liczby sprzedanych egzemplarzy, niż tylko zawodowo lub politycznie zainteresowanych, środowiskach. W tym sensie także, ale o

piętro wyżej, „Czarna księga” uruchomiła (naturalnie na Zachodzie, Wschód już to umie) coś w rodzaju mechanizmu pedagogiki zbrodni. Jeżeli taka pedagogika istnieje, to dzięki „Czarnej księdze” jesteśmy, po tej stronie byłej żelaznej kurtyny, w pełnym toku seansu reedukacyjnego.

„Czarna księga” nie jest objawieniem. Jest wydarzeniem. Nie jest rewelacją, „albowiem zbrodnie komunizmu nie stanowią dla nikogo, kto chciał wiedzieć, żadnej tajemnicy. Tak naprawdę od 7 listopada 1917, te zbrodnie były tajemnicą tylko dla tych, a byli oni w pewnym okresie bardzo tutaj liczni i bardzo wpływowi, którzy uprawiali ślepotę jako najskuteczniejszy instrument zapewnienia sobie komfortu intelektualnego i spokoju sumienia. Wszyscy inni albo od początku nie mieli wątpliwości, albo, tak jak ludzie z pokolenia Courtois wysiadali z pociągu złudzeń i manipulacji na rozmaitych przystankach. Było ich bez liku. Nie trzeba było czekać na znakomity zresztą rozdział Werth’a, aby wiedzieć, że „Stalin (i jego gułag, czystki i egzekucje) był w Leninie”. Różnica między tymi panami sprowadza się, żeby sformułować Józefa Wissarionowicza, tylko do statystyki.

Żeby nie sięgać za daleko w przeszłość, czyż nie powinny były ludziom tutaj otworzyć oczy (do wyboru): XX zjazd i „tajny” referat Chruszczowa, polski październik, masakra w Budapeszcie, najazd na Pragę, agresja na Afganistan. No a lektury? Suwarin, Koestler, Serge, Krawczenko (właśnie minęła 50 rocznica jego słynnego, paryskiego procesu i jednej z najbardziej cynicznych manipulacji francuskich komunistów), Sołżenicyn, Szafamow, Lazitch, Pasqualini („epopeja” chińska), Pin Yathay (rozdział kambodżański), no i naturalnie David Rousset, który właśnie zmarł, Raymond Aron, Jean-François Revel i, *last but not least* Herling-Grudziński (wszyscy, to zastanawiające, bardzo skromnie albo wcale nie cytowani w „Księdze”). Właśnie dlatego, że można te pytania ciągle jeszcze, niestety, zadawać, „Czarna księga” stanowi prawdziwe wydarzenie. Żeby jeszcze raz przywołać Stalina, to także wściekłość jej przeciwników świadczy o tym, że jeżeli chodzi o zachodnich odbiorców, autorzy trafili w bardzo czuły punkt.

Po pierwsze, jest to wydarzenie psychologiczne. Znamość tej przerażającej panoramy: wszystkie odmiany, geogra-

ficzne i chronologiczne, komunizmu u władzy, w jednym tomie, wszystkie między nimi różnice, ale przede wszystkim podobieństwa (zbrodnie na wolności i na społeczeństwie cywilnym), to próg, który musi być przekroczony, jeżeli Zachód chce w świadomy i uczciwy sposób dokonać obrachunku z XX wiekiem i chce być zdolny do podjęcia, z symbolicznymi czystymi rękoma i sumieniami, wyzwania XXI wieku.

Po drugie, jest to wydarzenie intelektualne. „Czarna księga” postawiła na porządku dziennym debaty idącej poprzez zachodnią, zwłaszcza francuską (FPK jest w rządzie), lewicę na temat dziedzictwa komunizmu, kilka tabu, mniej lub bardziej dyskretnie ukrywanych „pod dywanem” lub wprost, pod presją tejże lewicy, eliminowanych z dyskusji. Od tej chwili, żaden szantaż „działania na korzyść Le Pena”, żadne przyzwolenie udziału (spóźnionego, ale niewątpliwego) komunistów we francuskim ruchu oporu, żadne przypomnienie roli ZSSR w pokonaniu Hitlera (byłego sojusznika Stalina), nie będą mogły przeszkodzić w porównywaniu nazizmu czyli narodowego socjalizmu z komunizmem, w utożsamianiu niektórych zbrodni systemu komunistycznego ze zbrodniami przeciw ludzkości.

„Czarna księga” narzuca wniosek o równoległości dwóch krwawych utopii, o wiarygodnym i dopuszczalnym, a nawet koniecznym zestawianiu dwóch totalitaryzmów XX wieku, zrodzonych z identycznej negacji demokracji „burżuazyjnej”, czyli dekalogu praw człowieka i obywatela i z takiej samej idei „Gleichschaltung”, takiego samego grania na najgorszych instynktach ludzkich, na nienawiści i zawiści, zemście i odwecie, hipokryzji i nietolerancji, na bezlitosnym tępieniu przeciwnika, prawdziwego i wymyślonego, w celu utworzenia za wszelką cenę „nowego człowieka”.

Nie trzeba, choć warto, sięgać do klasyki Hanny Arendt. Ani, choć też warto, do Davida Rousseta, który w 1951 roku, 20 lat przed Solżenicynem, wydał w Brukseli swoją nie czarną, ale „Białą (choć bardzo czarną) księgę obozów sowieckich”, gdzie słowo „gułag” już było na swoim miejscu. Wystarczy zacytować zdanie z właśnie wydanej, pół wieku prawie po Roussecie, książki pod tytułem „Podręcznik gułagu” Jacques’a Rossiego, byłego „zeka”, Francuza, który wszystko przeżył (od Kołomyi do... Polski). Zdaniem

Rossiego, „nie warto zastanawiać się, który z totalitaryzmów, w naszym wieku, był bardziej barbarzyński, kiedy oba narzuciły przymusową ideologię i pozostawiły góry trupów”.

Ignazio Silone powiedział: „Rewolucje, jak drzewa, poznaje się po ich owocach”.

Ano.

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 16 grudnia 1997

Jelcyn w Szwecji

Świta towarzysząca carowi Borysowi w jego sztokholmskiej wizycie w dniach 2-4 grudnia 1997 przewyższała liczebnością i znaczeniem tę, z jaką przybył do Szwecji car Mikołaj II w roku 1909; orszak prezydenta Jelcyna liczył 201 osób – w tym dwóch wicepremierów, trzech ministrów, pięciu gubernatorów północnej Rosji, szef banku centralnego S. Dubinin i naturalnie sztab doradców z carówną Tatianą włącznie.

W końcu listopada doradca Jelcyna w sprawach polityki zagranicznej Sergiej Prichodko powiedział szwedzkim dziennikarzom, że trzy są cele wizyty prezydenta Rosji w Sztokholmie:

- pogłębienie zaufania między obydwojoma krajami;
- zintensyfikowanie współpracy gospodarczej;
- przedyskutowanie sytuacji międzynarodowej, ze szczególnym uwzględnieniem problemów bezpieczeństwa w rejonie Bałtyku (DN, 29 XI 97).

Powiedzmy od razu, że pierwszy z wymienionych celów jest zwyczajnym frazesem dyplomatycznym. Pomiędzy Rosją i Szwecją nie ma spraw spornych, z wyjątkiem dwóch incydentów z przeszłości, których chyba – z powodu zniszczenia

dużej części sowieckich zasobów archiwalnych – już nie uda się do końca wyjaśnić: okoliczności śmierci porwanego w Budapeszcie Raoula Wallenberga i losu załogi szwedzkiego samolotu wywiadowczego DC-3. Jednakże o zaufaniu, jakim Szwedzi mieliby darzyć Rosję, trudno mówić. Przynajmniej od roku 1709 darzą Szwedzi Rosjan szacunkiem mocno lękiem podszytym, choć przecież można powiedzieć, że klęska Karola XII tylko wyszła Szwedom na dobre, gdyż zamiast łupić Europę, zajęli się z dużym powodzeniem własnymi sprawami wewnętrznymi. Na pamięć Połtawy nałożył się później bardzo silny strach przed Związkiem Sowieckim i efekty tego szczególnego wzmocnienia trwają do dnia dzisiejszego.

Rosja, jak i każdy inny kraj postkomunistyczny, nie jest w stanie zbudować nowoczesnej gospodarki bez zachodnich inwestycji i bardzo ich pragnie. Jednak w tej materii dotychczasowe osiągnięcia kolejnych rządów rosyjskich są nader mizerne. Nadmienię tylko, że w roku bieżącym wartość bezpośrednich inwestycji zachodnich w Rosji zamknie się sumą 4 miliardów USD; nędzny to wynik, skoro analogiczna wartość inwestycji w jednym mieście chińskim, w Szanghaju, wyniesie 15 miliardów USD. Rosyjska *success story* nie wytrzymała zresztą azjatyckich turbulencji: wartość giełdy spadła o 40%, cudzoziemcy zaczęli uciekać ze swoimi kapitałami, bank centralny zaczął być wypłukiwany z rezerw dewizowych, rentę lombardową podniesiono do 36%. W dodatku wiele banków rosyjskich, które przesadnie spekulowały na giełdzie, będzie teraz potrzebować państwowego wsparcia. Żyjemy w świecie całkowitej globalizacji i niby oczywiste jest, że załamanie w jednym punkcie planety musi mieć wpływ na sytuację w innych słabych krajach. A jednak Paul Leander-Engström, zarządzający kapitałem *Russian Prosperity Fund*, przyznał szczerze: „Nie liczyliśmy się z tak silnym efektem azjatyckiej zarazy w Rosji” (tygodnik *Affärsvärlden*, 3 XII 97). Dość płonne okazały się nadzieje Jelcyna, że azjatycki kryzys finansowy skieruje uwagę potężnych koncernów szwedzkich (Ericsson, SKF, Electolux etc.) na Rosję. Zresztą z efektami tego kryzysu nie należy przesadzać. Nowy szef szwajcarsko-szwedzkiej korporacji ABB, Göran Lindahl kontynuuje swój plan zamykania fabryk w Europie i przenoszenia

części produkcji do Azji, gdzie już dziś korporacja ma 33 tysiące zatrudnionych; już za rok liczba ta będzie wynosić 45 tysięcy. Poprzedni szef ABB, Percy Barnevik – przemawiając w czasie sztokholmskiej wizyty Jelcyna do grupy Rosjan określanych jako *creme de la Kreml* – wypomniął im zbyt częste uleganie populistycznej pokusie wykrzykiwania o wyprzedawaniu ojczyzny.

Samego Borysa Jelcyna, który przeszedł poważną operację i prawdopodobnie nadal jest pod wpływem jakichś preparatów, traktowano w Sztokholmie z pewną taryfą ulgową. Dziennikarze raczej taktownie pomijali fakt, iż prezydent Rosji odpowiada wprawdzie z werwą na pytania, ale często nie na te, które mu zadano. Pewne zdumienie wywołało jednak, że Borys Jelcyn już pierwszego dnia swojej wizyty „przyznał rację” mieszkańcom Szwecji, którzy – jego zdaniem – krytykują własne władze za spalanie brudnego węgla, a potem to oryginalne spostrzeżenie powtórzył jeszcze dwukrotnie, m.in. w czasie spotkania z przywódcami szwedzkich partii (czytelnikom *Kultury* należy tu może wyjaśnić, że w sterylnej Szwecji w ogóle nie używa się węgla jako źródła energii). Dla sztokholmskich elit nie było tajemnicą, że rosyjskie „młode wilki” i szef Gazpromu najchętniej oglądaliby siebie przez celowniki kałasznikowów, ale dziennikarze i analitycy zdziwili się nieco, iż Jelcyn wybrał sobie akurat Sztokholm, aby publicznie godzić Niemcowa z Wiachirewem. Wyjaśnienie tego poważnego *faux-pas* protokolarnego – wszak król Szwecji mógł tylko cierpliwie czekać, aż Jelcyn zakończy ten spektakl pojednania – jest jednak dość proste: choć Jelcyn dyskutował na różne tematy, choć swoim zwyczajem zaserwował kilka niespodzianek i Zachodowi, i swoim rodakom (niespodziewana obietnica jednostronnego zmniejszenia rosyjskiego arsenału nuklearnego o 1/3, a sił konwencjonalnych w północno-zachodniej części Rosji o 40%), to głównym celem jego wizyty było skłonienie Szwedów do budowy na ich terytorium gazociągu łączącego Finlandię z Niemcami. I trzeba przyznać, że prezydent Jelcyn sprawdził się znakomicie w roli agenta handlowego i lobbysty Gazpromu, wymuszając na rządzie szwedzkim to wszystko, co w grudniu 1997 do wymuszenia było możliwe.

Zaznaczmy od razu, że żaden z wynegocjowanych przed

wizytą układów nie dotyczył rosyjskiego gazu; co więcej – strona rosyjska była poinformowana, że dopiero w roku 1999 może rząd szwedzki podjąć decyzję, jaki gaz (norweski czy rosyjski) kupić i rozpocząć prace studyjno-analityczne nad przebiegiem gazociągów. Cały problem jest rzeczywiście dość skomplikowany.

Przede wszystkim trzeba skonstatować, że z czysto handlowego punktu widzenia upór, z jakim Rosjanie dążą do budowy trzeciego gazociągu – przez Finlandię, Szwecję do Niemiec – nie jest zrozumiały. Rosjanom mogłyby nie wystarczać dwa gazociągi: ten, który biegnie przez Ukrainę i ten, który ma przebiegać przez terytorium Polski, tylko wtedy, gdyby popyt na gaz w Europie nie był zaspokojony. Jest jednak wprost przeciwnie – gazowa podaż przewyższa popyt. Norwegia – ten szczęśliwy kraj, który dysponuje sporymi zasobami gazu, a w ogóle nie musi go używać – marzy o zwiększeniu swego gazowego eksportu.

W rzeczy samej Unia Europejska jest zainteresowana stworzeniem zintegrowanej, ogólnonordyckiej sieci gazowej. Algeria pogrąża się wszak w coraz głębszym chaosie i nie wiadomo, jak długo jeszcze będą mogły być gwarantowane dostawy gazu z tego kraju. Do lata przyszłego roku ma być gotowa szczegółowa ekspertyza przedstawiająca, jak ta ogólnonordycka sieć miałaby wyglądać. Połowę kosztów przygotowania owej ekspertyzy pokrywa Komisja (ściślej: DG 17), drugą połowę – siedem unijnych firm gazowniczych, w tym szwedzki Vattenfall Naturgas. Norwegia nie jest członkiem Unii, a więc norweski Statoil formalnie nie bierze udziału w pracach nad tą ekspertyzą. Jednak Statoil jest poważnym udziałowcem szwedzkiego Vattenfall Naturgas, a więc w ten sposób ma wgląd w unijne plany.

Od roku 1979 importuje Szwecja gaz z Danii, z Tyrafälten na Morzu Północnym. Są to skromne ilości (800 milionów m³), pokrywające zaledwie 2% całkowitego szwedzkiego zaopatrzenia energetycznego. W krajach Europy kontynentalnej gaz zaspokaja średnio 20-25%. Gaz wykorzystywany jest tylko na gęsto zaludnionym, zachodnim wybrzeżu Szwecji, na linii Malmö-Halmstad-Göteborg i tam stanowi 25% energetycznego budżetu tego obszaru.

I tu właśnie wyłania się problem bardzo interesujący.

Jedną ze specyficznych cech Szwecji jest wyjątkowo rzadkie zaludnienie. Ostatecznie jest to kraj większy od Niemiec (bo liczący 449 964 km² powierzchni), którego połowę obszaru nadal pokrywają lasy i który zamieszkuje zaledwie 8,8 miliona mieszkańców. Obszar zwany przez fachowców TPA (*thinly populated area*) to aż 62% terytorium Szwecji. Sama Szwecja dla żadnego dystrybutora gazu nie może być interesująca: kraj jest za duży, a rynek za mały. Statoil podkreślał kilkakrotnie, że jest zainteresowany ewentualną sprzedażą gazu Szwecji, Finlandii i trzem krajom bałtyckim, a i tak zasady finansowania ewentualnego gazociągu nie mogłyby być czysto komercyjne. To jednak, co nie opłaca się Norwegom, jakoś opłaca się Rosjanom. Borys Niemcow kategorycznie zaprzeczał, jakoby ewentualny gazociąg Finlandia-Szwecja-Niemcy miał mieć znaczenie polityczne i traktowany być jako konkurencyjna *pipeline* wobec mającego przebiegać przez Polskę tzw. gazociągu jamalskiego. Swoim szwedzkim gospodarzom powiedział jednak Niemcow, że jeżeli Szwecja nie zgodzi się na tranzytowy choćby gazociąg przez swoje terytorium, to połączenie Finlandia-Niemcy i tak powstanie – na dnie Bałtyku, choć wówczas *pipeline* będzie przynajmniej trzykrotnie droższa niż połączenie lądowe. Na miejscu polskich polityków zastanawiałbym się dobrze nad tą wypowiedzią rosyjskiego „następcy tronu” i uważnie śledził dalsze losy całej inicjatywy.

Szwedzi chcą kupić gaz, ale nie muszą się śpieszyć. Wprawdzie pierwszy reaktor, Barsebäck 1 o mocy 615 MW, będzie zamknięty latem 1998, ale powstały w ten sposób niedobór energii łatwo można uzupełnić z innych źródeł. Sytuacja robi się poważniejsza dopiero po zamknięciu Barsebäck 2 (lipiec 2001) i reaktorów następnych (znowu za trzy lata). Rząd szwedzki nie ma nic przeciwko gazociągowi, ale nie bardzo chciałby za niego zapłacić; minister gospodarki i energetyki, Anders Sundström często podkreślał, że *pipeline* powinni sfinansować aktorzy gazowego rynku: zagraniczny dostawca i szwedzcy dystrybutorzy, a nie państwo. Tylko koszt gazociągu ze Sztokholmu do południowej Szwecji oblicza się na 10 miliardów SEK, a całość (łącznie z połączeniem przez Bałtyk z Finlandią) – na 23-25 miliardów SEK. Ponadto rząd szwedzki wolałby sieć zintegrowaną,

dostarczającą i gaz rosyjski, i norweski, a więc typowy rynek nabywcy, na którym Gazprom i Statoil mogliby konkurować głównie ceną.

Gdy więc szef Gazpromu, Rem Wiachirew spotkał się 2 grudnia 1997 z dyrektorem naczelnym państwowego koncernu energetycznego Vattenfall i tłumaczył mu, że to właśnie jedna z firm tego koncernu, Vattenfall Naturgas powinna zbudować biegnący przez Szwecję gazociąg, Carl-Erik Nyqvist argumentacji tej uprzejmie wysłuchał. To wszystko. Rem Wiachirew miał więc powody do przygnębienia i chyba w ramach odreagowywania stresu zdrzemnął się później na oficjalnym bankiecie. Pamiętajmy, że pozycja Gazpromu w samej Rosji uległa jednak pewnemu osłabieniu i to mimo odniesienia kilku spektakularnych sukcesów (jak chociażby wyeliminowanie z dostaw na Ukrainę gazu turkmeńskiego). Ponadto w chwili przyjazdu do Szwecji R. Wiachirew wiedział już, że prezydent Nijazow nie będzie już dłużej musiał na kolanach rozmawiać z Gazpromem, gdyż kosztem 2 miliardów USD zbuduje Royal Dutch/Shell gazociąg z Turkmenii przez Iran do Turcji.

Po uprzejmej obojętności, z jaką dyrektor Carl-Erik Nyqvist wysłuchał wywodów Wiachirewa, do gry musiał się włączyć lobbysta Jelcyn. Oświadczył on nagle swoim zdumionym gospodarzom, że nie ma najmniejszego zamiaru czekać do roku 1999 – projekt wspólnej deklaracji o budowie gazociągu z Finlandii przez Szwecję ma być mu przedstawiony następnego dnia przy śniadaniu! Przez całą noc w apartamencie Niemcowa w sztokholmskim Grand Hotelu rosyjski wicepremier, szwedzki minister Sundström i ich eksperci pracowali nad projektem tekstu, który zaprezentowano Jelcynowi w porze lunchu 3 grudnia 1997. Tekst ma formę układu o współpracy energetycznej obydwu krajów, powiązany jest z projektem Baltic Ring odnośnie zintegrowanych układów przesyłowych energii elektrycznej i zaopatrzonej jest we wspólną deklarację o możliwości budowy gazociągu z Rosji i Finlandii przez terytorium Szwecji. Po podpisaniu układu przez Niemcowa i Sundströma, szwedzki minister gospodarki oświadczył, że rosyjski gaz nie jest traktowany przez rząd szwedzki jako nośnik, który ma kompensować deficyt energetyczny po zamknięciu szwedzkich reaktorów;

zgodnie z założeniami energia jądrowa ma być zastępowana w sposób „czysty”: przez biotechnologie i maksymalne wykorzystanie elektrowni wodnych. Rosyjski gaz jest jednak interesującą alternatywą wobec innych, znacznie „brudniejszych” nośników kopalnych: ropy i węgla, używanych w całym rejonie Bałtyku.

Premier Szwecji, Göran Persson powiedział w wywiadzie radiowym, że Szwecja bynajmniej nie zobowiązała się do zakupu rosyjskiego gazu. Podpisany dokument zwiększa jedynie prawdopodobieństwo budowy na terytorium Szwecji gazociągu z Finlandii – to, czy będzie miał on charakter wyłącznie tranzytowy, czy też także Szwecję będzie w gaz zaopatrywać, zostanie rozstrzygnięte w przyszłości.

Premier Persson i minister Sundström podkreślali, że finansowanie budowy gazociągu musi opierać się o zasady czysto komercyjne; rząd szwedzki nie ma zamiaru finansować tej inwestycji. Problem finansów pozostał więc otwarty i nim to głównie ma się zajmować grupa robocza, w skład której wejdą przedstawiciele rosyjskiego Ministerstwa Energetyki, Gazpromu i szwedzkiego Ministerstwa Gospodarki.

Powiedzmy tu od razu, że aktorzy na szwedzkim rynku energetycznym bez trudu mogliby sfinansować budowę gazociągu. Jeżeli tego nie chcą uczynić, to dlatego, że się boją – jednak bynajmniej nie rosyjskiego niedźwiedzia, ale własnego rządu. To przecież rząd szwedzki przy pomocy instrumentów fiskalnych spowodował, że gaz był drogi, a energia jądrowa tania. Teraz reaktory mają być zastępowane „czystymi technologiami” – gdy nabiorą one rozpędu, gdy w coraz większy sposób zaczną pokrywać energetyczne zapotrzebowanie kraju, rząd znowu może sięgnąć do fiskalnych instrumentów i spowodować, że gaz stanie się nieopłacalny. Inwestorzy zostaną wtedy z tranzytowym wyłącznie gazociągiem i z zamrożonymi w nim miliardami dolarów. A ponadto skoro Rosjanom tak bardzo na tym gazociągu zależy, to niech sami pomyślą, jak go sfinansować.

Problemy pozostałe jeszcze do rozwiązania nie mogą jednak zmienić faktu, że w przełamaniu szwedzkich lodów Borys Jelcyn okazał się lobbystą sprawnym.

Stefan ABNER

Kraj

Czy diabeł ma czarny ogon?

1.

Sprawa Radia Maryja i jego dyrektora redemptorysty Tadeusza Rydzika nie ma precedensu w powojennej historii Kościoła w Polsce. Pewnych podobieństw można by się doszukiwać w funkcjonowaniu PAX-u i jego wydawnictw – PAX również afiszował swój katolicyzm i zarazem odmawiał posłuszeństwa hierarchii – ale na porównanie nie pozwala zasadnicza różnica: PAX był agenturą, natomiast Rydzik, jego radio i jego słuchacze („Rodziny Radia Maryja”) są fenomenem najzupełniej samoistnym i autentycznym.

Komentatorzy katolicy w Polsce debatują teraz otwarcie nad kwestią, czy działalność Radia Maryja doprowadzi do rozłam w Kościele. Jarosław Gowin, redaktor naczelny *Znaku* tak o tym mówi w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej* (10 XII 97):

„– O zagrożeniu jedności polskiego Kościoła nie można mówić dopóki w Stolicy Piotrowej zasiada Jan Paweł II.

– To co się stanie, gdy na tronie Piotra zasiądzie ktoś inny?

– Myślę, że może dojść do pewnego rozłam wewnątrz formacji reprezentowanej przez Radio Maryja. Być może małe grupki odejdą, ale przytłaczająca większość tego środowiska pozostanie wewnątrz Kościoła. Radio Maryja jest trwałym składnikiem polskiego katolicyzmu, choć z czasem jego rola będzie maleć...”

Dziennikarz zadający pytania nie kontynuował, niestety, tematu. Problem nie polega jednak na tym, czy Radio Maryja odejdzie od Kościoła, bo nie odejdzie: o. Rydzik, jak słusznie

zauważa Gowin, nie jest abp. Lefebvrem, a w całym tym ruchu nie ma materiału na schizmę, przynajmniej w katolickim rozumieniu. Natomiast wiele wskazuje na to, że pozostając w Kościele Rodziny Radia Maryja mniej czy bardziej otwarcie wypowiedzą posłuszeństwo hierarchii, to zaś w imię walki z ustaleniami Soboru Watykańskiego Drugiego i kulturą dialogu, która w Kościele polskim i tak rozwija się z trudem. Tadeusz Rydzik najpewniej nie zrezygnuje z polityki jako uprzywilejowanego terenu wojny o zwycięstwo prawdy (jedynej prawdy!): nie będąc z założenia schizmatyczny, jego ruch jest z całą pewnością przesiąknięty integryzmem.

Red. Gowin nie jest odosobniony, gdy przyszłej zmianie na Stolicy Piotrowej przypisuje rolę cezury. Znany polityk katolicki ze Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego zapytany, czemu należy przypisać tak stanowczą i twardą interwencję prymasa (w liście do prowincjała redemptorystów o. Edwarda Nocunia, 25 XI 97) w związku z odmową Rydzika stawienia się w prokuraturze toruńskiej – powiedział mi wprost: – W Episkopacie zdają sobie sprawę, że dni papieża Polaka dobiegają końca. Wobec tego trzeba przywrócić dyscyplinę, póki mamy jeszcze Jana Pawła II...

Jak wiadomo, prowincjał redemptorysta pokwitował list i rozmowę z prymasem, przesłaniem Rydzikowi publicznych wyrazów solidarności... Wolno przypuszczać, że prowincjał malutkiego dzisiaj zakonu miał nie lada satysfakcję śmiejąc się w ten sposób w twarz całemu Episkopatowi. Antagonizm wobec kleru i hierarchii diecezjalnej jest w wielu zakonach bardzo żywy. Nadto zauważmy, że o. Rydzik okrył splendorem potęgi zakon, o którym w ogóle mało kto słyszał w Polsce. (Redemptoryści czyli Congregatio Sanctissimi Redemptoris – to zgromadzenie misyjne „dla krzewienia pobożności wśród ludu”, założone w XVIII w. przez św. Alfonsa Liguori, w ramach reakcji na postępy Oświecenia.)

Sprawa z prokuratorem toruńskim została tymczasowo załagodzona, min. Suchocka uznała, że z siedmiu wezwań żadnego ponoć nie doręczono zgodnie z procedurą, a o. Rydzik już bez nowego wezwania złożył łaskawie wizytę pani prokurator, która z kolei zmieniła kwalifikację czynu: zamiast „łżenia naczelnych organów państwa” dochodzenie dotyczy

teraz „znieważenia funkcjonariuszy” (Rydzyk powiedział był, że posłom, którzy głosowali za dopuszczeniem aborcji z tzw. względów społecznych należałoby golić głowy, jak dziwkom, co się łądaczły z hitlerowskimi żołnierzami). Wreszcie, toruńska pani prokurator dostała od swej pani minister ochronę policyjną, wobec grózb ze strony Rydzikowej Rodziny („Prokurator na latarnię!”).

Nie była to pierwsza utarczka biskupów z Radiem Maryja. Po raz pierwszy jednak zabrał w niej głos sam prymas przekazując prasie tekst swego listu: najwyraźniej obrońcy Rydzyka w Episkopacie (biskupi Józef Michalik, Edward Frankowski, Juliusz Paetz – czy w sposób bardziej zniuansowany abp Gocłowski, Życiński i sam prymas) zostali przekonani, że trzeba uderzyć pięścią w stół, bo... może być za późno. Niewątpliwie biskupi zareagowali też w ten sposób na list Jana Pawła II do członków Episkopatu (z okazji czerwcowej pielgrzymki). „Konferencja Biskupów – pisał papież – z uwzględnieniem kompetencji biskupów diecezjalnych, jest odpowiedzialna za całość przekazu wiary na jej terenie, bez względu na to, czy jej przekazicielami są duchowni diecezjalni, zakonni czy wierni świeccy”. Zachęta była oczywista i sekretarz Episkopatu bp Tadeusz Pieronek, najbardziej zdecydowany przeciwnik „linii Rydzyka”, już wtedy zapowiadał „uporządkowanie sprawy” Radia Maryja.

Tymczasem jednak AWS wygrał wybory i o. Rydzyk znalazł się bardzo blisko władzy świeckiej. Sam Krzaklewski przyznaje, że właśnie słuchając Radia Maryja „ładuje akumulatory”. W Sejmie przynajmniej 60 posłów wyznaje tę samą wiarę (ZChN, Federacja Stowarzyszeń Katolickich), a 18 zostało wybranych wprost dzięki rekomendacji Rodziny Polskiej i Radia Maryja. Krystyna Czuba z rady programowej Radia została przewodniczącą Senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu, a Jan Maria Jackowski z teje rady – komisji sejmowej, w ogóle zaś parlamentarzystów AWS, którzy afiszują swą zażyłość z Radiem Rydzyka, wprost nie sposób się doliczyć.

W połowie 1998 będą wybory samorządowe, które zapewne zostaną rozdzielone w czasie (jeśli rzeczywiście dojdzie do utworzenia powiatów) i zakończą się w rok potem. A w półtora roku później, na jesieni 2000 r. Marian Krzaklewski zamierza stanąć w szranki z Aleksandrem Kwaśniewskim o

mandat prezydencki. Wszystko to, nie licząc możliwości przedterminowych wyborów parlamentarnych. Innymi słowy, którzy polityk chciałby utracić poparcie Radia Maryja (5 mln słuchaczy!) w takich ...niespokojnych czasach. O. Tadeusz Rydzyk mocno więc stoi drugą nogą w parlamencie, nawet jeśli pierwszą, tę kościelną, podcinają mu hierarchowie.

2.

Pierwszym ważnym aktem politycznym hierarchii po zwycięstwie wyborczym prawicy była wizyta delegacji Episkopatu z prymasem w siedzibie władz Unii Europejskiej, w Brukseli. Wspominałem o niej w poprzedniej korespondencji. Biskupi zadeklarowali przy tej okazji solenne i z całego serca poparcie dla przystąpienia Polski do Unii, zapewniając, że wyjaśnienia uzyskane od unijnych dyplomatów rozwiąły obawy, które dotąd Episkopat żywił w tej sprawie. Min. Gremek nie posiadał się z zachwytem: prymasa Glempa uznał za najlepszego ambasadora polskiej sprawy.

Z perspektywy rządu polskiego, zwłaszcza jego liberalnej komponenty, wcale nie było za wcześnie na takie wsparcie, gdyż w miarę jak przybliża się termin rozpoczęcia konkretnych rokowań o akcesie, mnożą się wątpliwości. Dotychczas polska opinia publiczna nie uświadamiała sobie jeszcze wielkości kolizji interesów i głębokiej nierówności partnerów w stosunkach pomiędzy Brukselą a aplikantami do członkostwa w Unii. Stopniowo jednak kumulują się doniesienia o zagrożeniu coraz to innych dziedzin polskiego eksportu i to właśnie teraz, gdy deficyt handlowy Polski jest tak duży (11,5 mld dol. w 1997), że prof. Balcerowicz rozpoczyna kolejną w swej karierze operację zaciskania pasa na współobywatelach pod nazwą chłodzenia gospodarki.

Poparcie dla przystąpienia do UE nigdy nie było tak masowe i jednoznaczne jak dla NATO i nadto zdaje się ulegać erozji. Jerzy Urban snuje nawet na tej kanwie wywód futurologiczny: za 8-10 lat stosunek do Unii Europejskiej będzie podstawowym kryterium podziałów politycznych, a wszystko inne pójdzie w ką. Solidaruchy i komuchy, czarni i czerwoni itd. Na tej właśnie podstawie SLD znajdzie się definitywnie na salonach. Naturalnie wspomniana nierówność partnerów nie wynika (na ogół!) z niczyjej złej woli, ale

z oczywistego faktu, że Unia Europejska jest gotową strukturą z dziesiątkami tysiącami ustaw i regulacji, którym Polska, jak każdy inny kandydat, musi się po prostu podporządkować. Jediną możliwością akomodacji może być wydłużenie okresu przystosowawczego, ale już np. pomoc finansowa na ten cel będzie na pewno bardzo skąpa.

Do tego należy dodać, że mimo rozlicznych gestów dyplomatycznych, szeroko reklamowanych w Polsce, w kwaterze głównej Unii, w siedzibie Wysokiej Komisji trudno byłoby spotkać entuzjastów rozszerzenia UE, a przynajmniej – szybkiego rozszerzenia. Inaczej niż w przypadku Paktu Atlantyckiego, gdzie przyjęcie nowych członków na Wschodzie można uzasadnić bardzo konkretnymi interesami i wizją ustabilizowania nowego europejskiego i atlantyckiego układu sił, w Unii Europejskiej nie ma żadnej jasności w tej sprawie. Stale powraca stara idea, że rozszerzenie Unii jest sprzeczne z jej pogłębianiem, z kolei nie ma pewności, jak szeroko Unię uda się pogłębić, czyli konkretniej mówiąc, ile krajów zdoła spełnić kryteria z Maastricht i przyjmą euro za swą walutę. Odżywa więc idea Unii *à deux ou trois vitesses*, czyli jadącej na różnych biegach. Nowi członkowie należeliby w tej koncepcji do ostatniej kategorii... Być może, obraz to zbyt czarny, bo ostatecznie sprawa rozszerzenia Unii utoruje sobie drogę, niesiona ideą jedności europejskiej, niejako w oderwaniu od partykularnych względów i przyziemnych interesów. To jednak znaczy, że prawdziwą podstawą rozszerzenia Unii byłaby wspólnota kulturowa. Otóż nie jest tajemnicą, że na Zachodzie, mimo wielu sympatii dla Polski i uznania dla jej gospodarczego wzrostu, jest wiele wątpliwości co do autentyczności naszego pluralizmu. Pluralizm w kulturze nie sprowadza się przecież do współistnienia, nawet pokojowego; pluralizm wymaga wymiany, dialogu między składowymi narodowej całości. Polska jest postrzegana jako kraj, w którym dominuje samoidentyfikacja „Polak-katolik”, o której dzisiaj zwycięska prawica nikomu nie pozwala zapomnieć. Wizyta biskupów w Brukseli miała więc nie tylko uspokoić choć trochę łęki polskiej hierarchii przed „europeizacją”, ale również skorygować w brukselskiej centrali nieprzyjemną wizję polskiego kościoła jako podatnego na fundamentalizm i wrogiego modernizacji.

No, ale co z Rydzykiem?

Nie wydaje się, by hierarchowie Kościoła mogli radykalnie poskromić Radio Maryja i, jak to powiada cytowany polityk, „przywrócić dyscyplinę”.

Przede wszystkim, sukces jaki odniosła ta radiostacja u słuchaczy uczynił z niej najbardziej wpływowe medium katolickie w kraju; drugą stroną tego sukcesu jest istnienie wśród polskich katolików znacznej rzeszy „aktywistów” ojca Rydzyka, którzy traktują go dosłownie jak proroka i którzy na pewno nie pozwolą, by mu teraz zatkało usta. Dyscyplina w katolicyzmie polskim jest w ogóle rozluźniona, po różnych stronach notuje się odchodzenie od Kościoła całych grup wyznawców nawet razem z kapłanami (np. w Ruchu Odnowy w Duchu Świętym)*. Lęk hierarchii przed sektami nie jest udawany. Trudno w takiej sytuacji pozbywać się proroka, który ma taką siłę mobilizowania mas, nawet jeśli jego usta nie są ze złota lecz z tombaku.

Po drugie, o. Rydzyka i jego Radia Maryja bardzo potrzebuje główna partia rządzącej koalicji, AWS, nawet jeśli pominąć względy wdzięczności za przynajmniej 60 mandatów. Z każdym tygodniem odślania się bowiem, jak trudno będzie rządowi Buzka rządzić skutecznie.

3.

Jeśli wierzyć prorządowym publicystom, koalicja SLD-PSL przegrała wybory w najlepszym dla siebie momencie: tuż przed końcem asfaltowej szosy, z której autobus zwany polską gospodarką wjechać miał na wyboje, Leszek Miller ze swoją partią w ostatniej chwili wyskoczył zza kierownicy.

To oczywiście przesada. Niemniej, wszyscy właściwie neutralni obserwatorzy (jeśli są tacy) zgadzają się, że polska gospodarka jest przegrzana, że Polacy za dużo konsumują i za dużo inwestują, zwłaszcza że polska podaż nie pasuje do polskiego popytu, co oznacza coraz wyższy import. W tych warunkach rząd „uzupełnił” swój gospodarczy program reform zapowiadanych bardzo szumnie, choć nigdy jeszcze nie sprezykowanych, pakietem doraźnych posunięć mających nieco ochłodzić gospodarkę. Ogłoszono je jako autopoprawkę do

* Zaufanie do Kościoła, wg najnowszych sondaży, zmalało do 59%.

preliminarza budżetowego na rok 1998, przygotowanego jeszcze przez poprzedni gabinet i przejętego przez rząd Buzka. Tłumaczono tę paradoksalną sytuację brakiem czasu na przygotowanie własnej wersji, ale opozycja podnosi, że art. 222 Konstytucji, który wymaga, by preliminarz budżetowy rząd składał w parlamencie najpóźniej na 3 miesiące przed końcem roku (w tym więc konkretnym przypadku do 30 września), dopuszcza w „wyjątkowych przypadkach – termin późniejszy”. Rząd jednak, zdaniem opozycji, szukał alibi, ponieważ wiedział, że ostateczna wersja budżetu nie będzie popularna. Lepiej więc, żeby się nazywało, że jest to budżet prof. Belki, który prof. Balcerowicz tylko „poprawił”. Nie wiadomo jeszcze, czy ten zabieg propagandowy odniósł skutek, ale wydaje się to wątpliwe: propagandyści uwikłali się w sprzeczność, ponieważ najpierw sam premier Buzek obwieszczał, że preliminarz Belki, jest „fatalny”, bo nic się w nim nie dopina, a potem jednak oparto się na nim. Teraz zaś, kiedy Balcerowicz ogłosił swoje cięcia, podkreśla się usilnie, że były one przewidziane już u Belki. Jest to zresztą prawdą tylko w części, bo u Belki podatki pośrednie miały rosnąć w 1998 r. stopniowo, a u Balcerowicza całe uderzenie nastąpi na początku roku. Ponadto jest tych zwyczaj więcej. Tak więc rośnie VAT (podatek od wartości dodanej) na usługi telekomunikacyjne z 7% do 22%. Akcyza na papierosy skacze o 19,6%–29,5%, na alkohol o 12%, na benzynę o 30%. Gaz drożeje od 1 stycznia o 15%, prąd o 14%, lekarstwa o 11%. W lutym droższą taryfą PKP i PKS. Ponadto, 5 grudnia uwolnione zostały ceny energii, z ważnością od 1 stycznia. Równoległe uwolnione zostają ceny ogrzewania centralnego i ciepłej wody, co, zdaniem wielu ekonomistów, będzie najcięższym uderzeniem w budżety rodzinne, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, gdzie przeważają lokalne nieefektywne kotłownie.

Jednocześnie z tymi posunięciami, rząd postuluje ostre hamowanie płac (+2,7% realnie w całej gospodarce, w tym +2,0% w budżetówce, +3,2% w przedsiębiorstwach, co po przyroście o ok. 10% – realnie – w r.b. będzie na pewno odczuwane jako załamanie trendu). Emeryturom i rentom przyznano 1% wzrostu realnego; emerytury i renty tzw. mundurowe będą odtąd waloryzowane tak jak cywilne, tzn.

według wskaźnika wzrostu cen, nie zaś płac, a więc z zerowym wzrostem realnym.

Po uwzględnieniu jeszcze innych przesunięć w dochodach i wydatkach budżetu (wzrastają m.in. dodatki mieszkaniowe, pomoc dla rejonów popowodziowych i budownictwa drogowego) deficyt budżetu z uwzględnieniem dochodów z prywatyzacji miałby wynieść 1,5% PKB (produktu krajowego brutto) wobec 1,6% w preliminarzu Belki. Bez dochodów z prywatyzacji jest to odpowiednio 2,8% i 2,9% PKB.

Przewiduje się nadto, po porozumieniu z NBP hamowanie rozmaitymi sposobami strumienia kredytowego i napływu niebezpiecznego krótkoterminowego kapitału z zagranicy. Rząd spodziewa się, że dzięki kombinacji tych środków uda się utrzymać planowaną u Belki inflację (grudzień do grudnia) na poziomie 9,5%. Wzrost PKB zostałby ograniczony do 5,6%, gdy tymczasem ostatnie prowizoryczne szacunki za rok 1997 mówiły o 7%, 7,3% i nawet 7,5%.

Gabinet Buzka nie przyjął koncepcji Balcerowicza bez oporu. Buntował się zwłaszcza, również wobec prasy, min. Jerzy Kropiwnicki (AWS), szef rządowego Centrum Studiów Strategicznych, dawnego CUP. W parlamencie, w momencie gdy to piszę, Balcerowicz dopiero rozpoczął swój bieg przez płotki. W końcu jednak parlament zaakceptuje preliminarz i towarzyszące mu ruchy cen: Unia Wolności poprze rząd bez szemrania, w klubie zaś AWS Krzaklewski zaprowadził drakońską dyscyplinę, jest zresztą zbyt wcześnie na jakiegokolwiek bunt. AWS jest w trakcie sadowienia się u władzy, nie zrobi niczego, co mogłoby zakłócić ten proces. Tymczasem, jak się zdaje, najważniejsze są nominacje – wojewodów, ambasadorów itd. – oraz przygotowania do szturm na media publiczne i Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Na refleksję przyjdzie czas za kilka miesięcy, przed kampanią wyborczą do samorządu terytorialnego (czerwiec 1998).

W prasie i w mediach zwolennicy rządzącej koalicji już zaczynają popędzać swoich wybrańców. Biedny stary Makiawel posłużył za źródło pouczenia, które powtarzają wszyscy: Książę winien zacząć od surowości, bo kiedy potem rozluźni chwyt, to go wszyscy będą chwalić, jeśli zaś zacznie łagodnie, to później niczego mu już nie pozwolą zdziałać. To samo głosi też nowszy klasyk, Milton Friedman: reformy trzeba ini-

cjować w pierwszym półroczu kadencji (mowa o czteroletniej kadencji prezydenta USA, ale pasuje i do polskiego parlamentu).

Otóż prawdziwych, trudnych reform rząd Buzka-Balcerowicza w pierwszym półroczu nie zacznie. Nie jest w stanie: reformy emerytur i rent, opieki zdrowotnej, oświaty, muszą kosztować, nadto zaś owoce przynoszą po wielu latach. Polska klasa polityczna, po lewej i po prawej, ma od dawna świadomość, że te reformy są konieczne, ale niewiele z tego wynikło poza gadaniem (nawet reforma rent i emerytur, najbardziej zaawansowana, nie wyszła poza stadium przygotowań). Teraz, na dobitkę, będziemy chłodzić gospodarkę, więc i pieniędzy będzie mniej.

W braku właściwych reform karierę robią reformy zastępcze. Przy tym każda z partii koalicji promuje własne pomysły. Unia Wolności przekonała AWS do reformy powiatowej. Pełnomocnikiem został Michał Kulesza, ten sam który już się do tej reformy przymierzał z Janem Marią Rokitą. Pełnomocnik Kulesza jest prawdziwym fanatykiem powiatów. Miesiąc temu głośno było o połączeniu wyborów powiatowych z gminnymi, niejako na zapas: najpierw będziemy mieli radnych, a potem dorobimy do nich powiaty. Ale ostatnio zapał jakby przygasał: jedni mówią, że przecież trzeba najpierw określić, w jakich województwach będą te powiaty, inni chcą przejrzeć dawne ustalenia (Kulesza z Rokitą ogłosili już w swoim czasie mapę kraju z podziałem na powiaty), jeszcze inni chcieliby jednak policzyć koszty, których rachunek jest w lesie. Koszt samej tylko pierwszej instalacji obliczany jest, zależnie od fantazji, na 80 mln zł (Kulesza) do... 5,5-6,5 mld zł (Janusz Rolicki z *Trybuny*).

W AWS, który się powiatami nie podnieca, za najpilniejsze reformy uchodzą lustracja i dekomunizacja. Min. Suchocka przynaglana przez kolegów, mozolnie wyciska ze zgromadzeń sędziowskich kandydatów do Sądu Lustracyjnego, jak pastę z prawie pustej tubki: 10 grudnia wycisnęła 20 ochotników. Balcerowicz zarezerwował w odchudzonym preliminarzu odpowiednik kwoty na sutsze wynagrodzenia. Chyba się więc ten dwudziesty pierwszy też znajdzie. Ale nikt nie zawoła „oczko”, bo koalicjanci AWS uważają przeważnie, że ta lustracja to żadna lustracja. Następnym krokiem miałyby być

dekomunizacja na wzór czeski... A Balcerowiczowi zależy teraz przede wszystkim na jak najszybszej prywatyzacji i reprivatyzacji. To zresztą motyw przewodni jego koncepcji rynku i świata.

Cztery lata koniunktury za rządów SLD-PSL przyniosły wprawdzie wyraźną poprawę poziomu życia: w badaniu CBOS z 23-28 X 97 28% uznało warunki życiowe swych rodzin za złe wobec 44% przed czterema laty. Ale nierówności społeczne w tym czasie wzrosły. Wśród 39% tych, którzy uznali, że warunki życia im się pogorszyły, są głównie ci, którzy już w 1994 byli w najgorszej sytuacji, zwłaszcza zaś rodziny wielodzietne. Dwie piąte polskich rodzin żyje w strefie ubóstwa (poniżej 325 zł na osobę w rodzinie miesięcznie).

Rodzinom wielodzietnym obiecywano w kampanii wyborczej najwięcej. Ale w budżecie tego nie widać. Pod tym przynajmniej względem, pogłębiania nierówności społecznych zapowiada się doskonała ciągłość – od SLD do AWS.

4.

A co słysząc w opozycji?

Socjaldemokraci z SdRP odbyli swój kongres, poświęcony głównie porządkom kadrowym.

Leszek Miller, kiedyś uchodzący za najtwardszego z twardej, a dzisiaj mający opinię pragmatyka tak kompletnego, że aż cynicznego, zastąpił za sterem partii Józefa Oleksego po skomplikowanych manewrach, których tu nie warto opisywać. Miller, co zasługuje na uwagę, szedł po władzę w partii (i w klubie SLD) pod hasłem odmłodzenia kadr. Jego zastępcą został poseł Jacek Piechota, jeden z młodych, tzn. trzydziestolatków, ale w ogólności ściśle kierownictwo partii niewiele się zmieniło: czterdziesto- i pięćdziesięciolatki nie ustępują tak łatwo*. Natomiast zwraca uwagę wielka aktywność na kongresie Socjaldemokratycznej Frakcji Młodych, której przewodnicząca, Sylwia Pusz (25 lat), posłanka, dostała się do Sejmu z Poznania z trzynastego miejsca na liście dzięki przebojowej kampanii. Przebieg i rezultaty kongresu zdają się

* Wśród 432 delegatów na III Kongres SdRP, jak podaje *Trybuna* było 99 poniżej 35 lat, przy średniej wieku – 43 lata. Wykształcenie wyższe miało 313 delegatów, a średnie 114.

wskazywać, że delegatom udało się bez żadnych trzasków przeprowadzić zmianę lidera – po prawdzie, od dawna oczekiwaną – i przejść gładko do porządku nad przegraną w wyborach, tym bardziej że SLD zebrał w nich o 600 tys. głosów więcej niż w 1993 r. Wszyscy zapewniali się nawzajem, że SLD „odkuje się” w wyborach samorządowych.

SdRP nie robi sobie jednak złudzeń i na pewno nie nastawia się na przedterminowy koniec kadencji parlamentu. Pod pozorami pewności siebie ludzie SdRP przygotowują się na trudne chwile.

„Już z pierwszych decyzji nowego rządu, z działań i wypowiedzi przedstawicieli koalicji AWS-UW – powiada Izabella Sierakowska – widać, że rysuje się szeroki obszar kontrowersji, które doprowadzą w niedługim czasie do ostrego sporu, a w dalszej perspektywie do konfrontacji z obozem lewicy (...). Podstawowy spór między lewicą a prawicą dotyczyć będzie: 1 – charakteru państwa (świeckie czy wyznaniowe państwo prawa czy interesu partyjnego?) 2 – modelu praktykowanej demokracji (poszanowanie woli mniejszości czy bezwzględna dominacja zwycięskiego obozu (...)? 3 – swobód i wolności obywatelskich (tolerancja i poszanowanie różnych światopoglądów czy dyktat jedynej „śluszonej ideologii (...)?” Jest niewątpliwie spora doza satyry w tym, że działaczka SdRP z taką swadą i bez zająknięcia zwraca dziś ku przeciwnikom ostrze zarzutów, które przed 8 laty uderzały w jej formację. Ale warto zauważyć, że słowa Sierakowskiej są najzupełniej reprezentatywne dla kongresu. Niedysyjnysze „przepraszamy” Aleksandra Kwaśniewskiego nie otworzyło dróg do refleksji partii nad własną rolą, ale, przeciwnie, zamknęło je, nie było początkiem lecz końcem... samokrytyki (by użyć, jak się tutaj godzi, leninowskiego terminu). Kiedy rozmawiam o tym z parlamentarzystami z SLD, słyszę nieodmiennie: proszę pogadać z normalnymi ludźmi w kraju, nie w parlamencie, dla nich my już nie jesteśmy ani komuchy, ani nawet postkomuchy. Odwróciliśmy kartę, my i oni.

Najczęściej ma to oznaczać, że „jesteśmy przyzwoitą socjaldemokracją” (ogromną satysfakcją kongresowi sprawiło przesłanie od Pierre Mauroy, przewodniczącego Międzynarodówki Socjalistycznej oraz Rudolfa Scharpinga z SPD). Ale wysiłek programowy świeżo upieczonych socjaldemokratów

wcale nie jest na miarę tych ambicji, SdRP nie ma żadnych własnych idei w sferze społeczno-gospodarczej. Dokładnie tak, jak to wylicza Sierakowska, SdRP istnieje poprzez spór z przeciwnikiem, na określonym przez niego polu. Albowiem AWS nie ma nic do powiedzenia dokładnie w tych samych dziedzinach co SdRP (SLD). Aż zabawne, bo obie formacje obejmują związki zawodowe...

Pierwszy hałaśliwy spór SLD z koalicją obserwowałem w parlamencie w przededniu pisania tego tekstu. Chodziło o konkordat. Dyskusja była barwna choć najzupełniej zbędna: wszystko było już postanowione z góry. Ale nie mogę nie zacytować próbki. Tomasz Wójcik z AWS dosłuchał się w wystąpieniach adwersarza „wycia diabła, kiedy czarny mu ogon przytrzasną”.

Otóż doktor chemii, Tomasz Wójcik, naprawdę wierzy jak wiedzą we Wrocławiu, że diabeł ma czarny ogon.

Warszawa, 15 XII 1997.

Krzysztof WOLICKI

PS. W drugiej lidze politycznej – rozłamy. Jagieliński ze swoimi już odszedł z PSL, ROP właśnie się rozłamuje, a Unia Pracy pęknie w lutym: Ryszard Bugaj nie godzi się z przegraną i nie przyznaje do błędu.

Z ukosa

Coraz rzadziej spotykam książkę, która mnie poruszy. Może ja nieruchomieję, a może świat wokół pędzi za szybko? Lecz oto nagle zmusił mnie do biegu pewien piesek, czyli „Piesek przydrożny” Czesława Miłosza. Ta ostatnia książka pisarza, to zbiór intelektualnych notatek nasyconych myślą

i poezją. Miłosz spogląda na świat i na życie z wysokiej góry swoich lat, zaczyna podróż na początku wieku, a teraz jest jego koniec. To połączenie początku i końca, możliwe jest chyba tylko dzięki poezji, godzenie młodości i dojrzałości, formy klasycznej z nowoczesną. Miłosz wziął wszystko co najlepsze z dawnego świata, ale też odważnie korzysta ze śmietnika końca wieku. Na tle tej eseistyki widać jak na dłoni pewną, powiedzmy, chuderlawość naszej współczesnej literatury. A przy lekturze tej książki słyszę jak co chwila spada ciepła kropla z dźwiękiem „tak”.

W notatce o Gombrowiczu znalazłem taki oto fragment: „Można podejrzewać, że swoją sławę w Polsce zawdzięcza temu buntowi, który nagle stał się oczywisty, a nie innym składnikom swego dzieła. Ten bunt przeciwko ojczyźnie [ale czy w imię syneczyny?] tak się upowszechnił, że nawet ktoś tak mało hurrapatriotyczny jak ja czuje niestosowność bezustannego narzekania i drwienia z samych siebie.”

Te ostatnie słowa interesują mnie szczególnie, bo moje teksty bezustannie drwią i narzekają. Jestem w tym szczery, bo genetycznie obciążony, mam skłonność do depresji i ciemnego widzenia. Jak rok temu załęgły mi się pluskwy w domu (jeden z nielicznych w ubiegłym roku takich przypadków w całej Warszawie!), to gdy zjawisko się objawiło, byłem pewien, że już nigdy się od tych wampirów nie uwolnię. Opisałem to zdarzenie tak przejmująco w swoim „Z ukosa”, że Redaktor ze wzruszenia, a może z estetycznych powodów, poprosił mnie abym z tego fragmentu zrezygnował. Jako, że wszystko wokół jest nieustannie w różny sposób opluskwane, to tematów mi nie brakuje i małych obsesji, które też wyłazą najchętniej w nocy.

A tak naprawdę to od dłuższego czasu czuję okrutne zmęczenie swoim pesymizmem, tym choćby, że za łatwo ma się rację przy takim widzeniu, bo w końcu kto wie czy świat nie narodził się z pesymizmu – jeśli nie Boga, to natury? Czy optymizm nie płynie pod prąd porządku rzeczy? Patrzę na niektórych jak dziarsko płyną i zazdroszczę. A Polska, co ostatnio z wielkim uporem i z konsekwencją powtarzam, jednak się polepsza. Zawsze chciałem być po stronie zdrowego rozsądku, i gdzieś w środku, nie ukrywam, że interesuje mnie też środek zdarzeń. A tu paskudny charakter spycha

mnie na ciemny margines, który u nas zajmuje prawie całą stronę. Więc się z Miłoszem zgadzam, „to niestosowne”. W Polsce narzeka się powszechnie i nawykowo, pół biedy, że to jest po prostu nieestetyczne, gorzej, że zabiera energię. Na szczęście młodzież już nie narzeka, tylko czasami w to miejsce wprowadza kpinę i wzruszenie ramion. Ważne, że ma poważny stosunek do przyszłości, inwestuje w siebie i bierze życie w swoje ręce. To oczywiście dotyczy elitarnej grupy, ale ona nadaje ton i tworzy wzorce. Lecz starsze pokolenie też zostało przez Wielką Zmianę zmuszone by wziąć życie we własne ręce, nie każdy to potrafi, więc często trzymają to swoje za ciężkie życie w dłoniach z grymasem bólu na twarzy.

Jeszcze na końcu spełnię małą daninę optymizmu, a teraz jednak trochę ponarzekamy. Chodzę ostatnio na intelektualne narady, gdzie dyskutuje się, co zrobić z promocją polskiej kultury w świecie. Polskie Instytuty, których mamy tak wiele jakbyśmy byli jakimś mocarstwem, stały się placówkami groteskowymi, też dlatego, że inaczej niż kiedyś funkcjonuje dzisiaj kultura w świecie. A i nominacje dyrektorskie z ostatnich lat bywały humorystyczne.

Te dyskusje to też próba by po przejęciu władzy coś wyraźnego zrobić. Ale opór materii jest wszędzie ogromny. Wielu instytucji ważnych dla kraju nie da się zreformować, można je tylko wysadzić w powietrze i budować od początku. Nikt niczego nie wysadza, więc nowe ekipy często będą wsiąkać w dawną bezradność. A kultura nasza? Problem, że sztuka najlepiej promuje się sama i broni się sama, owszem można jej tylko trochę pomóc. Ale jak coś jest mierne w sztuce, to nic nie pomoże nawet geniusz organizacyjny czy pieniądze, a jednego i drugiego w Polsce wielki deficyt. Jak na nasze ambicje i rozmiary, chyba brakuje w Polsce sztuki, która nadaje się na towar eksportowy. Jakoś tak jest, że od XIX wieku z musu lub z własnej woli Polacy najlepiej realizują się w sztuce poza Polską. Jak wielki jest dzisiaj upadek polskiego kina, jaki ładny jest ostatni film Agnieszki Holland „Plac Waszyngtona” zrealizowany gdzieś w świecie.

Na Zamku Królewskim była cała elita, i Wajda, i pani Penderecka, i liczne grona profesorskie, a zupełnie nowa pani minister kultury nie dotarła, była tylko obecna duchem,

duchem bezradnym, co wynika z wywiadów jakich ostatnio udziela. Wysłuchałem wiele głosów rozsądnych, zdarzały się czasami imponujące popisy inteligencji i sztuki krasomówczej, a ten ostatni talent w Polsce jest rzadki. Tu trzeba też zauważyć, że jak profesorzy złączą truciznę, to wyciąg z muchomorów jest jak źródłana woda. Gdy się z tego gęstego płynu wyłuska ziarno, to wszyscy mają rację, ale nic z tego nie wynika, bo nie ma przełożenia słów na fakty. Po kilku godzinach, bardzo wyczerpani, z wyżyn intelektualnych zesłaliśmy na niziny, by spotkać się w toalecie. I oto widzę, że stoję obok grona wielkich ludzi, a wszyscy w tej samej sytuacji. Nie mogłem się powstrzymać i spuentowałem sytuację słowami: „Oto nareszcie możemy zrobić coś konkretnego”. Boję się, że to jest prawda, która dotyczy wielu polskich reform.

A gdy chodzi o Ministerstwo Kultury i Ministerstwo Oświaty to wygląda na to, że Unia Wolności te regiony wspinałomyślnie oddaje w ręce AWS-u, w jego skrzydła radiomaryjne. Z tego co na razie widać, nie robi się tam czystek i polowań na postkomunistów, raczej uzupełnia się te instytucje o ludzi myślących na poziomie parafialnym. Problem, że parafialnie myśli teraz wielu ludzi, określanych przez prawicę jako postkomuniści, i nagle okazuje się, że bardzo im blisko do narodowej prawicy.

Szefem Komisji Kultury w Sejmie zostaje poseł Jan Maria Jackowski, oddany oficer rozgłośni księdza Rydzyka. A jego zastępcą jest – nie do wiary – były minister kultury Zdzisław Podkański, kulturalnie zupełnie skompromitowany i postkomunista. Jak to możliwe, że został wybrany głosami AWS-u? Bo Podkański ma wiele wad, ale to dobry Polak, katolik. Szef telewizji Ryszard Miazek to niemal brat bliźniak Podkańskiego i bliźniaczo u niego podobny wyraz braku inteligencji na twarzy, która zyskuje, gdy jej właściciel milczy. A kiedyś od ludzi prawicy słyszałem słowa: „ten Miazek ma tyle wad, postkomunista, ale to jednak dobry Polak, katolik”.

Niedawno *Trybuna* przedrukowała komentarze Jackowskiego do pornograficznych zdjęć z roku 90 drukowanych w periodyku *Reklama*. Ten słynny bojownik o cnotę jawi się jako libertyn, bo komentuje te pornograficzne zdjęcia wielce życzliwie, nawet z pewnym seksualnym smakiem, wykazując

przy tym ambicje „literackie”. Już wiem czym zasłużył aby zostać przewodniczącym sejmowej komisji kultury. *Gazeta Wyborcza* oburza się na *Trybunę* za ten przedruk, że to niegodne. Nie wierzę w szczerość tego oburzenia, to jest tylko mała perfidia, bo krytykując zarazem zachęca do lektury, mnie zachęciła. Zgadzam się, że nie wypada wypominać ludziom grzechów po kilkunastu latach, ale ksenofobicznym politykom chyba można, a nawet należy przypominać co mówili jeszcze tak niedawno. Prawie całe nasze życie polityczne bazuje na braku pamięci.

Ta sama *Trybuna*, organ „lewicy” w innych tekstach, pod wodzą nowego szefa Janusza Rolickiego, coraz bardziej przypomina *Trybunę Ludu*. Na pierwszej stronie jednego wydania widzę dwa wielkie portrety, Edwarda Gierka i Mariana Krzaklewskiego. Nad ich głowami napis: „AWS – PZPR?” Piszą też o mackach Kościoła, które docierają wszędzie. Czyli jedna strona ma swoich agentów Kościoła, druga agentów Antychrysta. Ale trzeba uczciwie przyznać, że paranoja narodowo-kościelna ma o wiele większą siłę rażenia, mocniejsze stężenie, a też szerszą publiczność. *Trybuna* gdy obraziła Papieża, kaja się i prosi o wybaczenie przyznając się do grzechu. Rzecz nie do pomyślenia po drugiej stronie, bo chociaż skrucza jest przywilejem i cnotą chrześcijańską, to oni się nigdy nie myślą, z nimi jest nieomylny Bóg.

Pierwsze telewizyjne transmisje z obrad nowego Sejmu, to obraz burzliwych sporów o budżet, o zapowiedziane podwyżki, czyli pokaz nowej palanterii polskiej. Brakuje merytorycznej dyskusji, są wielkie emocje, parady próżności, a prawda i dobro kraju gdzieś w tym ginie.

Niedawne zdobycie władzy, to nie był atak husarii. Ale niepokojąco wielu polityków AWS-u nosi przypięte skrzydła. Po kilku tygodniach już trochę im oklapły, a co stanie się z tymi skrzydłami za rok? AWS-owi jest potrzebny wróg i bitwa, naciera więc nieustannie na SLD, a ta partia się stroszy i coraz częściej gada głupstwa. Krytykują teraz wszystkie decyzje nowej władzy odruchowo i histerycznie.

Nie jest jednak prawdą, że rządy SLD zrujnowały Polskę, a nowa władza zastała katastrofę. Było sporo niekompetencji, i partyjnego egotyzmu, a pewnie też sporo zaniechań, ale to

wszystko bardzo jest typowe dla ułomności władzy w tym rejonie świata. Vaclav Havel po fatalnym upadku rządu Klausa, powiedział, że „głównym grzechem czeskiej polityki jest pycha”. Jak u nas! I często nie wiadomo, co jest partactwem, a co po prostu oporem materii ludzkiej. Czy więc nie za bardzo nowa ekipa gra odziedziczoną katastrofą?

Jak nowy rząd poradzi sobie z pokusami władzy w kraju bez utrwalonych tradycji reguł gry władzy, prawa i pieniądza?... pogadamy o tym za rok. I czy piękne słowa zamieniają się na fakty? Premier Buzek, może nie jest wielkim mówcą, ale mówi gorąco i szczerze. W telewizyjnym wystąpieniu, zapowiada: „Nasz rząd rozpoczął wielkie reformy, wielkie zadanie naprawy państwa i finansów publicznych [...] Przyszły rok będzie rokiem przełomowym.” Oj, ostrożnie, bo znowu trzeba będzie liczyć na słabość ludzkiej pamięci. Na razie pierwsze konkrety jakie oferuje nowa władza społeczeństwu, to podwyżki cen za energię ciepłą, benzynę, alkohole, papierosy i za telefony, chociaż już teraz rozmowy są u nas najdroższe w Europie. Balcerowicz woła, że nasza gospodarka jest przegrzana, że trzeba przyhamować i ją wychłodzić, bo grozi nam kryzys „czeski” lub „koreański”. Czyli jest za dobra koniunktura, i trzeba zwolnić, co się nieco kłóci z wizją odziedziczonej katastrofy.

A chłopci nowemu rządowi i nowemu parlamentowi przywożą do Warszawy obciętą głowę byka. Nowy rząd jest dla chłopów kontynuacją katastrofy. To prawda, nasza wieś jest od wieków jakąś formą katastrofy, ale tak być musi, skoro kilka milionów chłopów dla dobra RP powinno wyparować, a nie chca. Można tym problemem tylko lepiej lub gorzej sterować, a steruje się chyba rzeczywiście źle. I przecież w końcu do wczoraj współrządziła partia chłopska. Kiedy rozmawiam z kobietą ze wsi, pyta mnie: „Panie, czy jest nadzieja, że nowy rząd, że miasto coś dobrego zrobi dla wsi?” A ja pytam jak wygląda ich gospodarstwo? Okazuje się, że kilka lat temu podzielili je między braci, siostry, teraz każdy ma po trzy hektary, ziemia kiepska, nie ma jak na tym gospodarować. Pytam, czy jednak nie zmieniło się na lepsze przez ostatnie lata. Przyznaje, że bardzo dużo się zmieniło. „Ale powinno być lepiej”. Ja też uważam, że powinno. A póki co, Europa nie chce naszego mleka, bo jak zbadano polskie

mleczarnie, to okazało się, że robaki i muchy mają do niego dostęp. Teraz o zgrozo będą lustrowane polskie rzeźnie. Czy to jest ta apokalipsa, która wedle skrajnej prawicy czeka Polskę po wejściu do Europy, teraz będą sprawdzać czy mamy czystą bieliznę i przed całym światem upokarzać? A prezydent Kwaśniewski ratując polskie rolnictwo oświadcza, że codziennie rano pije szklankę polskiego mleka, Europy jednak nie wzrusza, że polski prezydent może być z lekka zarobaczywały.

Sami nie wygramy wojny z polskim niechlujstwem, dobrze, że walka z nim jest warunkiem naszego wejścia do Europy.

Znowu za mało się ludziom tłumaczy, choćby co to jest „chłódzenie gospodarki”? Nie mam złudzeń, że to tłumaczenie nie tak wiele da, bo większość ludzi albo pojąć nie potrafi, albo nie chce. Trzeba jednak uparcie próbować, mimo wszystko.

Kiedy jestem w swojej administracji, by wyjaśnić czemu każą mi płacić jakieś monstrualnie duże dodatkowe świadczenia, zastaję wielką kolejkę złożoną głównie ze starszych kobiet, poskręcaną w supły złorzeczenia, bo te osoby mają podobną co ja sytuację, tylko o wiele mniej pieniędzy. Wszystkie członki tej kolejki są pewne, że administracja chce ich okraść. I nagle ja też odnajduję w sobie wściekłość i bezradność z czasów PRL-u. I jak wtedy okazuje się, że są równi i równiejsi, jedna z urzędniczek, która zna moją gębę, pewnie z telewizji, oburza się, że tracę czas, bierze ode mnie dokumenty, ona sama to wyjaśni. A ja się na to godzę, oczywiście i niestety.

Moja administracja jest jedną wielką ślamazarnością i nieudolnością, a na dodatek w starych dekoracjach, nowe są tylko komputery. Ale to już nie jest regułą, od wielu znajomych słyszę, że u nich w administracji bardzo się poprawiło, czyli jak wszystko u nas, to też jest w kratkę.

Nadal chcę wierzyć, że stała się w Polsce szczęśliwa zmiana rządów. Bałem się AWS-u nago i w garniturze Unii, jest jako tako. Ale jesteśmy dopiero na początku drogi. I są już pierwsze głupstwa. Choćby Marian Krzaklewski, który

proponuje by zmienić umowy dotyczące spłaty polskich długów wobec Zachodu. Bo „finanse państwa są w stanie opłakanym i nas nie stać”. Tak, świat dowiaduje się, że Polska jest na progu ekonomicznego krachu. Niełatwo podjąć decyzję by w takim kraju inwestować.

A co robi Czesław Bielecki, przecież wychowanek *Kultury*, bohater podziemia, architekt i założyciel „Ruchu Stu”, która to partia miała być zaczątkiem centrum a stała się jedną z wielu cegiełek prawicowego muru AWS? Nie podobał mi się kolor tego muru, dlatego stamtąd umknąłem, ale przyznaję, że zmiana władzy była konieczna.

Już się martwiłem, że Bielecki przepadł w basenie AWS-u, a przecież szczerze go cenię. Ale jego niełatwo przycięć, więc nagle wypłynął jako szef Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Z jadowitym uśmiechem mówi złośliwie i inteligentnie. Pożre każdego politycznego przeciwnika, nawet jeśli ten ma kopyta. Każde jego zdanie jest aforyzmem. Czy zagranica to doceni? Niedawno nie mógł się nadziwić, że napisałem entuzjastyczną recenzję z jego świetnej książki o architekturze, mimo, że politycznie się poróżniliśmy. No proszę, jak się wpadnie w złe towarzystwo to normalne zachowanie dziwi.

Jestem w szpitalu psychiatrycznym, jeszcze nie jako pacjent, kogoś odwiedzam. Sporo się jednak zmieniło z dawnych lat, gdy przed laty też bywałem tu gościem. Szpital wyremontowano, jest nawet estetycznie. Właśnie w tym miejscu uderza mnie, jak cienka jest granica... Tego dnia szpital był bardzo podniecony, bo miał tu zamieszkać „pewien bardzo znany polityk”, nazwisk nie będzie, powiem tylko, że to nie prezydent i nie premier. Chorzy promieniują zadowoleniem, że są w dobrym towarzystwie. Taka wiadomość w szpitalu psychiatrycznym jest równie wiarygodna co na warszawskiej ulicy. Ale właściwie czemu nie? Gdyby zamknąć w tym szpitalu spory procent naszych posłów, to chyba nie byłoby to jakieś nadużycie?

Podchodzi do mnie jedna z chorych, mówi – „ja po prostu nie wiem jak żyć, proszę pana”. – Ja też nie wiem – mówię – tylko na razie potrafię przejść nad tym do porządku rzeczy, a Pani nie potrafi.

Rozmawiam z lekarzami. Od czasów gdy zakwitła demokracja, zaczęli mieć ciężkie życie, bo nowa ustawa psychiatryczna nie pozwala zamykać w szpitalu chorego bez jego zgody. A jaki chory psychicznie da zgodę, by go zapudłować. W sytuacjach skrajnych decyzję podejmuje sąd. Jest nawet sala sądowa w szpitalu, ale sąd obraził się na szpital, bo lekarze nie wstawali kiedy trzeba, by uszanować powagę sądu. I teraz sąd już nie przyjeżdża na rozprawy. Lekarze i pacjenci jeżdżą do zakorkowanego centrum, wozi się niebezpiecznych pacjentów w asyście policji, z obstawą, jak pieniądze do banku. Zabiera to lekarzom wiele nerwów i czasu. A dla rodzin jest koszmarem, to praktycznie teraz oni muszą walczyć by odizolować swoich bliskich. Paradoksem jest, że taka ustawa byłaby bardzo ważna w czasach braku wolności, chociaż o dziwo w PRL-u nie wykorzystywano szpitali psychiatrycznych do celów politycznych, jak w ZSSR. Teraz chaos jest wielki, i wiele zła wynika z dobrych intencji tej demokratycznej ustawy.

Jeden z lekarzy opowiada mi, że psychiatrzy obserwują ostatnio w Polsce epidemię kleptomani. Masowe kradzieże w sklepach dokonywane są bynajmniej nie przez zawodowych złodziei, a ludzi, którzy nie mogą się oprzeć. Epidemia przymusu posiadania. „Takie czasy” – mówimy niespodziewanie na dwa głosy. Obserwuję przy okazji jak psychiatrzy w ramach państwowej służby zdrowia, prywatyzują się. Część z pacjentów leczonych niby za pieniądze z naszych podatków leczą się u nich prywatnie.

Strajk anestezjologów dogorywa, do niedawna nie znieczulali a głodowali. A potem zaczęli głodować pierwsi pacjenci, którzy nie mogli doczekać się operacji. Wygłodniali anestezjologowie operują pacjentów, którzy głodówką zmuszają lekarzy do operacji. Jaki dramaturg by to wymyślił?

Anestezjologowie domagają się wyższych pensji. Już widać, że ich śladem podążają pielęgniarki. Ale nowy rząd, też nie ma dla nich pieniędzy. „Stan służby zdrowia jest tragiczny” – mówi nowy minister. O tym wiedzą najlepiej chorzy. Za tragedię winni są wedle niego postkomuniści. Zobaczmy co zwojuje nowa ekipa. A dlaczego właśnie anestezjologowie tak uparcie strajkują, wyjaśnia mi znajomy anestezjolog.

Lekarze innych specjalności już się „sprywatyzowali”. Za

każdy zabieg są ustalone nieoficjalne stawki od pacjentów. A anestezjologowie nie mają jak brać tego, co jak nazwać? Łapówką, kontrybucją, tragiczną koniecznością? Trudno o bardziej niemoralną sytuację, bo te nieformalne opłaty dotyczą strefy choroby, czyli cierpienia, rozpacz, umierania. Stan naszych szpitali, służby zdrowia, stanowczo ostrzega: „nie wolno chorować”.

Polska się rozwija, ale jest też pełna takich nie rozwiązanych supłów. Czy nowe ekipy zajmą się rozwiązywaniem tych supłów, czy skupią się na obsadzaniu stanowisk swoimi ludźmi oraz na frakcyjnych walkach? Opozycja krzyczy, że się ją marginalizuje. Zwycięski obóz uważa, że ma prawo i obowiązek to robić, bo ich przeciwnicy nie są normalną opozycją, są chorzy przeszłością.

To prawda, że postkomuniści z PSL-em poobsadzali jak leci wszystko swoimi ludźmi. To musiało uruchomić mechanizm rewanżu i wymiany, co zrobić, aby nie był on ślepy? Taki mechanizm zawsze ślepnie gdy okrzepnie. I znowu widzę niepokojąco wielu ludzi z moich starych notesów na wierchołkach władzy. Zdarza się, że jak ujrzę taką znajomą twarz na szczycie, to się zbieram i zbieram, ale nie mogę się pozbierać ze zdziwienia. Że też taki palant...?! I proszę, po tylu latach jeszcze zachowałem zdolność dziwienia się.

Mimo coraz większych komplikacji z pojęciami prawica, lewica, nadal ich używamy a skazani na nie jesteśmy jak na niestrawność żołądka. Tak zwana prawica wygrała i przestała póki co zajmować się swoim kryzysem tożsamości, programu, braku wizji. Przegrani, czyli lewica, zaczęli o tym mówić.

Nieszczęściem opcji socjaldemokratycznej, czy lewicowej jest fakt, że ten obszar w tak dużej mierze zawłaszczyli u nas postkomuniści. To nie tylko jest kwetsia pewnych skaz na charakterze, jaka skala tej skazy po prostu nie wiem, boję się więc stawiać diagnozę, co tak łatwo przychodzi skrajnej prawicy. Współczesne państwo z kręgu naszej cywilizacji gwałci i upokarza wszystkich, którzy nie akceptują pewnej formuły gospodarczej. A ona nie może obejść się bez pewnych form demokracji. Więc tak naprawdę różnice między partiami politycznymi dotyczą stosunku do świata, do religii, do spraw obyczajowych. Dlatego zamiast pojęć lewica i prawica, wo-

łałbym na określenie ugrupowań politycznych używać określeń z dziedziny psychologii, lub psychiatrii. Ale to z kolei zbyt brutalnie szufladkuje ludzi, a oni się w jednej szufladzie nie mieszczą. Ale chemia psychiczna jest faktem. I gdzieś ta chemia jest mi bliższa u tak zwanej lewicy, niż u tak zwanej prawicy. A tak naprawdę, to marzy mi się centrum, bardziej odważne i wyraźne niż Unia Wolności.

SDRP podjęła próbę odmłodzenia się, ale nic z tego nie wyszło. Na kongresie partii Józef Oleksy odszedł, ale niechętnie, a nowym szefem został Leszek Miller. Sprytny, wygadany, specjalista od metafor politycznych z podtekstem erotycznym, dawny beton partyjny. Nie ma więc odcięcia się od przeszłości. I już widać, że ta formacja nie zjednoczy polskiej lewicy i nie zbuduje socjaldemokracji, którą można szanować.

Pesymiści twierdzą, że nowa koalicja przetrwa nie dłużej niż rok. Optymiści mówią, że lat osiem. Kto wie, interes władzy to interes numer jeden w świecie, niestety. Jedno pewne, jak na razie premier Buzek robi dobre, coraz lepsze wrażenie. Zaczął nawet w stylu zachodnim uzupełniać swój wizerunek obrazem swojej córki i żony, a córka w szkole aktorskiej więc dobrze gra tę rolę. „Jaka chudziutka” – wyszeptał Papież, gdy rodzina Buzka była niedawno u Niego na audiencji. A więc nasz Papież jednak widzi kobiecość kobiety. A o tym tworzeniu wizerunku piszę bez nagany, z aprobatą. Czy jak Wałęsa pluł sobie potem w brodę, że wybrał na premiera Mazowieckiego, tak Krzaklewski będzie nerwowo szarpał płatki swego artystycznego kwiatu? Raczej nie. Premierowi patrzy z oka pewien typ uczciwości, który nie jest typowy dla polityka. Trudno tego nie cenić, ale czasami to ogromnie przeszkadza aby być dobrym politykiem. Z okolic premiera wiem, że tam się szepce, że to On dzwoni do Krzaklewskiego a nie odwrotnie. Czy to prawda? Nie wiem. Buzek odniesie sukces i my z nim, jeśli się od Krzaklewskiego uniezależni, ale jak ma to zrobić ktoś tak lojalny, gdy Krzaklewskiemu zawdzięcza taką niezwykłą funkcję.

Kiedy ksiądz Jankowski zrugany przez przełożonych na chwilę zamilkł, odezwał się ksiądz Rydyk. Jego Radio Maryja

codziennie zatruwa miliony polskich głów, ale teraz zrobiła się ogólnonarodowa afera. Prokuratura toruńska ośmieliła się podjąć próbę przesłuchania księdza, oskarżonego o lenie najwyższych władz państwowych. Bo ksiądz Rydzyk powiedział, że „pośtom którzy głosowali za liberalizacją ustawy antyaborcyjnej należy golić głowy, jak prostytutkom, które w czasie wojny zadawały się z hitlerowcami.”

A na przesłuchanie się nie stawił. Więc podjęto bardzo nieśmiałą próbę by Rydzyka doprowadzić, wiedząc że go w domu nie ma. Biskup Pieronek już wcześniej oświadczył zaniepokojony, że Radio „wymknęło się spod kontroli Kościoła”. Wtedy słuchacze Radia zaczęli mu przypominać na antenie, że byli w Polsce biskupi, których powieszono za zdradę. Takie groźby, są w tym Radiu codziennością.

Kiedy zaczęły się uliczne manifestacje Rodziny Radia Maryja w obronie księdza męczonogo przez prokuraturę, minister sprawiedliwości Hanna Suchocka w panice odwołuje nakaz, by opornego księdza doprowadzić siłą. Tajemnicą bliskiego otoczenia Suchockiej, gdy była premierem, jest jej słaby charakter. Powstał mit polskiej pani Thatcher, zupełnie fałszywy jak wiele mitów. Ale oto nagle zaniepokoił się Prymas i wysłał list do przełożonego księdza Rydzyka, do Ojca Nocunia, Prowincjała zakonu Redemptorystów. Prymas pisze o „zaognieniu w kraju pod wpływem wypowiedzi wielu osób na temat Radia Maryja”. Glomp ceni to Radio, bo katolickie i popularne, ale czasami się z nim nie zgadza. Co krytykuje ksiądz Prymas? „Nie można szerzyć przekonania, że teraz przeżywamy najtrudniejsze czasy”. Tu pragnę wyjaśnić, że nawet ja, który słucham tego Radia, jak się słucha jakiejś kuriozalnej psychodramy, czasami popadam w panikę, że Polska jest w tak strasznym stanie: rozkradana, sprzedawana, zdradzana. Prymasa niepokoi też, jak to raczył określić: „hałaśliwa metoda walki”. Pisze: „Wielebny Ojciec Rydzyk, mimo popularności i poparcia, nie może żądać dla siebie przywilejów i być ponad prawem”, dalej: „niech w naszych audycjach więcej będzie Chrystusa, a mniej osobistych ambicji” poleca Prymas, który nawet przyznaje, że poczuł się upokorzony pychą Wielebnego ojca.

Otóż ja czuję się upokorzony wypowiedzią Prymasa. Dostrzegł trafnie kilka ziarenek piasku w oku Radia Maryja,

nie widzi belki. A więc, że te audycje pachną nacjonalizmem, ksenofobią, myśleniem spiskowym i nienawiścią. Potocznie mówi się, że ktoś zwariował, nie myśląc jednak o prawdziwej chorobie. Tu naprawdę ma się często poczucie, że sprawa nadaje się dla psychiatry. W informatorze o Radiu Maryja ksiądz Rydzyk napisał: „Na świecie jest systematycznie prowadzona antyewangelizacja, kierowana przez centralę, która pozostaje anonimowa, czego straszne skutki odczuwamy w naszej Ojczyźnie, w naszych rodzinach”. A, że psychoza jest zbiorowa, to przerabialiśmy wielokrotnie w historii. Podobno tego Radia słucha pięć milionów ludzi?

W końcu ksiądz Rydzyk stawia się dobrowolnie u prokuratora, a potem pluje Prymasowi nie w twarz, ale na skrawek sutanny i mówi łaskawie o Prymasie: „należy mu się szacunek niezależnie od tego, co słyszymy. I napominać jak najbardziej może Ksiądz Prymas, a my przyjmujemy to normalnie.” Czyli normalnie olewamy Księdza Prymasa i robimy swoje. A przełożony Wielebny Rydzyk Ojciec Nocuń wyraża solidarność z Rydzykiem, przekazuje wyrazy braterskiej solidarności i krzepi wielebny Rydzyk okrzykiem: *sursum corda!* To zjawisko nazywa się tu i ówdzie „bolesnym rozdźwiękiem w polskim kościele”.

Słucham transmisji z Torunia, gdzie Rodzina Radia Maryja świętuje swoje sześćdziesiąte. Jest kilkanaście tysięcy ludzi. Przypomina to jakiś polityczny wiec, którym kieruje ksiądz Rydzyk. A Prymasa znowu tam publicznie lekceważą. Tłum wtedy bije brawo i nie chce przestać, jak to bywało na stalinowskich wiecach. W finale ksiądz Rydzyk mówi: „A z tą Europą... tak na siłę nas wołali do Związku Radzieckiego. Teraz krzyczą wszyscy jak poszaleli... [...] Do Europy tak, ale tylko do Europy zbudowanej z kamieni przepalonych Ewangelią”.

Pół biedy, że to Radio jest chorym dzieckiem demokracji, jest przede wszystkim chorym dzieckiem Kościoła. To strumień, który zmienił się już w rzekę, a ona splywa ze wzgórza polskiego kościoła katolickiego. Dlaczego więc tak późno duszpasterze przerazili się i próbują interweniować? Za późno i na próżno. Czy nie dlatego, że w sporej części podzielają poglądy księdza Rydzyka? Mają przede wszystkim żal, że ksiądz jest nieposłuszny, że tak siebie promuje, czasami

przesadza, nie czuje co jest polityczne, a czego lepiej publicznie nie mówić.

Radio Rydyzka ujawnia wielką skazę polskiego katolicyzmu, *Tygodnik Powszechny* jest małą wyspą na morzu katolicyzmu, który nazywa się ludowym. Przestrzeń między księdzem Rydzykiem, jego „rodziną” a naszym Episkopatem w gruncie rzeczy nie jest taka wielka. Jest wielka odległość *Tygodnika Powszechnego*. Korzystając z siły Ewangelii, pod kopułą dobroci i miłości bliźniego hoduje się w tej cieplarni nacjonalizm, nienawiść i ksenofobię. Gdyby ktoś tam powiedział, że Matka Boska nie była Polką, mógłby zostać ukamieniowany.

Tak oto odradza się niemal w wiernej kopii skrajna postać przedwojennej endecji. Na szczęście Radio Maryja to przede wszystkim rozgłośnia dla emerytów i ludzi niewykształconych. Przykro jednak narażać się na grzech oczekiwania, aż wymrze jakaś społeczna grupa. Zaskakuje nas skala rodzimej ciemnoty, ale przecież też zaskakiwała skala zdrowego rozsądku w Polsce. Nie sądzę więc by Radio Maryja zagrażało polskiej demokracji, chociaż codziennie ją atakuje. Nawet obecny rząd nazywa się tam: „podobno prawicowy”. Natomiast ta sekta, czy partia polityczna, bo w tym kierunku Rydyzik zmierza, jest bez wątpienia na dobrej drodze by załatwić polski kościół katolicki, na amen. Przy okazji kompromituje ta rozgłośnia polską prawicę, która w sporej części albo korzysta z siły rozgłośni, albo jej się podlizuje. Nie wyglądałoby to tak smętnie, gdybyśmy mieli normalną partię o profilu centro-lewicowym. Ale w sytuacji gdy Unia poświęca się dla ojczyzny i jest w łóżku z AWS-em, bardzo wielu ludzi w Polsce nie ma swojej reprezentacji politycznej.

Ponad stu posłów AWS-u podpisuje petycję protestującą, gdzie są słowa, że „prokuratura nęka księdza Rydyzka”. Nawet jeśli przesadą był nakaz doprowadzenia księdza do prokuratury, to nie ma on prawa stawiać się ponad prawem, co nawet przyznał Prymas. W Szwecji kiedyś policja podatkowa wkroczyła do teatru i zakuła w kajdanki genialnego reżysera Ingmara Bergmana. Też po to, by pokazać, że w państwie prawa, nie ma wyjątków. W Polsce nierobienie wyjątków w takiej sytuacji nie mieści się w głowie. A te sto głosów „w obronie prawa”, wpisuje się po prostu w obronę

Radia Maryja. Ponad stu posłów wolnej Polski jest po stronie obłędu. Kiepska pociecha, że i tak większość społeczeństwa widzi nasz parlament jako dom wariatów.

Ale spokojnie, bez paniki. Jakiś czas temu spotkałem Leszka Balcerowicza, nie był jeszcze wtedy wicepremierem, i zaproponowałem mu by robić do Izraela „wycieczki pocieszenia dla polskich liberałów”. Bardzo był zainteresowany tym pomysłem, myślę, że jest nadal aktualny. A po pobycie w Moskwie myślę, że tam bliżej i taniej jeździć.

Już coraz rzadziej słyszę wśród swoich znajomych pytanie „mieć” czy „być”. To w ogóle przestaje być pytanie na miejscu, a kiedyś było. Już wiadomo, że aby „być” trzeba „mieć”. Jakoś tak się porobiło, że zdechł ideał człowieka, który był bezinteresowny, zajęty przede wszystkim pracą ideową czy intelektualną, a jego ubóstwo jest cnotą. Dzisiaj to tylko godna współczucia nieudolność. Jeśli nie przekracza się pewnego progu posiadania, ideowość nikomu nie zaimponuje. Dzisiaj bezinteresowna i bezkompromisowa postawa, to dopiero jest heroizm. I samotność.

Obserwuję to wszystko u znajomych, ładny samochód, dom, wyjazdy... ale widzę też wyraźnie zmiany u siebie. Polski kapitalizm jest jeszcze nie opierzony, przypomina pisklę już duże, ale jeszcze bez piór, wygląda groteskowo. I sam coraz częściej idę na kompromisy, na które nie szedłem w czasach PRL-u, gdy świat był czasami szary, a czasami czarno-biały.

Od kilku miesięcy czytam prace przysyłane na konkurs do pewnego popularnego miesięcznika, to w formie dziennika opis fragmentu swojego życia. Nadesłano zaskakująco wiele świetnych dzienników ze wszystkich zakątków kraju, pisały nawet dzieci a też ludzie w wieku sędziwym. Po lekturze dziwię się, że w tym kraju jest taka kiepska proza, skoro tak wiele osób, ludzi dalekich od świata literackiego, tak dobrze pisze. Wyłania się ciekawy obraz kraju, bardzo skomplikowany, w sumie jednak optymistyczny. Jest wiele problemów, bólu, chorób, goryczy, jak to w życiu bywa, ale ton nadaje uparta walka o nową formę życia, to jest jednak ta Wielka Zmiana. Potwierdza się moje widzenie Polski, jako kraju

w ruchu, gdzie część ludzi walczy by utrzymać się na powierzchni, część by się dorobić. A to dorabianie się nie zawsze jest żarłoczne. Cieszy mnie, że przeważa widzenie liberalne, wiele jest poirytowania na polskie obskurantwo. A przede wszystkim jest owa trudna do uchwycenia, ale wyczuwalna pozytywna energia. Czytałem podobnego typu prace lat temu bodaj osiem, wtedy byłem wstrząśnięty ich mrokiem i poczuciem beznadziejności. Dzisiaj zostały otwarte okna i drzwi, i nawet jeśli nie każdy potrafi z wolności skorzystać, to nie ma już dawnego zaduchu.

SMECZ

Białoruska Deklaracja Wolności

W rezultacie dwuwiekowego „rozwoju kolonialnego” Białoruś niemalże straciła smak swobody i utraciła swoje miejsce we wspólnocie niezależnych narodów Europy.

W ciągu trzech ostatnich lat niepodległa Białoruś na całym świecie zdobywała rozgłos jako kraj z reżymem dyktatorskim w centrum Europy.

Na dzień dzisiejszy społeczeństwo białoruskie dościsnęło okresu, w którym konformizm, wspólne niewolnictwo, ideologia totalitarna oraz niewola są narzucane większości społeczeństwa jako rozsądny wybór dla przetrwania.

„Zniewolony umysł” próbuje brać pod kontrolę każdą swobodną inicjatywę: intelektualną, kulturalną oraz socjalno-gospodarczą. „Człowiek jednowymiarowy” na Białorusi zagraża wartościom demokracji i kultury europejskiej.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że Białoruś przekształciła się w kraj-wyzwanie dla szeregu struktur europejskich, postaci politycznych oraz wszystkich organizacji obrony praw.

W takich warunkach my, grupa białoruskich intelektualistów, ludzi kultury i sztuki, którzy podpisali „Deklarację 97”, oświadczamy o swoim wyborze fundamentalnym na rzecz:

- swobodnej kreatywności i wolnego myślenia
- intelektualnego i kulturalnego nonkonformizmu
- obrony podstawowych wartości europejskiej kultury i cywilizacji z ich główną tezą:

WOLNOŚĆ

Sąsiedzi

W dzisiejszej sytuacji nie mamy innych możliwości obrony i utrwalenia tych zasad jak tylko wyrażenie swojego zdecydowania, pragnienia wolności i wiary w swobodne demonstrowanie oraz wyrażenie ludzkiej twórczości.

W naszej walce o wolność na Białorusi i dla Białorusi głęboko wierzymy w twórczą i demokratyczną przyszłość naszego państwa we wspólnej Europie.

Zwracamy się do intelektualistów oraz działaczy kultury i sztuki wszystkich państw Europy z wezwaniem o poparcie Deklaracji i podpisanie się pod nią za i na rzecz – białoruskiej i europejskiej wolności.

Białoruska Deklaracja Wolności została podpisana przez:

Aleś Anciepienka – filozof i poeta, Walancin Akudowicz – kulturolog, Uładzimir Arlou – pisarz, Ihar Babkou – filozof i poeta, Ryhor Baradulin – narodowy poeta Białorusi, Wasil Bykau – narodowy poeta Białorusi, Alaksandar Harcujeu – aktor i reżyser teatralny, Wiktar Daszuk – reżyser filmowy, Siarhej Dubawiec – krytyk literatury, Siarher Zakonnikau – poeta, Wiaczasław Iwanouski – krytyk sztuki, Wiktar Kapyćka – kompozytor, Artur Klinau – artysta, Zmiecier Kołas – tłumacz, Uładzimir Konan – filozof i krytyk literatury, Miakałaj Krukouski – filozof, Walery Manajeu – aktor, Aleś Maraczkin – artysta, Zinowi Marholin – malarz, Uładzimir Mackiewicz – kulturolog, Ihar Maciuchou – dyrygent, Aleś Razanau – poeta, Wiaczesław Rakicki – krytyk sztuki, Wasil Siomucha – tłumacz, Wiktar Skarabahatau – śpiewak operowy i muzykolog, Wiktar Szalkiewicz – aktor, Karłas Szerman – poeta i tłumacz.

Solidaryzując się z Białoruską Deklaracją Wolności podpisują ją w imieniu redakcji *Kultury* i apelują do wszystkich, którzy rozumieją znaczenie niepodległej Białorusi dla Europy i sprawy polskiej, o złożenie podpisów.

Jerzy Giedroyc

Podpisali:
Krzysztof Pomian, Jerzy Pomianowski, Andrzej Wajda, Władysław Żeleński

Walka wyborcza po ukraińsku

Do wyborów w końcu marca 1998 jeszcze kawał czasu, ale walka wyborcza na Ukrainie już na dobre rozgorzała. Na razie jest wstępna faza, ale krzątania działaczy partyjnych jest, mimo słotnej i zimnej pogody, dużo. Ich aktywność znajduje się w odwrotnej proporcji do opieszałości wyborców. Permanentny kryzys polityczny i łamanie wszystkich dotychczasowych programów stabilizacyjnych przez obydwu prezydentów i siedmiu premierów podważyły zaufanie i nadzieje społeczeństwa na polepszenie bytu i widoki na przyszłość.

Nieszczęściem ukraińskiej niepodległości jest to, że spadła na umęczony i wyniszczony kraj niespodzianie. Jeszcze nie były zagojone rany wytepienia ukraińskiej inteligencji przez Stalina i Hitlera, wymordowania milionów chłopów i ogromnego upustu krwi w szeregach Armii Czerwonej, zagłodzenia milionowej rzeszy jeńców ukraińskich w niemieckich obozach zagłady, straty Ukraińskiej Powstańczej Armii, a przede wszystkim późniejszej zemsty na krewnych tych partyzantów, masowo wywożonych od 1944 do 1958 roku do Gułagu. Polacy trwający w dogmatycznym pojmowaniu dziejów Ukrainy na podstawie nielicznej grupy kolaborantów proniemieckich, nie mają wciąż jeszcze najmniejszego pojęcia o ludnościowych i materialnych stratach Ukrainy, która przy normalnym rozwoju musiałaby dzisiaj liczyć co najmniej osiemdziesiąt, a nie pięćdziesiąt milionów mieszkańców.

Ukraina, po tym wszystkim, jeszcze słabo stoi na własnych nogach. Moskwa od wielu dziesięcioleci wyciskała wszystkie soki z kolonii. Ukraina finansowała wiele projektów w przemyśle zbrojeniowym, dawała podatki, dostarczała kadrę z jedyne go instytutu szkolenia inżynierów dla przemysłu naftowego i gazu ziemnego z Borysławia i Drohobycza dla całego Związku Sowieckiego, w Syberii, głównie w Tjumenu. Po wyczerpaniu ropy galicyjskiej i gazu z Daszawy, który przez wiele lat opalał nawet Moskwę i Leningrad, oprócz przemysłu rakietowego, samolotów i czołgów, Moskwa niczego na Ukrainie nie modernizowała. Mało tego, narzuciła podbitej prowincji najbardziej idiotyczne koncepcje „postępu”, które przemieniły

niegdyś żyzny i bogaty kraj w region zacołania i swoistego muzeum przemysłu ciężkiego.

Ukraina, po *perestrojce* Gorbaczowa, znalazła się, jak wszystkie były pseudopństwa w ramach pseudofederacji sowieckiej, w kłopotliwej sytuacji. Ukraińscy patrioci i dysydenci byli za słabi i zupełnie niezorganizowani, aby dokonać rewolucyjnego przewrotu. Na polityczną scenę wyszli komunisto-państwowcy jak Krawczuk, Pluszcz i im podobni, którzy złapali pojęcie płaszcza historii. Ale żaden z nich nie był w stanie rzucić hasła o konieczności duchowej i instytucjonalnej rozprawy z systemem niewoli. I żaden z nich nie miał odwagi wskoczyć do pociągu radykalnych reform.

Uczestniczący w przyszłych wyborach aktorzy wiedzą o co chodzi. Próbuja, jak mogą, wykorzystać szansę. Ale rządy Ukrainy nie bardzo wiedzą co z tym fantem począć. Czują, że znajdują się na cenzurowanym. Dotychczas prezydenci postępowali się władzą półsatrapów. Po prostu obarczyli winą premierów. Narobili sobie przez to wielu niepotrzebnych wrogów, którzy w zależności od stopnia ambicji przysięgają im zemstę. Wzmacnia to dramatyzm sytuacji i wyrwa zaspany elektorat z letargu.

Będą to zresztą po raz pierwszy prawdziwe wybory, bo dotychczas chodziło o karykaturę głosowania. Była to mieszanina między sowieckimi przymusowymi plebiscytami dla partii i personalnymi kandydaturami. Procedura umożliwiała manipulację. Najgorszym rezultatem takich wyborów było to, że nie doszło do stworzenia struktur partii politycznych. Cały parlament składał się ostatnio z jedenastu frakcji i wspomnianej grupy luźnych posłów.

Według dotychczasowych informacji w połowie grudnia 1997 o rejestrację ubiegają się 32 partie. Warunkiem jest zebranie 200 tysięcy podpisów. Zdaje się, że nie wszystkim partiom uda się przebrnąć przez tę barykadę selekcji. Największe szanse zdobycia mandatów mają komuniści, socjaliści, partia Ruch, liberałowie i nowo powstałe stronnictwo b. premiera Łazarenki „Hromada”, Partia Ludowo-Demokratyczna obecnego szefa rządu Pustowojtenki, a właściwie bezpartyjnego prezydenta Kuczmy, nie bez kozery nazywana „partią władzy”. Duże stronnictwa idą przeważnie do wyborów w pojedynkę jak na przykład komuniści, którzy liczą głównie na starsze pokolenie.

Słabsza od komunistów, Socjalistyczna Partia pod kierownictwem inteligentnego przewodniczącego parlamentu, Aleksandra Moroza, idzie do wyborów pod hasłem „za socjalizm, demokrację, postęp”. Wspomaga ją Partia Chłopska, reprezentująca głównie przewodniczących kołchozów, a łączy obydwie partie zaciekle obrona kolektywnej własności ziemi.

Masowy niegdyś, jak polska „Solidarność”, ukraiński „Ruch” pod kierownictwem weterana dysydentów, Wiaczesława Czornowoła, idzie do marcowego głosowania trochę w pojedynkę i trochę w sojuszu z dwoma głównymi ośrodkami inteligencji: Kongresem Ukraińskiej Inteligencji pod przewodnictwem poety i pierwszego prezesa „Ruch” Iwana Dracza i tradycyjnej instytucji popularyzacji oświaty „Proswita” również pod kierownictwem pisarza Mowczana. Jednak „Ruch” ma wielu wrogów. Coraz ostrzej zwalczają tę wciąż jeszcze po komunistach najlepiej zorganizowaną masową partię nacjonalistów z banderowskiego KUN-u i ludzie b. szefa bezpieczeństwa, a obecnie czołowego kandydata socjaldemokratów zjednoczonych, Marcuka.

Obóz ukraińskiego nacjonalizmu jest rozbity na kilka grup. Największy wpływ mają eks-banderowcy pod kierownictwem przybyłej z Monachium p. Sławy Stečko (panieńskie nazwisko: Anna Muzyka), wdowy po przedostatnim przywódcy banderowskiej OUN na emigracji. Ponieważ banderowcy mieli pieniądze i dość prężną organizację, a z czasem też wpływ na Wolny Ukraiński Uniwersytet w Monachium i na amerykańskie Radio „Swoboda”, wyprzedzili swych tradycyjnych przeciwników w OUN – „melnykowców” pod kierunkiem ostatniego prezydenta rządów UNR na emigracji, Mykoły Pławiuka. Zepchnęli też na margines potężnych niegdyś na emigracji konkurentów z Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej i nowojorskiego Prologu wydającego czasopismo *Suczasnist*. Z punktu widzenia troski o demokrację parlamentarną tego rodzaju rozbicie skrajnych grup nacjonalistycznych jest pozytywnym zjawiskiem. Wzmacnia oczekiwania, że tylko niewielu z nich uda się przeskoczyć czteroprocentową poprzeczkę.

16 grudnia 1997

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

Polska poezja w Niemczech

Od dawna wiadomo, że język niemiecki jest pierwszym obcym językiem naszej literatury. Wbrew powszechnym narzekaniom na „nieprzekładalność” polskiego pisarstwa, niemal wszystkie najważniejsze utwory, napisane przez naszych autorów, w dość szybkim czasie ukazują się na rynku niemieckim. Tak było też i w ostatnich latach – każdy, kto w Niemczech zainteresowany jest literaturą polską, może czytać ją w sporym wyborze w swym ojczystym języku. I choć rację ma Marcel Reich-Ranicki, gdy mówi, iż jest to literatura na ogół nie osiągająca wielkich nakładów (wyjątki można wszakże wskazać bez trudu: Andrzej Szczypiorski, Stanisław Lem, Witold Gombrowicz czy Stanisław Jerzy Lec, by pozostać tylko przy autorach współczesnych, zdobyli sobie sporą popularność), to przecież nie jest to jedyna miara znaczenia tego pisarstwa. Wartość dzieła literackiego tylko w dość prymitywnym ujęciu da się mierzyć masowym odbiorem. Wystarczy wspomnieć tylko o wpływie, jaki na kształtowanie postaw pisarskich ma w Niemczech twórczość takich polskich autorów, jak Witold Gombrowicz, Tadeusz Różewicz, Zbigniew Herbert czy – by przy tym przykładzie pozostać – zdobywający sobie coraz większe uznanie Bruno Schulz.

Warto o tym pamiętać zwłaszcza dziś, gdy wiadomo już, że właśnie polska literatura staje przed szczególną szansą promocji nie tylko na rynku niemieckim: w roku 2000 Polsce przyznano miejsce centralne w trakcie Targów Książki we Frankfurcie i należy mieć nadzieję, że zarówno wydawcy jak odpowiedzialni za upowszechnianie kultury narodowej urzędnicy, przygotowują się do tego wydarzenia lepiej niż to miało

miejsce dwa lata temu w trakcie Targów Książki w Lipsku. Tym bardziej, że dzięki niestrudzonej pracy Karla Dedeciusa możliwość prezentacji polskiego pisarstwa zyskała doskonały punkt odniesienia, jaki stanowi zredagowana przezeń i w dużej mierze też przez niego przełożona Panorama Literatury Polskiej XX wieku – pięciotomowe dzieło (dwa tomy poezji, dwa prozy, jeden aforyzmów), nie mające chyba odpowiednika, także w kraju.

Panorama Dedeciusa nie funkcjonuje jednak w próżni – każdy, kto choć pobieżnie śledzi rynek księgarski w Niemczech, bez trudu dostrzeże na nim obecność polskich pisarzy. Tylko w ciągu ostatniego roku ukazały się tu m.in. książki takich pisarzy jak Różewicz, Zagajewski, Urszula Koziół, Urszula M. Benka, Stefan Chwin czy Natasza Goerke. W publikacjach prasowych jest tych nazwisk o wiele więcej, szczególnie na łamach znakomitego dwumiesięcznika *Sinn und Form*, konsekwentnie od lat prezentującego literaturę wschodnioeuropejską. Ukazują się też liczne antologie, jak choćby opracowana przez Sylwię Geist prezentacja młodej literatury polskiej „Zwischen den Linien. Eine polnische Anthologie” (1996) przynosząca m.in. utwory Anny Boleckiej, Aleksandra Jurewicza, Iwony Mickiewicz, Izabeli Filipiak czy Grzegorza Wróblewskiego.

Ostatnio wśród tych publikacji odnaleźć można interesującą antologię polskiej poezji, opracowaną przez Sergiusza Sternę-Wachowiaka „Polnisch Lyrik aus hundert Jahren”. Od razu trzeba powiedzieć, że po fundamentalnej antologii Dedeciusa wydanie tej pozycji mogłoby się wydać ryzykowne. W gruncie rzeczy jednak trudno te obie książki ze sobą porównywać. Antologia Sterny-Wachowiaka jest skromniejsza, przeznaczona jest też dla odbiorcy mniej wyspecjalizowanego, ma charakter popularyzatorski. Najstarszym spośród prezentowanych tu poetów jest Jan Kasprowicz, najmłodszym Tadeusz Żukowski, każdy z 63 autorów przedstawiony jest przez najwyżej trzy utwory: mamy zatem przegląd całej liryki polskiej ostatniego stulecia, reprezentatywny i w zasadzie mający ambicję rewidowania ustalonego już na scenie niemieckiej obrazu. Spośród pisarzy starszej generacji upomniałbym się o – tłumaczonego już zresztą na niemiecki i obecnego w tej przestrzeni językowej osobnym tonem – Zbigniewa Bień-

kowskiego, także o wciąż u nas niedocenianych Anatola Sterna czy Jana Śpiewaka. Cieszy obecność Bąka i Brandstaettera. Bursa reprezentowany jedynie fragmentami „Luizy” (bezsprzecznie najdoskonalszego utworu tego pisarza) to jednak prezentacja zbyt skromna. Żałować należy pominięcia Stanisława Czycza, którego „Brama” mogłaby być utworem niezmiernie interesującym właśnie dla czytelnika niemieckiego. Ważna wydaje się prezentacja Jarosława Marka Rymkiewicza, tym bardziej, że odmówił on ostatnio włączenia swych utworów do antologii opracowanej przez Piotra Matywieckiego. Całkowite pominięcie poetów kręgu Orientacji jest uporczywie powracającym błędem wszystkich antologistów ostatnich lat – bo jeśli się prezentuje np. utwory Benki, to niezrozumiała jest nieobecność Janusza Stycznia czy Mieczysława Machnickiego. Szkoda, że nie ma Kornhausera i Stabry, a spośród młodszych Antoniego Pawlaka.

Wskazuję na brak niektórych nazwisk nie po to, by się spierać z autorem wyboru. Chcę wskazać na ogromne trudności przed jakimi staje każdy antologista, gdy próbuje dokonać selekcji polskiej poezji współczesnej. Trudności te zwiększają się jeszcze wówczas, gdy – jak w tym wypadku – polegać można na jednym tylko tłumaczu: autorem wszystkich przekładów jest tu Joseph Retz, tłumacz zręczny, choć oczywiście nie zawsze trafiający w indywidualną tonację poszczególnych autorów. To zresztą problem każdego, kto chce tłumaczyć „wszystkich”: niemal zawsze dochodzi wówczas do narzucenia różnym pisarzom jakiejś nadrzędnej poetyki. Nie miejsce tu na analizę poszczególnych tłumaczeń, choć z pewnością byłaby ona interesująca. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że obok Karla Dedeciusa, Henryka Bereski, Piotra Lachmanna (autora wydanej przed dziesięciu laty znakomitej antologii polskiej poezji od Kochanowskiego po współczesność) i Renate Schmidgall, pojawił się jeszcze jeden tłumacz polskiej poezji zdolny sprostać różnym poetykom.

Jak wspominałem, antologia Sterny-Wachowiaka nie ma ambicji rewidowania utrwalonego już w zasadzie w Niemczech obrazu polskiej poezji współczesnej. Może trochę szkoda: przydałoby się nowe spojrzenie, wprowadzenie na rynek niemiecki nieznanych lub zapomnianych, gdyż prezentowanych przed wielu laty autorów. Autor ma ambicje ukazania tej liryki

jako z jednej strony kontynuującej tradycję, z drugiej, jak pisze w posłowie, zmierzającej do „artystycznego przewrotu”. Z tego punktu widzenia prezentacja najmłodszej liryki w tej antologii wydaje się zbyt skromna – zatrzymując się na przedstawicielach „Pokolenia 76”, prezentowanych przez ledwie pięcioro autorów, Sterna-Wachowiak staje dopiero u progu tej przestrzeni, jaka przed polską poezją otworzyła się w latach ostatnich, w okresie, gdy na przykład materia „historyczności”, która, jak chce Miłosz, „niszczy nam substancję”, została w najnowszych poszukiwaniach niemal całkowicie zepchnięta z pola widzenia. Można przypuszczać, że w przygotowywanych obecnie antologiach – o jednej wiem na pewno – młodej polskiej poezji te właśnie tendencje zostaną dopuszczone do głosu.

Leszek SZARUGA

Polnische Lyrik aus hundert Jahren. Herausgegeben von Sergiusz Sterna-Wachowiak. Ins Deutsche übertragen von Joseph Retz, Merlin Verlag, Gifkendorf 1997, s. 234

Iwan Koszeliweć

Od czasu kiedy poznaliśmy się w monachijskiej redakcji społeczno-literackiego miesięcznika *Suczasnist* minęło pół wieku, a dziewięćdziesięcioletni Iwan Koszeliweć jest jak dawniej rzeźki i pełen energii. Kijowscy literaci i krytycy urządzili mu dziękczynne urodziny, chociaż niektórym z nich wyczytał „pater noster” w kijowskiej obecnie *Suczasnisti* za ich oportunistyczny wobec wciąż jeszcze sławionych koryfeuszów „sorealizmu”. Artykuł narobił wiele szumu, ale nikt z wchodzących w rachubę intelektualistów nie odważył się podważyć autorytetu patriarchy ukraińskiej krytyki literackiej. Jest to zresztą typowe dla konformizmu kijowskiego.

Iwan Koszeliweć, który mieszka nadal w Monachium, jest znany ze swej prostolinijności, literackiej wiedzy i dobrego smaku. Pod jego redaktorską ręką *Suczasnist'* nigdy nie drukowała grafomańskich wyczynów lub popularnej łatwizny. Stosował te same kryteria wobec autorów emigracyjnych jak i krajowych. Redaktor nigdy nie uznawał taryfy ulgowej wobec hurra patriotyzmu. Jego następcy mniej skrupulatnie tego przestrzegają.

Ale kierowanie pismem w sposób energiczny a jednocześnie oględny i tolerancyjny było tylko częścią jego zajęć. Drugim polem jego działalności było współuczestniczenie w wydawaniu pod kierunkiem profesora Kubijowycza dziesięciotomowej Encyklopedii Ukrainoznawstwa – obok powstania Ukraińskiego Instytutu przy Uniwersytecie Harvardzkim największego dokonania powojennej emigracji ukraińskiej. Koszeliweć opracował dla tej kopalni wiedzy o Ukrainie kilka tysięcy biografii i haseł na temat rozmaitych epok, dzieł i poszczególnych twórców w literaturze ukraińskiej.

Wreszcie trzecim działem twórczości obecnego Jubilata było pisanie książek. Spod jego pióra wyszło kilka panoramicznych przeglądów współczesnej literatury ukraińskiej, monografie o mistrzu kinematografii Dowżence i o tragicznej postaci ukraińskiego komunizmu narodowego Skrypniku. A teraz na swoje urodziny zaskoczył czytelników nowym dziełem – dokumentalną powieścią historyczną o Joannie d'Arc. Kiedy i jak on temu wszystkiemu podołał – zastanawiają się koledzy i przyjaciele, a on odpowiada z rozbrajającą przekorą: „w wolnych chwilach pomiędzy wędrownkami po Europie z moją żoną, poetką Emmą Andijewską”. Taki on jest, tytan pracy i najskromniejszy człowiek wśród znanych mi pisarzy i krytyków. Zawsze sceptycznie uśmiechnięty, Iwan Koszeliweć, z Niżyna na Czernihowszczyźnie, przyjaciel Polaków i dawny współpracownik *Kultury*.

Mnohaja lita, Przyjacielu.

Bohdan OSADCZUK

Ośrodek studiów w Lipsku

W czerwcu ubiegłego roku otwarto uroczyste nowy Ośrodek Studiów nad Europą Środkowo-Wschodnią w Lipsku noszący długą nazwę *Geisteswissenschaftliches Zentrum für Geschichte und Kultur Ostmitteleuropas* – skrót GWZO. Jest to chyba jedyny instytut badawczy w Niemczech zajmujący się wyłącznie krajami „wyszehradzkimi” i częściowo Rumunią. W radzie naukowej GWZO, której przewodniczy jeden z najlepszych znawców historii Polski prof. Klaus Zernack z Berlina, zasiadają obok uczonych niemieckich (Wolfgang Höpken, Michael Müller-Wille i Heinrich Olschowsky) także uczeni z Polski (Adam Labuda), Czech (Rudolf Šrámek) i RJW Evans z Oxfordu. *Nota bene*, inauguracyjny wykład Zernacka zatytułowany „Alteuropäische Libertät und moderne Nation. Zur historischen Programmatik Ostmitteleuropas” zasługuje w pełni na przetłumaczenie na język polski.

Ośrodek skupia swe prace w ramach pięciu działów: (1) *Germania Slavica* traktowana jako kresy zachodnie Europy Środkowo-Wschodniej – projekt badawczy: Osadnictwo, gospodarka, rządy; (2) Literatura narodowa i przemiany społeczne (*gesellschaftlicher Wandel*) w Europie Środkowo-Wschodniej w XIX i XX w. – projekt badawczy: Emigracja i dysydenci; (3) Metropolie Europy Środkowo-Wschodniej, kultura regionalna, narodowa i europejska – projekt badawczy: Metropolie i centra; (4) System państwowy, naród, demokracja. Historyczne doświadczenia i perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej – dwa projekty badawcze: Rozwój wczesnoparlamentarnego systemu stanowego opartego o konsensus XVI-XVIII w. Porównawcza historia społeczna międzywojennej Polski, Czechosłowacji, Węgier i Rumunii, i wreszcie (5) Historia recepcji sławistyki i badań nad Europą Środkowo-Wschodnią w Niemczech.

Zaproszony na dwutygodniowy pobyt w GWZO, miałem możliwość zapoznania się z ogólnym kierunkiem badań

i nastawieniem pracowników naukowych Ośrodka. Odniosłem jak najlepsze wrażenie zarówno co do ich poziomu jak i woli współpracy ze wschodnimi sąsiadami Niemiec. Mój „przydział” był do drugiego działu w którym dwaj uczeni młodszego pokolenia – dr Frank Hadler (historyk) opracowuje zagadnienie historiografii emigracyjnej (szczególnie polskiej), a dr Hans-Christian Trepte (literaturoznawca) bada problem bilingwizmu (dwujęzyczności) w twórczości polskich pisarzy za granicą. Jakkolwiek GWZO jest placówką zupełnie niezależną, szereg jego pracowników prowadzi równocześnie zajęcia na uniwersytecie lipskim. Prowadząc jedno i uczestnicząc w drugim seminarium, byłem zbudowany zainteresowaniem i poziomem studentów.

GWZO stanowi ważny element w pogłębiającym się dialogu niemiecko-polskim (i środkowo-europejskim) i jako taki zasługuje na baczną uwagę i poparcie ze strony polskiej.

Piotr WANDYCZ

Życie literackie Wilna 1831-1941

16-go grudnia 1997 miała miejsce w Wilnie interesująca konferencja naukowa pt. „Życie literackie Wilna i Wileńszczyzny 1831-1941”.

Ciekawe jest, że na konferencji zaprezentowano takie tematy, jak: „Litewskie życie literackie w międzywojennym Wilnie” (doc. Alma Łapinskiene, w języku litewskim); „Literatura litewska w Wilnie w latach 1919-1939” (Mieczysław Jackiewicz); „O kontaktach polsko-litewskich dwudziestolecia międzywojennego” (prof. Algis Kaleda); „Nieznane stronicze życia i twórczości Rapolasa Mackonysa” (Birute Mackontye, córka litewskiego pisarza, mieszkańca Wilna przedwojennego); „Literatura polska w prasie litewskiej okresu dwudziestolecia międzywojennego” (D. Balašaitiene, referat wy-

głosiła po polsku); „YVO – Żydowski Instytut Naukowy w Wilnie” (E. Alperniene, Żydówka wileńska); „Życie Franciszka Alachnowicza – białaruskaha damaturga”, znanego jako autora w „W szponach GPU” (Henryk Pietkiewicz, Białorusin, referat wygłosił po białorusku); „Obraz Wilna w miejscowej poezji rosyjskiej” (dr Paweł Ławryniec, Rosjanin, referat wygłosił po rosyjsku); „Piśmiennictwo polsko-litewskich Tatarów w latach 1831-1941 oraz jego związku z polską tradycją literacką” (dr Seilm Chazbijewicz, poeta, działacz diaspory tatarskiej w Polsce).

Głównym organizatorem tej konferencji był prof. dr. hab. Tadeusz Bujnicki, pracownik UJ, syn wileńskiego poety Teodora Bujnickiego. Konferencja ta potwierdziła, że istnieje możliwość współpracy różnych narodowości zamieszkujących Wilno i Wileńszczyznę. Konferencja przebiegała w bardzo przyjaznej atmosferze. Uczestniczyło ponad 50 osób, niestety nie było działaczy Związku Polaków na Litwie i w ogóle Polaków.

(M.J.)

POLSKA KATEDRA W UNIWERSYTECIE JEROZOLIMSKIM – KOMUNIKAT Nr 4

W okresie, jaki upłynął od przedstawienia Komunikatu Nr 3 z dnia 16.01.1997 działalność Zarządu koncentrowała się na trzech zagadnieniach.

1. Zebranie kwoty 300 tys. USD stanowiącej połowę sumy niezbędnej do założenia i utrzymania Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie.
2. Stworzenie listy kandydatów na wykładowców przedmiotów objętych programem działalności Katedry.
3. Przygotowanie księgozbioru podręcznego Katedry.

Ad 1. W okresie od 15.01.97 do 31.10.1997 kapitał zebrany przez Fundację wzrósł o 7305 USD i wynosi obecnie 55.262

USD, z czego na koncie złotówkowym w Banku Handlowym S.A. ulokowano równowartość 55.147 USD.

Poniżej podajemy listę osób i instytucji, które dokonały wpłat po 16.01.1997:

- prof. Irena Bellert (Kanada) – 200 zł
- prof. Jan Błoński (Kraków) – 500 zł
- ks. prof. Michał Czajkowski (Warszawa) – 50 zł
- p. Stanisław Grocholski (Belgia) – 100 GBP
- p. Hanna Gumprich (Warszawa) – 50 zł
- prof. Henryk Markiewicz (Kraków) – 150 zł
- p. Iwona Polak (Warszawa) – 40 zł
- pp. Anna i Tadeusz Sobolewscy (Warszawa) – 100 zł
- prof. Jan Wawrzyńczyk (Łódź) – 25 zł
- p. Ben Weider (Kanada) – 250 CAD
- Agora-Gazeta sp. z o.o. (Warszawa) – 5000 zł
- Fundacja Bankowa im. L. Kronenberga (Warszawa) – 10.000 zł
- PKO BP (Warszawa) – 2000 zł
- Uniwersytet Jagielloński (Kraków) – 10.000 zł

W Komunikacie Nr 3 znalazła się błędna informacja, że prof. Łukasz Turski wpłacił 100 zł. W rzeczywistości dokonał on wpłaty 100 USD. Za pomyłkę przepraszamy p. prof. Turskiego.

Ponadto p. Steven Schwarz z Nowego Jorku wpłacił na rzecz Katedry 50 tys. USD bezpośrednio Uniwersytetowi Hebrajskiemu, z zaznaczeniem, że suma ta przeznaczona jest na powiększenie polskiej części potrzebnego funduszu. Darowizna ta opatrzona jest jednak klauzulą w myśl której, o ile Katedra nie powstanie w rozsądnym czasie (*responsible time*), Uniwersytet będzie mógł złożyć całą sumę na finansowanie działalności akademickiej w dziedzinie szeroko pojętej historii i kultury polskiej i wkładu do niej polskich Żydów.

Fundacja otrzymała również list od prof. Jana Madeya, Prorektora Uniwersytetu Warszawskiego. List zawiera informację o przyznaniu Fundacji przez Uniwersytet kwoty 3000 USD.

Wszystkim ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowanie.

Ad. 2. Zgodnie z uchwałą Zarządu z dnia 12.06.1997 skierowaliśmy list z dn. 2.07.97 do dziekanów wydziałów humanistycznych wyższych uczelni oraz dyrektorów instytutów naukowych prowadzących badania w dziedzinie szeroko pojętej

humanistyki. List zawierał prośbę o zainteresowanie pracowników naukowych możliwością prowadzenia zajęć w nowo powstającej Katedrze. Otrzymaliśmy dotychczas 6 zgłoszeń od samodzielnych pracowników naukowych, zainteresowanych wyjazdem do Izraela na okres dwóch trymestrów w latach od 1998 do 2003. Istnienie grupy wysokokwalifikowanych kandydatów, którzy gotowi są podjąć pracę w Katedrze, pozwoli uniknąć gorączkowych poszukiwań wykładowców z chwilą jej otwarcia.

Ad. 3. Książki dla księgozbioru Katedry otrzymaliśmy dotychczas od Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych (37 poz.), od Wydawnictwa Naukowego PWN (21 poz.) oraz od Biblioteki Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego (43 poz.). Część książek została już przesłana do Ambasady R.P. w Tel-Awivie, pozostałe czekają na transport. Książki te zostaną przekazane Katedrze z chwilą rozpoczęcia jej działalności.

Informujemy także, że starania o zebranie brakującej sumy ok. 200 tys. USD są i będą kontynuowane. Niestety nie udało się dotąd uzyskać dotacji z rezerwy budżetowej Rady Ministrów. Decyzja w tej sprawie została zawieszona w związku z koniecznością skierowania wszystkich rezerw na złagodzenie skutków lipcowej powodzi. Od oficjalnego poparcia władz państwowych uzależniają swoją wpłatę różni sponsorzy.

Zwracamy się do wszystkich zainteresowanych utworzeniem Katedry Historii i Kultury Polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie o dokonywanie wpłat na konto:

Fundacja „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim”
Bank Handlowy S.A., IV Oddział w Warszawie
Nr konta złotówkowego: 10301058-00867401
Nr konta dewizowego (dolary USA): 10301058-00867402
Nr konta dewizowego (franki francuskie): 10301058-00867403

Przewodniczący Rady Fundacji

Prof. Andrzej WYCZAŃSKI

Prezes Zarządu Fundacji

Prof. Jan DOWGIAŁŁO

Warszawa, dn. 14.11.1997

UNIwersytet letni kultury polskiej – Rzym 1998

Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują **od 15 czerwca do 4 lipca 1998 r.** w Domu Polskim Jana Pawła II, Via Cassia w Rzymie

Uniwersytet letni kultury polskiej.

Temat: WKŁAD POLSKIEJ KULTURY W KULTURĘ ŚWIATOWĄ

Program: Dawna i najnowsza historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościoł na emigracji, wkład polskiej emigracji w kulturę światową.

Wykłady w języku polskim i angielskim.

Studenci mogą uzyskać 5 punktów (*credits*).

Przewidywana jest audyencja u Ojca Świętego, zwiedzanie Rzymu i Muzeów Watykańskich oraz wycieczki do Asyżu, Orvieto, Monte Cassino i Pompei.

Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 950 dolarów USA (studenci 800 dolarów); przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dolarów USA lub równowartość w innej walucie, którą potrąca się od kosztów uczestnictwa. Pozostałą kwotę uczestnicy wpłacają po przyjeździe do Rzymu.

Zgłoszenia należy kierować **do dnia 15 maja 1998** wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres:

POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Via di Porta Angelica 63

00193 Roma

ITALIA

tel./fax 39/686-18-44

Osoby, które chcą przyjechać wcześniej lub pozostać dłużej, mogą zatrzymać się w Domu Polskim Jana Pawła II, rezerwując pokój na trzy miesiące przed przyjazdem.

Ci, co odeszli

Kazimierz Wodzicki

W czerwcu upłynęła dziesiąta rocznica śmierci Kazimierza Wodzickiego, jednego z najwybitniejszych zoologów naszego stulecia, a zarazem aktywnego przedstawiciela polskiej emigracji politycznej. Odejście tego przyrodnika niejako symbolicznie zamyka pewną epokę w historii polskiej nauki. Kazimierz Wodzicki był jednym z ostatnich aktywnych zawodowo polskich biologów, którzy zdobyli wykształcenie i przepracowali pierwsze lata swojej zawodowej kariery w naukowych instytucjach Polski międzywojennego dwudziestolecia. Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim rozpoczął pracę w kierowanym przez Henryka Hoyera Zakładzie Anatomii Porównawczej. Związany był także z Uniwersytetem Poznańskim, gdzie wykładał i prowadził badania naukowe oraz ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego, w której pełnił funkcję profesora anatomii i histologii zwierząt.

Kazimierz Wodzicki był zapewne także ostatnim polskim naukowcem bezpośrednio związanym z ziemiańską, kresową kulturą przyrodniczą Rzeczypospolitej. Wywodził się z rodziny szczególnie zasłużonej dla badań polskiej przyrody. Jego dziadek, Kazimierz Wodzicki był jednym z najwybitniejszych zoologów dziewiętnastego wieku. Pionier ochrony przyrody, twórca bogatych zbiorów zoologicznych (przekazanych później instytucjom społecznym), autor kilkudziesięciu prac z dziedziny ornitologii m.in. znakomitych „Zapisków ornitologicznych” i interesującego opracowania przyrody tatrzańskiej „Wycieczka ornitologiczna w Tatrach”, był także mecenasem badań przyrodniczych. Dzięki ufundowanemu przez niego

stypendium wykształcił się m.in. Andrzej Wierzejski, znany badacz fauny słodkowodnej Polski. Kuzyn Kazimierza, Stanisław Wodzicki założył *arboretum* i ogrody w Niedźwiedziu, gdzie prowadził prace nad aklimatyzacją roślin użytecznych. Był także twórcą pierwszego polskiego czasopisma ogrodniczego i autorem wielu poradników rolniczych. Również ze strony matki, z domu Dzieduszyckiej, Kazimierz Wodzicki związany był z kilkoma pokoleniami zasłużonych przyrodników, twórców muzeum we Lwowie i najważniejszych sponsorów i organizatorów polskich badań naukowych w zaborze austriackim. Biografowie Kazimierza Wodzickiego podkreślają nie tylko przyrodnicze tradycje rodziny ale także jej zaangażowanie w działalność patriotyczną i obywatelską. Wśród przodków tego przyrodnika znajdują się bowiem senatorzy Rzeczypospolitej, uczestnicy wszystkich ważniejszych powstań i wojen, a także twórcy bibliotek i szkół, pionierzy pracy organicznej.

Po wybuchu wojny znaczna część rodziny Kazimierza Wodzickiego została deportowana na Syberię gdzie zmarł jego ojciec, a on sam został zatrzymany przez OGPU. Zwolniony zdołał przedostać się na Zachód by we Francji oddać się do dyspozycji polskich władz emigracyjnych. W 1940 roku w uznaniu jego prac przyrodniczych zostaje wyróżniony tytułem honorowego przewodniczącego Francuskiego Towarzystwa Zoologicznego. Początkowo zajmuje się problemami szkolnictwa polskiego na wygnaniu. Po upadku Francji wydostaje się do Anglii, gdzie oprócz działalności patriotycznej kontynuuje badania naukowe współpracując z British Museum. Polskie władze w Londynie powierzają mu funkcję konsula w Nowej Zelandii, gdzie zajmuje się m.in. organizowaniem opieki nad polskimi uchodźcami i dziećmi przybywającymi do tego kraju. Dzięki jego niesłychanej wprost aktywności, sprawa polska jest dobrze znana i popularna w Nowej Zelandii, a rząd tego kraju przyznaje wizy polskim uchodźcom i podejmuje się przyjęcia i opieki nad polskimi sierotami. W Nowozelandzkim Czerwonym Krzyżu sprawami polskimi aktywnie zajmuje się także żona Kazimierza Wodzickiego pani Maria Dunin-Borkowska.

Po zakończeniu wojny konsulatusz przestaje funkcjonować ale premier Nowej Zelandii Peter Fraser podejmuje starania

o pozostanie Kazimierza Wodzickiego w tym kraju i zwraca się do *Department of Scientific and Industrial Research* z prośbą o umożliwienie mu kontynuowania pracy naukowej. Polski przyrodnik organizuje Wydział Badań Ekologii Zwierzęcej. Nie sposób nie docenić roli jaką odegrała ta organizacja w badaniach nad ekologią zwierząt. Kazimierz Wodzicki stał się pionierem tego typu badań w Nowej Zelandii i Australii. Jego prace nad fauną tego kontynentu, zwierzętami introdukowanymi, ekologią wysp południowego Pacyfiku, należą dzisiaj do „klasyki” nowoczesnego przyrodoznawstwa. Polski przyrodnik był także jednym z nielicznych już dzisiaj przyrodników-podróżników. Niektóre z jego odkryć stały się zresztą prawdziwą sensacją także dla szerokiej publiczności. Tak było np. w przypadku odkrycia na wyspie Kawau Island gatunku kangura (*Parma Wallaby*), wyęzionego na kontynencie australijskim i powszechnie uznawanego za wymarły (gatunek ten był sprowadzony i aklimatyzowany na wyspie w dziewiętnastym wieku, gdzie przeżyła nieznaną do prac Wodzickiego nieliczną populację).

Gdy tylko było to możliwe Kazimierz Wodzicki starał się utrzymywać kontakty z Polską. W pierwszych powojennych numerach *Ochrony Przyrody*, gdy jeszcze było to możliwe, ukazują się jego notatki na temat nowozelandzkich ptaków. Później, w okresach „odwilży”, zdołał nawet kilkakrotnie przyjechać do kraju. Polskie Towarzystwo Zoologiczne, podobnie jak i kilka innych organizacji przyrodniczych zdołało zachować częściową niezależność od władz i mogło nawet przyznać Kazimierzowi Wodzickiemu tytuł zagranicznego członka korespondenta. Lata osiemdziesiąte nie były w Polsce okresem, w którym możliwa byłaby uczciwa ocena dorobku i zasług polskich emigrantów. Nic dziwnego, że odejście nawet tak wybitnego naukowca i społecznika praktycznie pominięte zostało milczeniem. Jedynie *Przegląd Zoologiczny* zamieścił krótkie wspomnienie pióra profesora Henryka Szarskiego. Pomijany milczeniem w Polsce, został doceniony przez nowozelandzką i międzynarodową społeczność naukową. Jego prace są cytowane w licznych opracowaniach i podręcznikach praktycznie na całym świecie. Liczne tytuły towarzystw naukowych i doktoraty *honoris causa* uhonorowały bardzo twórcze i pracowite życie Kazimierza

Wodzickiego. Jego sylwetkę i kilkadziesiąt najważniejszych publikacji przypomnieli Charles Fleming i Peter Bull w „Proceedings of the Royal Society of New Zeland”. Pani Saint-Girons, znany francuski zoolog, współpracująca z Wodzickim przez kilkadziesiąt lat, przygotowywała artykuł poświęcony pamięci polskiego przyrodnika. Kilkakrotnie wspominała mi o projekcie publikacji poświęconej Kazimierzowi Wodzickiemu zawsze podkreślając doniosłość jego prac dla nowoczesnego przyrodoznawstwa, pionierski charakter jego badań ekologicznych jak i bliskie związki jakie łączyły go także z Francją. Ciężka choroba i śmierć nie pozwoliła jej niestety na ukończenie tego projektu.

Piotr DASZKIEWICZ

Maria Adela Żeleńska

23 listopada 1997 roku zmarła w Paryżu Maria Adela z Bohomolców Żeleńska. Urodziła się 21 lipca 1897 roku na Inflantach Polskich. Była prawniczką Karola Sienkiewicza, współzałożyciela Biblioteki Polskiej w Paryżu, tłumacza między innymi „Warszawianki”.

Już jako młoda panna Maria Adela służyła sprawie polskiej: na początku w Finlandii – gdzie jej rodzina schroniła się w czasie rewolucji rosyjskiej – a następnie we Francji i w Londynie – w Komitecie Polskim, później w pierwszym poselstwie polskim w Londynie.

Po przybyciu do Polski wcześniej zajęła się tłumaczeniami literatury polskiej na język francuski, który – obok angielskiego – znała od dzieciństwa.

Po wybuchu wojny w 1939 roku wydostała się spod okupacji niemieckiej do Francji. Odtąd pracowała w powstałym Ministerstwie Informacji, ewakuowanym następnie do Londynu.

Po wojnie została przyjęta do OCDE jako tłumaczka z angielskiego na francuski. Zastąpiła się jako tłumaczka na język francuski książek swoich przyjaciół Józefa i Marii Czapskich, a także jako czynna społecznie w Paryżu w wielu instytucjach i stowarzyszeniach emigracyjnych w ciągu kilkadziesiątu lat.

Maria Adela Żeleńska została w 1993 roku odznaczona Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta.

Leżeć wśród wrzosów...

Andrzej Gawroński od dłuższego czasu nie czuł się najlepiej, ale spotkać go można było na wszystkich ważniejszych imprezach polonijnych. Trzymał się też jak przystało na jubilata podczas swoich osiemdziesiątych urodzin zorganizowanych w Rosstown Hotel w Melbourn. Były przemówienia, toasty, życzenia stu lat... Nie dożył. Zmarł na raka 23 listopada 1997 roku.

Urodził się 13 lipca 1916 roku w Zakopanem. Rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, które przerwała wojna. W 1938 roku debiutował jako satyryk w „Muszce” redagowanej przez Buchnera.

Po klęsce kampanii wrześniowej wykładał w tajnej podchorążówce Związku Walki Zbrojnej w Warszawie. Za dostarczanie fałszywych dokumentów Żydom został osadzony w więzieniu na Daniłowiczowskiej, z którego zastawiając rodzinne srebra wykupili go rodzice. W kilka miesięcy później znalazł się w oddziale „Ponurego”.

W listopadzie 1944 roku został ranny w walce pod Chotowem. W nodze wywiązało się zapalenie szpiku kostnego. W szpitalu w Końskich przeleżał pół roku. Dzień kapitulacji zastał go w Krakowie, gdzie odszukał niedobitki swojego oddziału. Karierę wojskową zakończył jako dowódca kompanii,

po wojnie odznaczony Krzyżem Walecznych.

Po powrocie do Warszawy podjął pracę w firmie importowo-eksportowej „Maciej Czarnecki i S-ka”. Po piętach deptała mu jednak bezpieka. Wraz z Ryszardem Zatorskim, pracownikiem tej samej firmy, zdecydowali się na ucieczkę z kraju. Licząc na uspijoną czujność służb granicznych wypłynęli 22 lipca 1950 roku łodzią z Sarbinowa w kierunku Bornholmu. Niestety zniósło ich na wschód i gdyby nie niemiecki kuter „Inge” z Travemünde, który ich wyratował, zaginęliby.

W kwietniu 1951 roku przybył do Australii. Początki w nowym kraju nie były dla Andrzeja Gawrońskiego łatwe. Pracował w stalowni w Nowej Południowej Walii, w fabryce przetworów mlecznych i przędzalni wełny w Melbourne.

W 1954 roku dołączył do pierwszego na antypodach polskiego kabaretu literacko-satyrycznego „Wesoła Kookaburra” założonego przez Andrzeja Chciuka i Barbarę Schenkel. Jego przygoda z kabaretem trwała dziesięć lat. W 1958 roku napisał komedię w trzech aktach „Grzech i spółka”. W rok później podjął pracę w szkolnictwie jako kontraktowy nauczyciel języka angielskiego w wiktoriańskich szkołach średnich. W 1961 roku ukończył kurs pedagogiczny w Mercer House Teachers College. W następnych latach studiował wieczorowo na Uniwersytecie w Melbourn uzyskując tytuły Bachelor of Arts (1968) i Bachelor of Education (1974), a następnie Master of Education (1978) na Uniwersytecie Monasha.

W 1961 roku nakładem Polpressu ukazał się jego zbiór satyr i skeczy „Z kangurem pod rękę”. W 1964 roku po raz pierwszy od ucieczki na Bornholm odwiedził Polskę. Później jeździł do kraju kilkakrotnie. W 1979 roku wziął udział w II Zjeździe Uczonych Polskiego Pochodzenia zorganizowanym w Krakowie.

W 1975 roku Andrzej Gawroński przeprowadził z ramienia Victorian Universities and Schools Examination Board pierwszą polską maturę w Wiktorii. Język polski wciągnięto na listę przedmiotów maturalnych w dużej mierze właśnie dzięki jego staraniom. Przez czterdzieści lat udzielał się w Polskim Kole Kulturalno-Artystycznym, które w 1978 roku zaprezentowało jego „Grzech i spółkę”. Działalność w polskiej sekcji Radia 3ZZ.

Po przejściu na wcześniejszą emeryturę wykładał literaturę polską na Uniwersytecie Monasha. W 1985 roku napisał sztukę w trzech częściach pt. „Ziemia obiecana”, która w 1986 roku została przedstawiona w Warszawie.

Uprawiał różne gatunki literackie. Pisał wiersze, satyry, skecze, felietony, sztuki teatralne. Zajmował się tłumaczeniami z angielskiego i na angielski. Jego utwory i artykuły ukazywały się w prasie polonijnej i krajowej. Uważał siebie jednak przede wszystkim za satyryka, który przez jakiś czas myślał, że zostanie naukowcem.

Jego ostatnim życzeniem było, aby w pośmiertnym wspomnieniu przytoczyć kilka linijek z wiersza „Wierzby nad rzeką Yarra”. Nawiązał w nim do Józefowa pod Warszawą. W Józefowie znajduje się grób rodzinny Rawita-Gawrońskich. Oto wybrany przez Andrzeja fragment:

*(...) Chciałbym tak kiedyś gdy po latach,
po snach nadziei, łzach zawodów,
gdy bluszcz oplecie się na kratach
drewnianej willi wśród ogrodów,
gdy sosny szumem rozkołyszają
groby, na śmierć pijane ciszą;
gdy zmęczy mnie gwar ludzkich głosów
– umrzeć. I leżeć tam, wśród wrzosów.*

Bogumiła ŻONGOŁŁOWICZ

Kazimierz Jasiński

8 sierpnia 1997 roku zmarł w Toruniu w wieku 78 lat znakomity historyk średniowiecza, najwybitniejszy badacz genealogii Piastów, twórca i nestor toruńskiej szkoły genealogii – profesor Kazimierz Jasiński.

Przez wiele lat był kierownikiem Zakładu Nauk Pomocniczych Historii w Instytucie Historii UMK. Z UMK był związany do roku 1991, kiedy przeszedł na emeryturę.

Najważniejszą opublikowaną pracą Profesora jest trzutomowy „Rodowód Piastów śląskich” (1973-1977), któremu poświęcił kilkanaście lat badań i drobiazgowych studiów wypełniając lukę w pomnikowej XIX-wiecznej „Genealogii Piastów” Oswalda Balzera. Studia nad Piastami śląskimi doprowadziły Jasińskiego do przekonania o konieczności opracowania nowej, poszerzonej i uzupełnionej o informacje w źródłach głównie niemieckich, genealogii dynastii piastowskiej. Rezultatem tych studiów jest tom obejmujący „Rodowód pierwszych Piastów” (1993), poświęcony najstarszym przedstawicielom dynastii oraz liczne, opracowane dla Polskiego Słownika Biograficznego hasła „piastowskie”. W druku i w papierach pośmiertnych znajdują się tomy kolejne „Rodowodu”, obejmujące Piastów wielkopolskich, małopolskich, mazowieckich i kujawskich. Długoletnie studia nad genealogią Piastów, uhonorowane zostały w roku 1980 medalem Oswalda Balzera, ufundowanym przez Marię i Zygmunta Wojciechowskich, a nadanym przez Oddział PAN w Poznaniu oraz członkostwem honorowym Polskiego Towarzystwa Heraldycznego (1991) i doktoratem *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego (1997)

Wiedział prawie wszystko o rodzie Piastów i tylko jeden problem wydawał mu się nie do rozwiązania: losy prawdopodobnych dzieci Zbigniewa, brata Bolesława Krzywoustego, na których ślad natrafił w źródłach niemieckich. Zbadanie tego źródła odkładał na później...

Anna SUPRUNIUK

Myśli o Polsce

Czego Polacy potrzebują?*

Ostatni próg, spowalniający szybkość samochodów na osiedlowej uliczce, jest położony przed zjazdem na wielkomiejską arterię. Pisząc to zdanie muszę bardziej niż zazwyczaj ważyć słowa. Nie odpowiadają one bowiem tutaj rzeczom samym. Wielkomiejska arteria, choć dwupasmowa i zatłoczona obecnie pojazdami jak każda wylotowa szosa w Europie (jako szlak na Wilno, Rygę, Tallin i Petersburg bywa nazywana dumnie *Via Baltica*), obudowana jest szpetnymi i odrapanymi czynszówkami (w których nie płaci się czynszu), a jej nawierzchnia jest zjawiskiem lokalnym. W osiedlu mieszka kilka tysięcy ludzi, wszystkie jednak jego, założone niegdyś, funkcje społeczne, kulturalne i komunikacyjne, uległy rozkładowi i pozostaje ono siedliskiem, a nie osiedlem. Bloki nie są domami i nikt ich tak nie nazywa, są konglomeratami szuflad mieszkalnych i w szufladach tych nie chronią się mieszkańcy, lecz lokatorzy. Uliczka nie jest naprawdę uliczką, lecz „ciągiem pieszojezdnym” – osobliwy ten wynalazek, choć rozpowszechniony zaledwie przed ćwierćwieczem, pochodzi zapewne z epoki poprzedzającej trakcję konną. Odrzuca on bowiem, obowiązujący w miastach od stuleci, rozdział ruchu pieszego i kołowego. Na wąskim, pozbawionym chodników i pokaleczonym pasku asfaltu kotłuje się wszystko ze wszystkim: psy i koty, dzieci i starcy, rolnarze i cykliści, samochody osobowe i dostawcze, taksówki i karetki, ciężarówki asenizacyjne i strażackie. To, że nie doszło nigdy

* Wstęp do książki pt. „Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku”, która ukaże się wkrótce nakładem S.W. „Czytelnik”.

do poważnego wypadku, zawdzięczamy zapewne opiece Boskiej. To, że ostatnio położono owe progi spowalniające, zawdzięczamy postępowi cywilizacyjnemu. Progi te są jedyną rzeczą odpowiadającą słowu.

Ale najwyraźniej nie odpowiadają one mieszkańcom. Ostatni zwłaszcza próg, ten przed zjazdem na wielkowiejską arterię, przeszkadza wszystkim lub prawie wszystkim siadającym tutaj za kierownicę. Zaraz bowiem, korzystając z możliwości (z lewej strony był obrzeżony trawnikiem), zaczęto go omijać, ryjąc coraz głębsze koleiny. Póki trzymał mróz, trzymał i grunt, ale kiedy mróz puścił, puścił grunt, a trawnik zamienił się w błotne grzęzawisko. Można powiedzieć, że to nie jest nic nadzwyczajnego, bo grunt mamy z natury podmokły, o czym nawet świadczą nazwy ulic (Mokra, Błotna), pochodzące z czasów zamierzchłych. Błoto stanowi tutaj główny składnik pejzażu i rzuca się w oczy, gdziekolwiek sięgnąć wzrokiem. Chlupie w dziurach asfaltu, tryska spod płyt parkingu, rozlewa się po trawnikach i miesi na placach zabaw. Kiedy w szary, przedwiosenny poranek stoję w oknie i widzę, jak wciąż zdobywa teren, zaczynam podejrzewać, że to nie jest zwykłe błoto naturalne, lecz niezwykła substancja metafizyczna. Ja wiem, że Polska na ogół pięknie się kojarzy – jak nie Wawel i Jasna Góra, to chociaż wierzy i bociany. Mnie natomiast kojarzy się z błotem, a jego nieodparta moc stała się moją obsesją. Nie mogę pocieszać się tym, że obsesję taką cierpieli również Stefan Żeromski i Maria Dąbrowska¹. Bo mam tego dość.

Porzućmy domniemanie o opiece Boskiej i siłach natury, bo są one upodobaniem innych i zapytajmy o czynnik ludzki, „współczynnik humanistyczny” tej błotnej rzeczywistości – dlaczego oni omijają ten próg i ryją koleiny, dlaczego przy każdej sposobności rozjeżdżają trawniki a place zabaw zamieniają w błotne trzęsawisko? Przecież te koleiny ryją pod swoimi oknami, trawniki niszczą wokół siebie, a place zabaw rozwalają swoim dzieciom? Cóż za szczególne, chciałoby się

1. O obsesjach Żeromskiego i Dąbrowskiej bliżej w odpowiednich częściach tej książki. Ale nawet Singer miał podobne namiętności i „błotnista sztetl” jest jego idiomem. Zob. *Ichok Baszewis Singer, Felietony, eseje, wywiady*. Przeł. z jidisz Tomasz Kuberczyk. Wstępem opatrzył Chone Shmeruk. Saggitarius, Warszawa 1993, miejsca różne.

zapytać, bytuje tutaj plemię, którego obyczaje prowadzą do samozniszczenia, bo prowadzi do niego nieuchronnie, prędzej czy później niszczenie otoczenia? Jest ulubionym zwyczajem tubylców również wyrzucanie szkielec i puszek przez okna, oraz wystawianie zużytych sprzętów przed drzwi wejściowe. Ponieważ czynią to przeważnie z soboty na niedzielę, więc idą rano dzień święty święcić nie przez pobożewisko, lecz przez śmietnisko. Nie słyszałem, aby tak rozpowszechnionym, a jednocześnie przyziemnym obyczajem zajmowali się ich przewodnicy duchowi, albo przywódcy polityczni. Ci pierwsi są pełni wiary w opiekę Boską nad plemieniem wybranym, ci drudzy pewni siły postępu, tak mocnej jak prawa natury. Nic nie mówię przy tym, proszę zauważyć, ani o religii, ani o gospodarce. Mówię o formach mentalnych, które wnikają i w religię i w gospodarkę, tworząc rdzeń postaw społecznych. Mówię o tym, co nazwane „współczynnikiem humanistycznym” jest dostępne naszemu poznaniu lepiej niż Opatrzność i Natura; mówię o tym, co będąc czynnikiem ludzkim tkwi we mnie samym. Żywym śladem tego czynnika i tego współczynnika są zryte koleiny, błotne trzęsawisko i niedzielne śmietnisko. Nie odpowiadają za nie ani Opatrzność, ani Natura, nawet jeśli chcieliby tak wierzyć przewodnicy duchowi i przywódcy polityczni. Odpowiadamy za nie my i trzeba się tego trzymać.

Dawniej nie było to tak oczywiste i nieodpowiedzialność była nagminna. Tak zwany system – sowietyzm, stalinizm czy realsocjalizm – który ostatecznie, mam nadzieję, odszedł w przeszłość, pośród licznych swoich wad miał i tę, że nieodpowiedzialność sankcjonował. Ponieważ szczytowe szczeble długiej drabiny władzy przesłaniała mgła, w tej mgle ginęła też odpowiedzialność. Przyziemnie wyrażało się to w tym, że choć teoretycznie ktoś odpowiadał za projekt, wykonanie i funkcjonowanie naszego osiedla (gdzieś w archiwach do dzisiaj przechowuje się imiennie podpisane dokumenty), praktycznie nie odpowiadał za to nikt i nikt też odpowiedzialności tej nie egzekwował. Każda próba takiej egzekucji, a w swoim czasie podejmowałem je wielokrotnie, czyniąc sobie z tego obywatelskie upodobanie, naruszała coś więcej niż narzucony system władzy, naruszała również przyjęty własnowolnie konsensus społeczny. Ludzie to właściwie polubili, bo było im

z tym lżej, jak zawsze z nieodpowiedzialnością, i raczej byli skłonni do zbiorowego buntu w podniosłej chwili niż do osobistej, powszedniej egzekucji praw. Juliusz Mieroszewski napisał kiedyś zwięźle: „Sowietyzm sprowadza się do prostej propozycji: folklor za wyrzeczenie się myśli państwowej”. Miał na myśli wczesną, stalinowską fazę systemu, wtedy tępiono obyczaj, a kultywowano folklor. Dla czasów późnego realsocjalizmu, w których powstało nasze osiedle, i na nasz lokalny użytek, sentencję tę trzeba przetworzyć: prywatność za brak odpowiedzialności społecznej. Wiele już wtedy wolno, a w sferze prywatnej prawie wszystko – śluby i chrzty są coraz bardziej jawne i coraz bardziej wystawne, a partyjni funkcjonariusze rejestrują swoje dobra notarialnie. Egzekwowanie praw obywatelskich jest jednak nadal źle widziane, zarówno jeśli idzie o wolność druku, jak i kontrolę administracji. Cichy konsens wydaje się zadawała większość: wolność Tomku w swoim domku, a poza nim można rozjeżdżać trawniki, bo nikt za to nie odpowiada. Taktowny bardzo intelektualista wyznawał mi wtedy z dumą, że jeździ na gapę, bo w ten sposób omija system. Wszystko było państwowe, więc niczyje, i nikt za to nie płacił.

Ale teraz przecież jest inaczej – nie tylko my za to płacimy, również to widać. Płaciliśmy zresztą zawsze, tylko abstrakcja centralistycznego państwa to zasłaniała. Dziś ta kurtyna znikła i kiedy zarząd spółdzielni mieszkaniowej zawiadamia mnie o kolejnej podwyżce świadczeń, dobrze wiem, kto płaci i za co. Wszyscy też wiedzą, albo wiedzieć mogą, że teren, uliczki, trawniki, place zabaw, a nawet drzewa i krzewy ze świadczeń tych są utrzymywane i nie dotuje ich żadne ginące w chmurach państwo. Mimo całego spadku po byłym systemie, zapisanego w sposobie zaprojektowania, zagospodarowania i zarządzania naszym osiedlem, więź pomiędzy jego stanem a stanem kiesy mieszkańców jest dziś całkiem wyraźna. Ten, kto ryje dziury w trawniku, powinien wiedzieć, że ryje je we własnej kieszeni, kto rozjeżdża parkingi, że rozjeżdża własne konto, a kto rujnuje plac zabaw, że rujnuje własny budżet. I, jak wolno sądzić, teoretycznie to wszystko teraz wiadomo, tylko praktycznie się tego nie przyjmuje. Pomiędzy wiedzą teoretyczną, która pozostaje abstrakcją jak dawniej państwo, a zachowaniem praktycznym, konkretnym

i niezmiennym – nie ma przejścia. Brakuje łącznika, przekładni, rotoru – czego świadectwem tłuste, błotne grzęzawisko.

Nie mówię bynajmniej o peryferiach miasta, ani o ludziach marginesu. Mówię o średniej krajowej, a więc poniekąd o całym kraju, co potwierdza zarówno standard naszego osiedla, przekrój społeczny jego mieszkańców, jak ich preferencje polityczne, w kolejnych wyborach zbliżone właśnie do średniej krajowej. Jak Polska długa i szeroka, wszędzie stoją takie osiedla, a mieszkają w nich ludzie, którzy dawny system przyjmowali jak zrządzenie losu i starali się do niego dostosować. Podobnie przyjęli demokrację polityczną i wolność ekonomiczną – ani o nie nie walczyli, ani się im nie opierali. Nie popadli jednak w apatię i nie ulegli degradacji – przeciwnie, wyraźnie się ożywili i stopniowo ciągną w górę, co widać zwłaszcza po klasie samochodów. Są zresztą wyczuleni na symboliczne przybory cywilizacji, bo na swobodny dostęp do nich się naprawdę naczekali i za spełnienie swoich pragnień są gotowi do ofiar. Żywiłowy pęd do video, telewizji satelitarnej, komputerów i zachodnich samochodów był najbardziej powszechnym głosowaniem tych obywateli. I to oni właśnie nie dostrzegają więzi pomiędzy stanem otoczenia i stanem własnych interesów? I to oni nie umieją wyliczyć spadku wartości mieszkania z powodu degradacji otoczenia? I to oni nie czują, jak rozjeżdżają codziennie własny portfel?

Czegoś im zatem brakuje, co nie jest kategorią polityczną ani ekonomiczną. Brakuje im łącznika, przekładni, rotoru wolność polityczną sprzęgającego z pomyślnością ekonomiczną i wprawiającego je obie w ruch przyspieszony, właściwy nowoczesnej cywilizacji. Jest to, co prawda, ruch jednostajny, pozbawiony gorączki „tygrysy” skoków, jakimi się nas czaruje, wolny jednak od azjatyckich zapaści, jakich nie chce się pamiętać. To temu ruchowi cywilizacja zachodnia zawdzięcza swój stały rozwój, i to jego rotor należy teraz wskazać. Rotorem tym są postawy kulturowe, one to poprzez właściwe sobie formy mentalne wnikają w politykę i ekonomikę, sprzęgają je wzajemnie ze sobą i dynamizują ich ruch. Max Weber w swoim wielkim dziele „Etyka protestancka i duch kapitalizmu” dowiódł historycz-

nego znaczenia takich postaw. Kapitalizm bowiem, jego zdaniem, nie byłby możliwy, bez gruntownej przemiany dokonanej w ludzkich orientacjach przez protestancką reformę religijną. Reforma ta powołała do życia nowy typ osobowości – osiagającej niebo przez ziemskie zdobycze, ekspansję utożsamiającą z ewangelią, ascetycznej przy tym i racjonalnej, utylitarnej i metodycznej w swym zawodowym i wyznaniowym pietyzmie. To samo mam na myśli, kiedy mówię o postawach kulturowych – ucieleśnione w ludziach idee, utrwalone formy mentalne, historyczne typy osobowości². Nie tylko wielkie kreacje historyczne, jak kapitalizm, ale i osobiste zapisy, jak dziennik intymny, są ekspresją takich historycznych typów, utrwalonych form mentalnych, ucieleśnionych idei. I to taki typ, mentalność, ideę widzę w tych, co ryją tutaj koleiny, rozjeżdżają trawniki, rozrzucają śmietniki.

Sprzeczność pomiędzy początkiem poprzedniego akapitu, a jego końcem jest pozorna i zaraz ją usunę. Nie jest bowiem tak, że krajanie nie noszą w sobie żadnych idei, nie mają swoich form mentalności, nie reprezentują żadnej osobowości historycznej. Byłoby to sprzeczne z istotą człowieczeństwa, więc niemożliwe ani teoretycznie, ani praktycznie. Oni to wszystko mają w sobie, tylko ich wyposażenie duchowe jest przestarzałe i anachroniczne. Czasowo i przestrzennie pochodzi ono skądinąd, pozostając w jawnej sprzeczności z wymogami czasu i miejsca. Dlatego nie może stanowić rotoru demokracji politycznej i wolności ekonomicznej, przeciwnie – jest ich hamulcem. Hamuje demokrację i wolność bowiem zerwanie więzi pomiędzy pomyślnością osobistą a odpowiedzialnością społeczną, brak przełożenia interesu własnego na dobro zbiorowe. Nie, nie oczekuję od moich sąsiadów sponsorowania koncertów symfonicznych ani zaangażowania w przebudowę państwa. Koncerty niech sponsorują finansiści, a państwo niech przebudowują politycy. Mój problem polega na tym, żeby koncerty nie były głuche, a państwo puste.

2. Po raz pierwszy kategorii postawy do historycznych interpretacji kulturalnych użyłem w swojej książce „Etos lewicy” (PIW, Warszawa 1990) i tutaj kontynuuję to postępowanie. Juliusz Mieroszewski używał terminu „postawa kulturalna” w podobnym znaczeniu, co wskazuję w poświęconym mu rozdziale.

Koncerty będą głuche, jeśli nie będą tutaj wysłuchane, państwo będzie puste, jeśli nie zostanie przez nas wypełnione. Pozbawione jedynej ludzkiej substancji, jaka naprawdę je ożywia, a mianowicie tworzonej przez takie łączniki, przekładnie i rotory, tkanki społecznej, państwo pozostanie skorupą obcą i narzuconą. Jego sztuką nie będzie muzyka symfoniczna, lecz muzyka wojskowa. Jeżeli czegoś miałem w życiu nadto, to właśnie muzyki wojskowej, bo szmat tego życia przypadł mi na ukryty lub ujawniony stan wojenny. Dlatego widząc, jak ryją trawniki, czuję, że rwą tkankę społeczną i jestem pełen obaw.

Rzeczowy socjolog powie, że przypadek ten jest banalny, w historii nowoczesnej powtarzał się wielokrotnie, kategorie jego opisu są znane i nie ma powodów do dramatu. Oto klasyczny przykład przejścia z kultury wiejskiej, tradycyjnej, patriarchalnej i lokalnej, do kultury miejskiej, progresywnej, liberalnej i globalnej. Raptowność tego przejścia powoduje zderzenie wzorów zachowań – wzory wyniesione z miejsca pochodzenia nie pasują do wymogów miejsca zamieszkania, a przyswojenie wzorów nowych nie przekracza, w najlepszym razie ich prostej użyteczności. Jak w handlu naręcznym lub stolikowym, który jest tutaj modelowym zachowaniem ekonomicznym: z ręki do ręki, jak najszybciej, ile się da. Z tego zderzenia wzorów ich załamanie i bezład wewnętrzny powodujący zachowania chaotyczne i nierządne, anarchiczne i niszczycielskie. Obserwacje zewnętrzne potwierdzą słuszność tego schematu wyjaśniającego – większość mieszkańców tego osiedla to są wychodźcy ze wsi mazowieckich i jeżdżą oni tam przy każdej sprzyjającej okazji. Kiedy w niedzielny wieczór rozładowują swoje samochody, nie muszą mówić, skąd wrócili – mówią za nich worki, kosze i kobiałki. Wędrując latem po Kurpiach i Podlasiu widzę w każdej prawie zagrodzie samochód ze stołeczną rejestracją, ale to nie jest najazd turystów, tylko krewniaków. Jeśli nie tych samych, co na mojej uliczce, to takich samych.

Nie sądzę zresztą, żeby była to sytuacja lokalna, bo podobne sceny widziałem na wielu nowych osiedlach w Polsce, a nie braknie ich też w innych krajach tej części Europy. Podstawą nowoczesnego procesu cywilizacyjnego jest przejście od kultury wiejskiej i rolnej do miejskiej i przemysłowej. W

przodujących krajach Zachodu (Anglia, Holandia, Francja) było ono zarazem wczesne i długotrwałe, co oznacza, że zasadniczo zostało ukończony w XIX wieku, a rozłożenie w czasie tego przejścia zmniejszyło koszty adaptacji. Nawet Niemcy uważa się za opóźnione, ponieważ owa mutacja cywilizacyjna rozpoczyna się tam dopiero w połowie XIX wieku, a jej szczytowy etap przypada na przełom wieków, koszty adaptacyjne płaci się dłużej, przede wszystkim masową „ucieczką od wolności” w okresie faszyzmu³. W Polsce, a zwłaszcza w zaborze rosyjskim proces ten jest jeszcze bardziej opóźniony – rozpoczyna się pod koniec zeszłego wieku, trwa przez cały wiek XX, jego faza wzrostowa przypada na ostatnie półwiecze, a decydująca jest dopiero przed nami⁴. Zupełnie zresztą podobnie w całym obszarze powojennej dominacji rosyjskiej, choć rzecz jasna, Czechy różnią się w tym względzie od Słowacji, Węgry od Ukrainy, a Polska od Białorusi. Różnice te trzeba widzieć, bo tłumaczą one nierównomierny przebieg przekształceń ustrojowych we wszystkich tych krajach, ale trzeba też mieć w pamięci ich wspólne zapóźnienie. Wystarczy zresztą uprzytomnić sobie identyczną prawie, od Łaby po Ural (jeśli nie Władywostok), urbanistykę i architekturę blokowych osiedli, aby ożywić pamięć tej wspólnoty. Przywołuję ją nie po to, by ją kultywować, lecz by rozumieć proces.

Feudalizm tutaj nałożył się na feudalizm – i to jest moja

3. Doskonałe analizy tych procesów zostały opracowane przez Norberta Eliasa (w:) „Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu”, przeł. Tadeusz Zabłudowski, PIW, Warszawa 1980, zwłaszcza I. Socjogeneza pojęć „cywilizacja” i „kultura”, s. 5–60. W ostatnim, monumentalnym dziele tego autora analizy te stają się plastycznym opisem specyfiki cywilizacyjnej Niemiec w zestawieniu z innymi krajami Zachodu. Zob. tegoż autora „Rozważania o Niemczech. Zmaganie o władzę a habitus narodowy i jego przemiany w XIX i XX wieku”. Tłumaczyli Roman Dziergwa, Jerzy Kałużny, Izabela Sellmer, Wyd. Poznańskie, Poznań 1996. Zbieżne z analizami Eliasa są celne uwagi Krzysztofa Pomiana o przebiegu procesów modernizacyjnych w różnych krajach Europy w książce „Europa i jej narody”, przełożyła Małgorzata Szpakowska, Warszawa 1992, (miejsca różne począwszy od rozdz. XIV, Wojna, absolutyzm, modernizacja, rewolucja).

4. Nie musi to już teraz oznaczać masowych wędrówek ze wsi do miasta, lecz urbanizację wsi i uprzemysłowienie rolnictwa. Przyznamy skromnie, że i miasta nasze muszą się też wreszcie zurbanizować.

teza historyczna. Kwestia nie tylko w tym, że ów proces cywilizacyjny został opóźniony, kwestia w tym, że ma on przebieg szczególny. Szczególność tego przebiegu polega na tym, że feudalizm w swoich skrajnych formach (pańszczyzna, propinacja, dominacja zależności osobistej nad obligacją prawną) trwa tu najdłużej w Europie i wyłacza mocny wzór mentalny⁵. Ponieważ w okowach feudalnej zależności społeczno-ekonomicznej znajdowała się przytłaczająca większość społeczeństwa ten wzór mentalny był też najbardziej rozpowszechniony. Stanowił on duchowe czy też ideowe przetworzenie tej zależności i jest ona ciągle w nim czytelna. Pańszczyźnie gospodarczej odpowiada bowiem nie tylko poczucie wszechstronnej podległości wobec pana, ale także redukcja wszelkich interesów do najściślejszych osobistych, dokładnie takich, jakie dają się ocalić w cęgach propinacyjnego niewolnictwa. Wszystko, co ponad tak rozumiany interes wykracza, jest nawykowo uznawane za „pańskie”, więc cudze i narzucone, co należy przynajmniej omijać, jeśli nie oszukać. Wielowiekowa dominacja zależności osobistej nad obligacją prawną oznacza z kolei odruchowe uznawanie tej zależności za jedynie realną, a obligacji prawnej za abstrakcyjną, więc właściwie fikcyjną. Nie ma tu prawie nikogo, kto wycięcie drzewa z lasu uważałby za niedopuszczalne, chyba że jest zaprzyjaźniony z leśniczym. Zdarzyło mi się słyszeć księdza gromiącego parafian za wyrzucanie śmieci. W jego własnym lasku, ale nie państwowym. No to dlaczego zwykli parafianin

5. „Otóż zachodziła ewidentna niezgodność między liberalizmem jako teorią i praktyką społeczeństwa obywatelskiego, kształtującego się na Zachodzie w warunkach kapitalizmu, i rzeczywistością zacofanych społeczeństw wschodnioeuropejskich z ich na wpół feudalną strukturą społeczno-gospodarczą, nieliczną i stosunkowo słabą klasą średnią oraz przewagą niepiśmiennej ludności chłopskiej, która w czasach B. Constanta czy J. St. Milla odrabiała jeszcze w wielu krajach pańszczyźnę i pozostawała w znacznym stopniu w granicach gospodarki naturalnej.” Jerzy Szacki, „Liberalizm po komunizmie”, Znak, Kraków 1994, s.63. Pisząc to autor, w dalszym ciągu swego wywodu, zastrzegę się przed uproszczeniami. Jest to jednak trafne określenie naszej specyfiki cywilizacyjnej, nie wymagające żadnych zastrzeżeń. Ostatnie formy pańszczyźny na ziemiach polskich (dokładnie – na Spiszu) zniesiono specjalną ustawą sejmową w roku 1931 (sic!). Zob. K. G. Żelazne, „Regiony” 1982, nr 1-3, s. 5-62. Roch Sulima wskazał mi ten przejmujący dokument.

ma nie zaśmiecać lasów „pańskich”, więc cudzych? I wyglądają one teraz jak wysypiska, ale to nie boli ani przewodników duchowych, ani przywódców politycznych. Oni są stąd.

Na ten odwieczny, starodawny feudalizm „pański” nałożył się świeży, współczesny feudalizm państwowy i przyłgnął do niego jak stal do magnesu. Tym nowoczesnym feudalizmem państwowym był sowietyzm czy też stalinizm. W perspektywie historyczno-kulturowej był on wewnętrznie spreczny i sprzeczność ta w końcu go zadławiła. Z jednej bowiem strony wszczywał gigantyczną industrializację i urbanizację, przenosząc masy ludzi ze wsi do miast, włączał je więc w cywilizacyjny proces. Z drugiej jednak strony, proces ten miał formy archaiczne a praca prosta była jego właściwym wyrazem (jak w portretach obnażonych, zbrojnych w młoty „proletariuszy”). Towarzysząca mu struktura polityczna była równie gigantycznym przetworzeniem struktury feudalnej. Z monstrualną omnipotencją partyjnego państwa, na którego łaskę w złym i dobrym zdani byli wszyscy. Z nieskończoną drabiną zależności, które ogólnie będąc anonimowe, konkretnie pozostawały zawsze osobiste. Z redukcją wszelkiej prywatności do „społeczeństwa”, a więc do realnego i mentalnego wyobcowania tego „społeczeństwa”. Tak oto fizycznie wyrwany ze swych lokalnych korzeni wyrobnik był na skalę nieomal globalną konserwowany. W różnych krajach regionu konserwa ta była dodatkowo uszczelniana – w Rosji przez sakralizację państwa, którą bolszewicy rozbijając cerkiew, wzmocnili; na Białorusi przez brak prawie innych niż chłopstwo grup społecznych, w Albanii przez splecenie zależności plemiennych ze strukturami władzy. W Polsce niebagatelnym czynnikiem był spadek zaborów, a więc tradycja uznawania państwa i prawa za obce i narzucone. Okupacyjna mentalność „gospodarki wyłącznej” też miała swoje znaczenie. Tylko w Czechach, jak się zdaje, system ten nie miał, poza przemocą, żadnych wzmocnień własnych i kiedy przemocy nie stało, spłynął aksamitną fałdą. Ale Czesi byli już przedtem cywilizowanym społeczeństwem obywatelskim.

Czuć się we wszystkim zdanym na państwo, a zarazem państwa tego właściwie nie uznawać; prawo uważać za

abstrakcję i respektować je o tyle tylko, o ile splata się to z interesem własnym; za realne mieć jedynie to, co jest związkiem osobistym, a wszystko, co społeczne, mieć za fikcję. Oto typ historyczny, który stanowi podwójny, albo i poczwórny spadek naszych dziejów, kulturowe podłoże naszej współczesności. Podwójny, bo nagromadziły go Rzeczpospolita szlachecka i zabory, poczwórny, bo okupacje i stalinizm wniosły swój wkład. Szacowanie tych skarbów i wyliczenie tych wkładów pozostawmy historykom – dla nas ważny jest zasadniczy obrys tego typu. Stanowi on bowiem negatyw tej postawy, jaka przyczyniła się do rozwoju cywilizacji zachodniej. Czuć się obywatelem państwa, więc zarazem jego współtwórcą i prawodawcą, prawa samorzutnie respektować i nadzorować ich przestrzegania, społeczeństwo uważać za realność i być wpisanym w nie całą siecią więzi formalnych i nieformalnych – oto kontur tego pozytywu. Utożsamienie dążeń osobistych z potrzebami publicznymi jest w nim założone, celem tych dążeń jest harmonia społeczna i dobro powszechne, a bezinteresowne spełnianie obowiązku stanowi wartość oczywistą⁶. Angielski *gentelman*, francuski *citoyen*, niemiecki *Burger* były zarazem idealizacjami i realizacjami tego typu. Na ideały składało się całe nieomal, literackie, historyczne, filozoficzne i społeczne piśmiennictwo; realizacji służyły całościowe, wielocłonowe – rodzinne, oświatowe, zawodowe, kulturalne, naukowe i wojskowe – systemy socjalizacyjne. To właśnie naprawdę stworzyło Buddenbrooków, uwiodło Conrada, i było opiewane przez Saint-Exupéry'ego.

W Polsce nigdy niczego takiego nie było, bo w pewnym sensie być nie mogło. Szlachecka Rzeczpospolita upadła wtedy, kiedy w Europie krystalizowały się te ideały i systemy. Jej schyłkowe dziedzictwo było krzyczącym anachronizmem i nadawało się do panoptikum. Dzieło Komisji Edukacji Narodowej nie zostało naprawdę zrealizowane, a zaczęły Szkoły Rycerskiej czy legionów Dąbrowskiego ledwie zaczęły fermentować. Fascynowały one jeszcze takich dwudziesto-

6. Zob. np. uwagi Modrisa Eksteinsa (w.): „Święto wiosny. Wielka wojna i narodziny nowego wieku”. Przeł. Krystyna Rabińska, PIW. Warszawa 1996. Rozrzucone w różnych rozdziałach części pierwszej np. „Kultur” (s. 90-92); „Wiktorianańska synteza” (s. 149-152); „Obowiązek” (s. 201-217).

wiecznych pisarzy, jak Stefan Żeromski czy Wacław Berent, kreujących w swoich utworach wizję nurtu ideowego, nie tylko niepodległościowego, ale także demokratycznego, społecznego, cywilizującego. Nurt ten jednak pozostał tylko zastępczym i spóźnionym dziełem literackim, nie wrósł w życie i nie stworzył ówczesnej rzeczywistości kulturowej. Kontury tej rzeczywistości wykreślała alternacja dwóch przeciwstawnych, naznaczonych przez niewolę postaw. Jak dobrze wiadomo, romantyzm i realizm nie były u nas tylko prądami literackimi czy ideami filozoficznymi, były także postawami kulturowymi, we wskazanym powyżej, choć społecznie ograniczonym sensie. Eksplodowały lub owocowały arcydziełami literatury ojczystej, które jak „Dziady”, „Kordian”, „Lalka” i „Nad Niemnem” są niepowtarzalne. Choć w perspektywie literatury powszechnej lokalne, dla świadomości narodowej były one niezastępowalne. Sprzeczność tych dwóch skal wartościujących była tak uciążliwa, że przez cały wiek XX borykali się z nią najwybitniejsi pisarze. Dramatycznym jej unaocznieniem było spotkanie Żeromskiego z Conradem.

Przez ponad stulecie nie było polskiego państwa ani polskiego wojska, także polskie życie religijne, oświatowe i zawodowe było ograniczane, jedynym działającym systemem socjalizacyjnym była rodzina i to ona duchowe idealizacje sprowadzała do poziomu życia codziennego. „Narodowość schroniła się do rodziny, gdy rodzina stała się narodowością” – jak to celnie ujął, już w początkach zaborczej dominacji Maurycy Mochnacki. Ale to schronienie było ciasne, poddane zewsząd obcej przemocy, co sprzyjało uznaniu wszelkiej inności za wrogość. Wielcy romantycy w swoim emigracyjnym wygnaniu wznosili się na szczyty uniesień duchowych, czuli się emanacją narodu, a w uniesieniach swoich naród ten ocalali. Ale na szczytach tych byli bardzo bliscy przyziemnej ciasnocie narodowych, rodzinnych schronień. Otaczająca ich Europa, tętniąca w tamtym wieku rozpedzonymi motorami cywilizacyjnego postępu, była im obca⁷. Motory te w najlepszym razie nie przybliżyły narodowej restauracji, musiały

7. Nieprzedawnione interpretacje ograniczeń romantyzmu polskiego w „Legendzie Młodej Polski” Stanisława Brzozowskiego (zwłaszcza

więc być uznane za wrogie. W izolującym się od obcych zaborców schronieniu rodzinnym socjalizacja dokonywała się poprzez izolującą się od obcej cywilizacji mesjanistyczną poezję romantyczną. Przeszarżała i bezwładna struktura społeczna z odwieczną dominacją szlachty, represyjne, absolutystyczne reżymy polityczne, nierzadkie sploty prześladowań narodowych z religijnymi, opóźniona, jeśli nie nędzna (jak w zaborze rosyjskim) oświata powszechna – wszystko to razem złożyło się na wytworzenie szczególnego typu historycznego. Świadomość narodowa została tu właściwie cofnięta do plemiennej, kulturowa utożsamiona z wyznaniową, szlachecki, kresowy dworek stawał się redutą niezłomnych, wystawionych przez Opatrzność na męczeńskie ofiary, które niezadługo zostaną nagrodzone rezurekcją. Historycy idei, mentalności czy postaw nazwali ten typ „Polakiem-katolikiem”, jego literackiej idealizacji dokonał Henryk Sienkiewicz, a beatyfikowała go Maria Rodziewiczówna⁸. Był to typ twardy i odporny – być może jego zasługą jest zachowanie świadomości narodowej w okresie niewoli. Ale był to typ amputowany.

Amputowano mu dokładnie to, co było rdzeniem typu przeciwnego – mianowicie problematykę cywilizacyjną⁹. Polscy realisci, dla których była to problematyka macierzysta, pojawili się znacznie wcześniej niż się zwykle uważa i już klasyków z Królestwa Polskiego (czyli „kongresowego”), można uznać za ich dojrzałe wcielenie. W każdym razie arcytypem tego realizmu był książę Ksawery Drucki-Lubecki, industrialista tego Królestwa. Wierzył jak inni progresiści w uniwersal-

rozdział VII. Polskie Oberammergau, wydania różne, krytycznego nadal brak). Nieprzedawnione także dlatego, że zanikł całkiem krytycyzm wobec romantycznego dziedzictwa.

8. Najlepszy portret „Polaka-katolika” jako typu kulturowego w „Rodowodach niepokornych” Bohdana Cywińskiego, Znak, Kraków 1971, s. 265–305.

9. Trwała obecność tej problematyki w kulturze polskiej wieku XIX odślonił Jerzy Jedlicki (w:) „Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku”. PWN, Warszawa 1988. Pisałem szerzej o tym w szkicu „Czego Polacy potrzebują”, *Regiony* 1990, nr 3, ss. 85–101. Zamierzałem najpierw szkic ten zamieścić tutaj jako wstęp. Powtarzając tytuł (z dodatkiem pytajnika) rozmyślnie podkreślam ciągłość refleksji.

ność postępu cywilizacyjnego, chciał w jego linię ciągnąć wpisać swój kraj i był gotów płacić koszt. W Polsce jednak cena tego wpisu była podwójna i dlatego zazwyczaj nieopłacalna. Już od czasów sławnego wystąpienia Jana Jakuba Rousseau wiadomo było, że postęp nie jest procesem idyllicznym, lecz dramatycznym, a jego koszt trzeba starannie szacować. Zachodni progresiści, oświeceniowi, pozytywiści czy marksistyczni mogli się z kosztami tymi liczyć lub nie, ale musieli ich być świadomi. Kwestia zła moralnego w dziejach nie schodzi już bowiem z porządku myśli nowoczesnej. Ale w Polsce do ambiwalencji globalnej dołączała się również ambiwalencja lokalna. Jak książę Drucki-Lubecki musiał być lojalny wobec caratu, tak lojalni wobec zaborców musieli być wszyscy kolejni realiści. Oznaczało to nie tylko rezygnację z dysponowania takim podstawowym narzędziem nowoczesnej cywilizacji jakim jest państwo, oznaczało też przeważnie amputowanie kwestii narodowej. Nawet „Lalka” czy „Nad Niemnem” napisane są tak, jakby w miejscu akcji nie było Rosjan. Stąd też realistów uznawano czasem za zaprzęźców, ale nie na tym polegał ich największy dramat. Jak można było uruchomić albo chociaż wykorzystać instrumenty postępu, podporządkowując się reżymom, które były rezerwatami zacofania? Dylemat ten nie miał dobrego rozwiązania, ponieważ najczęściej olbrzymim społecznym kosztem produkowano mutanty. Ich kolejną wersją są „wielkie budowle socjalizmu”. I towarzyszące im osiedla.

Obie te postawy były paraleliczne nie tylko w swoim przeciwieństwie, także w swoim podobieństwie. Ich przeciwieństwo było przeciwieństwem symetrycznej amputacji – co w jednej z postaw było ucięte, w drugiej przerośnięte. Była to pierwsza z przesłanek ich wzajemnej, narastającej z biegiem czasu i z bagażem klęsk, wrogości. Ani polscy idealisci ani polscy realiści nie przyczyniali się do upowszechnienia wzorców rokowania i przekonywania właściwych społeczeństwom cywilizowanym, a sztuka kompromisu nie była tutaj sztuką cenioną. Idee ich ponadto nie wyrastały z wnętrza zbiorowego życia, nie miały swoich masowych, społecznych podmiotów, których interesy wyrażały i które dawałyby im sprawczą moc.

W krajach zachodnich takimi podmiotami były najpierw

„stan trzeci”, a potem czwarty. Historia idei liberalnej czy socjalistycznej jest w tych krajach nieodłącznie związana z historią emancypacji tych klas. W Polsce historia idei zeszlowiecznych rozgrywa się przede wszystkim w sferze ducha, a ich nosicielami są izolowane elity. Romantycy śnią się ciągle jakiś skok w rzeczywistość, realistów najczęściej reprezentują publicyści i literaci. Historia owej osobliwej grupy społecznej, jaką jest „inteligencja w pojęciu polskim”, starcza właściwie za historię zeszlowiecznej kultury polskiej. I choć reprezentowane przez nią postawy wrastały jakoś w tkankę społeczną, to pozostawały skażone odgórnym, kościelnym lub postępowym, paternalizmem. Tutaj zazwyczaj elity pragnęły urządzić masy, wedle miar sobie właściwych. Wstrząsnęła mną wiadomość, że w Danii, zanim wyznaczy się alejki w nowym osiedlu, najpierw patrzy się jakiś czas, którędy ludzie chodzą. Dlatego między innymi wszystko tam wygląda tak, jak wygląda. Nasze uliczki rysowali dla własnej satysfakcji artyści projektanci. Dlatego także są rozjechane i rozdeptane.

Wszystko to zaczęło się zmieniać pod koniec zeszłego wieku i dlatego tam rodzi się polska nowoczesność. Nawarstwiają się przemiany gospodarcze, społeczne, polityczne i kulturalne – wyłania się z nich stopniowo kraj poddany wreszcie przyspieszeniu cywilizacyjnemu. Przemysł i handel odgrywają w nim coraz większą rolę; gwałtownie rosnące miasta stają się jego „ziemią obiecaną”; emancypuje się nie tylko mieszczaństwo, ale także klasy pracujące, chłopcy i robotnicy, co znajduje swój wyraz w pełnym repertuarze partii politycznych; demokratyzują, mimo zaborczych utrudnień, oświata i kultura. Przemianom tym towarzyszą narodziny nowego typu świadomości, a wyostrzone dotąd przeciwieństwo dwóch panujących, zeszlowiecznych postaw zaczyna ulegać zniesieniu. Nie oznacza to odrzucenia dzieła romantyzmu, ani pozytywizmu, przeciwnie – ich historyczne zasługi rozumie się właściwie i wtedy też powstają ich klasyczne interpretacje. Oznacza natomiast niezgodę zarówno na zastany kształt idei narodowej, jak cywilizacyjnej, oraz ich utrwaloną alternację. Wraz ze zmianami w strukturze społecznej idea narodowa nie może być już identyfikowana z postawą duchową wybranych elit. Inteligencja przełomu

wieków przekształca ją w postawę praktyczną realizowaną w coraz szerszej i coraz gęstszej sieci społecznych zadań. Idea cywilizacyjna natomiast zostaje pojęta humanistycznie, a nie technologicznie – nie jest ona już tylko urbanizacyjną czy industrialną, jest również socjalna i kulturowa. Proces cywilizacyjny jest bowiem procesem całościowym – wraz ze zmianą typów osiedlenia i wytwarzania zmienia też typy więzi społecznych i osobowości ludzkich. Dobrze wtedy rozumiano, że praca humanisty w społeczeństwie poddanym przekształceniom jest pracą nad ideami, formami mentalnymi, wzorami kulturowymi. Najwybitniejsi myśliciele tamtego czasu byli wychowawcami, a do legendy przeszli jako konstelacja „mędrców”. Nigdy też nie byliśmy tak blisko jak wtedy stworzenia i wcielenia nowoczesnego polskiego Bildung.

Pytanie, dlaczego się ono nie dokonało, jest pytaniem trudnym. Jest pytaniem tak trudnym, jak polska historia wieku XX. Wraz z odzyskaniem niepodległości impuls modernizacyjny zdawał się podlegać wzmocnieniu i dawało to o sobie znać na wielu polach – dlatego miało to być „Przedwiośnie”. Jednym z największych sukcesów Drugiej Rzeczypospolitej na przykład było stworzenie jednolitego, nowoczesnego i demokratycznego systemu oświatowego. System ten powstał z inspiracji „mędrców”, a był tworzony przez ich uczniów. Ale stałe zagrożenie niepodległego państwa przez sąsiednie, rosnące w siłę mocarstwa, sprzyjało renowacji narodowych stereotypów i to one w końcu okazały się dominujące: świadectwem nie tylko „Ferdydurke”. Wszystko prawie uzasadniało ich rozpowszechnienie w latach okupacji i już dawno zwracano uwagę na romantyczny repertuar okupacyjnych pseudonimów. Ale były też przedsięwzięcia oryginalne, nawiązujące do dzieła „mędrców”, jak „Płomień”. Polska Ludowa chciała być identyfikowana z triumfem cywilizacyjnego postępu i postęp ten miała wypisany na wszystkich sztandarach. Nawet tak świątli jej przeciwnicy, jak twórcy *Kultury* przyznawali, że przeorano wtedy gruntownie strukturę społeczną i rozbudowano aspiracje kulturalne. Ale osiągnięcia te były płacone od początku zeszlówiecznym, więc anachronicznym rachunkiem. Oznaczały bowiem częściowo analogiczną amputację kwestii narodowej – zaborca musiał

być nieustannie uznawany za dobroczyńcę¹⁰. Oznaczały też częściową amputację kwestii cywilizacyjnej – za nowoczesne bowiem uznawano ciągle to, co właściwie przestarzałe. Obie te amputacje w mentalności potocznej powodowały skutki odwrotne od zamierzonych. Konserwowały bowiem Polakokatolika w jego twardym oporze, a nowoczesność rzeczywistą poddawały rosnącej mityzacji. Stąd dominacja w ostatnich dziesięcioleciach dwóch anachronicznych form mentalnych – sentymentalnego mesjanizmu i naiwnego technokratyzmu. Ich splot okazał swą siłą odporną na skalę globalną, bo wpłynął na bieg historii powszechnej. Ale doprowadził też do zamknięcia umysłu polskiego.

Historia ta jednak należy zasadniczo do innego porządku badawczego, niż ten którym się zajmuję. Najkrócej mówiąc, nie pociąga mnie upamiętnianie porażek – poszukuję składników sukcesu. Przekrój duchowych dokonań polskiego wieku XX, jaki przedstawiam w tej książce, jest selektywny, ale został sporządzony ze względu na przyszłość. Interesują mnie przemiany w postawach ludzkich, wyrażające się zarówno w wysublimowanych dziełach literackich, jak i zbiorowych kreacjach kulturalnych, w wyrafinowanych utworach filozoficznych, jak i w uspołecznionych postawach potocznych. Zajmuję się oświatowym dziełem „Warszawiaków” i wielkopolsko-pomorską siecią stowarzyszeń społecznych, czytam znowu opowieść o „szklanych domach” i dwukrotnie Dzienniki Marii Dąbrowskiej, studiuję ten wielostronny sukces, jakim z perspektywy półwiecza okazało się dzieło *Kultury*, badam wizję kultury „na dzień historii” stworzoną w *Płomieniach*, interpretuję filozoficzne dzieła Jana Strzeleckiego i Leszka Kołakowskiego. Zakładam zawsze stosunek do nich krytyczny, a nie wyznawczy, ale już samo to wyliczenie pokazuje, że nie interesują mnie przemiany jakiegokolwiek i gdziekolwiek. Nie piszę ogólnego traktatu o ciągłości i zmianach w historii, ponieważ historia jest ciągłością zmian, inaczej nie byłaby historią. W Polsce ciągłość tych zmian jest wątpliwa, zbyt często też podlegała

10. W 1976 roku okrągłą rocznicę powstania Uniwersytetu Warszawskiego uczczono hasłem bezmyślnie jadowym: „160 lat naukowej współpracy polsko-rosyjskiej”. Taki to transparent wisiał na Pałacu Kazimierzowskim, siedzibie rektoratu uczelni.

regresom – w rzeczywistości i w świadomości. Jeśli jednym ze składników sukcesu byłoby wzmocnienie tej ciągłości, to chciałbym się do niej przyczynić.

Jako historyk mogę działać tylko pośrednio i wcale nie uważam tego za słabość. Praca nad wizją kultury musi odbywać się z dala od politycznej krzątaniny, jeśli chce sięgnąć podstaw. Cywilizacja polega, między innymi, na nieustannym rozroście oddziaływań pośrednich – poprzez idee, naukę, sztukę – i na tym, że są coraz wyżej cenione. Społeczeństwa, które ich nie rozwijają i nie cenią, padają prędzej czy później ofiarami akcji bezpośredniej. Wolę powszechny, rozwinięty i wieloczłonowy system twórczego kształcenia od tłumnych manifestacji na ulicach, a defilady omijam. Nie widzę przy tym niczego nagannego w pragnieniu oddziaływania na swoich współczesnych. Każdy, kto bierze pióro do ręki, oddziaływania takiego pragnie, nawet jeśli tego nie przyznaje. Nie widzę też niczego wstydliwego we wpisywaniu się w tradycję intelektualną. Mam poczucie długu wobec swoich poprzedników i staram się ten dług spłacać. Pracuję nad wizją kultury wydobywając, odczytując i dopowiadając te idee, które ciągłość zmian zarazem wysławiały i pobudzały. Jeśli użyć dawnych określeń, można powiedzieć, że w najnowszej historii nie interesują mnie postawy konserwatywne i rewolucyjne. Chociaż jedne i drugie są u nas silnie zaświadczone i zazwyczaj warunkowały się wzajemnie. Interesują mnie postawy reformatorskie – i jak dawniej Żeromski czy Berent – chcę nakreślić ich nurt. Ale nurt ten nie jest ani polityczny, ani ekonomiczny i nie należy go tak redukować. Jest kulturowy, albo cywilizacyjny – bo kulturą w całościowym, antropologicznym rozumieniu jest dziś humanistycznie pojęta cywilizacja.

Od nas zależy, czy będzie to cywilizacja humanistyczna, ściślej – zależy to od uruchomienia tego łącznika, przekładni, rotoru, jakiego dziś nam najbardziej brakuje. Rotorem takim są, jak już powiedziałem, należyte czy prawowite postawy kulturowe. To one wpisują się w religię i w gospodarkę, w to, co socjalne i to, co kulturalne, sprzęgają ze sobą podstawowe sfery życia zbiorowego i nadają im ruch nie tylko zgodny, ale i przyspieszony. Nie da się współcześnie postaw takich oprzeć ani na sentymentalnym mesjanizmie, ani też

naiwnym technokratyzmie. To już nawet nie są anachronizmy, to są przeżytki i to przeżytki niewoli – są to zewnętrznie przeciwstawne, lecz istotnie analogiczne formy mentalne. Tak czy owak są bowiem bezwładne, historię pojmując jak los i zdając się na siły zewnętrzne, już to Opatrzności, już to Postępu. Zależki, a nawet składniki nowoczesnej postawy kulturowej, wykraczającej poza residua tamtego dziedzictwa i zdolnej sprostać historycznym wyzwaniom zostały u nas wypracowane. Mieliśmy w Polsce duchowy wiek XX i nie był on tylko kalką zeszlowiecznych dokonań. Orzeczenie to nie ma nic wspólnego z „pomniejszaniem olbrzymów”. Najbardziej bowiem skutecznym ich pomniejszaniem jest nachalne wieszanie się na ich barkach, a tego mieliśmy dość. Trzeba oprzeć się na samych sobie, a to znaczy wyjść z cienia olbrzymów i zmierzyć się z zadaniami, jakich nie znali, bo znać nie mogli. Żeromski na progu niepodległości, Dąbrowska wobec przekształceń społecznych, „Płomieniowcy” podczas okupacji, Giedroyc, Mieroszewski, Gombrowicz i Miłosz w stosunku do kultury polskiej i powszechnej, Strzelecki wobec humanizmu a Kołakowski wobec marksizmu mieli do czynienia z zadaniami, jakich nie znał wiek ubiegły. Badam te zadania oraz to, jak się z nimi mierzyli – ale szacuję też ich wkład w konstrukcję nowej polskiej postawy kulturowej. Różnorodne ideowe składniki takiej postawy mogą być tworzone w poezji i prozie, publicystyce i esejstyce, w pamiętnikach i traktatach, i to ich szkicowaniem się tutaj zajmuję. Ale ona sama nie może być tylko literacką kreacją lub filozoficzną abstrakcją – musi wejść w życie, w powszednie obyczaje ludzi, w ich przeświadczenia i zachowania. Dlatego stoję na mojej uliczce i piszę z jej poziomu.

Andrzej MENCWEL

Książki

Palimpsest

1.

„Kiedy Alicja trafiła do Krainy Czarów, to żał się jej zrobiło biednej pamięci, która działa tylko wstecz, pamięta wyłącznie przeszłość. Historia czasem pomaga wspomnieć przyszłość”.

M. Heller

„Pierre Menard, bohater Jorge Luisa Borgesa, uważał, że historyczna prawda, to nie to, co się wydarzyło, lecz to, co my uważamy za wydarzenie” – pisze Michaił Heller w trzecim tomie „Historii Rosyjskiego Imperium”*. I dodaje: „Owa myśl, podważająca pretensje wielu badaczy historii na odkrycie absolutnej prawdy o przeszłości, znalazła swoje potwierdzenie po upadku sowieckiego imperium w 1991 r.”

Nieprzypadkowo – sądzą – nazwisko Borgesa pojawiło się w *opus magnum* Hellera. Między argentyńskim prozaikiem i rosyjskim historykiem jest wiele wspólnego, zarówno w podejściu do historii, jak i w technice pisarskiej. Bowiem w trakcie lektury „Historii” Hellera się okazuje, że źródła pisane tak się mają do rzeczywistości, jak komentarze Borgesa do nie istniejących dzieł w „Fikcjach”.

* Latem br. w moskiewskim wydawnictwie MIK wyszła trzutomowa „Istorija Rossijskoj Imperii” Michaiła Hellera, obejmująca dzieje Rosji od początku do 1917 roku. Wcześniej, w tymże wydawnictwie, wyszła czterotomowa „Istorija Rossii” Michaiła Jakowlewicza: t. 1 i 2 – „Utopija u władzi (1917-1985)”, t. 3 – „Sied’moj sekretar’ (1985-1990)” i t. 4 – „Rossija na rapsut’je (1990-1995)”, Państwowy Komitet Rosyjskiej Federacji rekomendował całość jako podręcznik dla studentów wyższych uczelni.

Ilona Kiš, węgierska tłumaczka Hellera, także zwraca uwagę na powinowactwa „Historii Rosyjskiego Imperium” z fabularną prozą: „Michaił Jakowlewicz patrzy na swój przedmiot i z boku, i ze środka – jednocześnie. Jego „Historia” jest niezwykła właśnie dzięki owemu polifonicznemu spojrzeniu na wydarzenia. Z jednej strony wieloplanowa, jak najnowocześniejsza proza, a z drugiej strony żywa, pełna wyrazistych, pełnokrwistych obrazów, niczym klasyczna powieść XIX wieku...”.

2.

„Co to takiego historia – mniej więcej jasno: to przeszłość, utrwalona w zapisach o niej”.

M. Heller

Historia Rosyjskiego Imperium bierze swój początek z ruskich latopisów – rodzaju kronik, przetykanych tekstami dokumentów, bylin i opowieści zgoła fantastycznych. „Pisanie latopisów było na Rusi ulubionym zajęciem dawnych skrybów – uczył Wasilij Kluczewskij – zajęciem i Bogu przyjemnym, i duszy pożytecznym. Czasem zapisywali dla siebie, ku pamięci, ważniejsze wydarzenia w kraju, zazwyczaj na marginesie rękopisu, nieraz też, zwłaszcza w monastyrach, wiedli roczne kroniki, ku ogólnemu użytkowi”. Młodzi skrybowie przejmowali trud od starszych, z pokolenia na pokolenie, dzięki czemu kronikarskie relacje zachowywały ciągłość, lecz zarazem nawarstwiały się w nich – jak w palimpseście – warianty zdarzeń, błędy kolejnych autorów, mody epoki. Każdy klasztor miał swój latopis, gdzie obok zdarzeń krajowego znaczenia, notowano miejscowe ciekawostki – czasem cuda, czasem ploty. Potem latopisy zestawiano w tzw. *swody*, czyli zbiory, potem w *swody swodow*. Przy częstym przepisywaniu rosła ilość błędów, zwłaszcza, iż jedni skrybowie rok zaczynali od marca, inni od września. Niekiedy błąd literowy, lub niewłaściwe odczytanie rękopisu bywały przyczyną zabawnych nieporozumień, które wchodziły do historii jako dziejowe fakty. Na przykład w „IV Nowgorodskiej letopisi” źle odczytano imię żony kniazia Jurija Daniłowicza i zrobiono z niej... poślą tatarskiego. Zwyczaj latopisania przetrwał na Rusi do końca XVI wieku.

Różnica między latopisarzem a historiografem polega na tym – wedle Kluczewskiego – że pierwszy obserwuje życie społeczne, notując bieżącą chwilę, zaś drugi je bada, odtwarzając przeszłość. Zadanie latopisarza – utrwalić w pamięci ludzi upływającą minutę, cel historyka – zrekonstruować w ludzkiej świadomości sens minionego. Formą przejściową między latopisami a historiografią były zapiski – *genre*, łączący obserwację życia społecznego z refleksją historyczną, przy czym autor nie tylko uczestniczył w zdarzeniach, jawnie lub skrycie, ale także je roztrząsał. O ile latopisy były pisane anonimowo, przez „kolektywnego skrybę”, o tyle w zapiskach osobowość ich autora, jego temperament, styl i ciągoty polityczne, tudzież religijne, wychodziły na pierwszy plan. Znamienne, że zapiski pojawiły się w okresie Smuty XVII wieku, kiedy burzliwe zajścia w Rosji domagały się komentarza, często zaangażowanego, a nie tylko beznamiętnego odnotowywania kolejnych dat. Do najciekawszych przykładów tego rodzaju należy „Skazanie” Palicyna o oblężeniu Troickiego monastera przez Polaków. Awraam Palicyn, klasztorny *kielar*, daleki potomek rodu króla Jagiełły, komentował ruską Smutę jako walkę Dobra ze Złem, w której – rzecz jasna – rolę sił Zła przypisywał polskim wojskom – „rzeszy szatańskiej, psom niewiernym”, a Lisowskiego nazywał: „wrogiem chrześcijan, pijącym ludzką krew”. Swoje „Skazanie” Palicyn pisał w celi na Soławkach, dokąd go zesłano pod srogi nadzór za zdradę na rzecz... Polaków.

Narodziny rosyjskiej historiografii przypadają na wiek XVIII, a za jej protoplastę przyjęto uważać Tatiszczewa. Ów pracowity dyletant, z wykształcenia inżynier i artylerzysta, zebrał dawne latopisy, uporządkował je, przełożył na współczesną rusczyznę i opatrzył komentarzami w przypisach. Tym sposobem rosyjska historiografia wyrosła z ruskiego latopisania i stanowiła zarazem jego naturalne przedłużenie. Kolejne słowo należało do cudzoziemców – niemieckich uczonych Gottlieba Zygfrieda Bayera i Gerharda Friedricha Müllera. Traktat Bayera pt. „De varagis” – kamień węgielny normañskiej teorii, wedle której ruskie państwo było dziełem Waregów (Müller ich utożsamiał z Rus’ju), przybyszów ze... Skandynawii – stał się zarzewiem sporu w rosyjskiej historiografii, trwającym do dziś. Przy tym nieraz używano argumen-

tów poniżej pasa. Michaił Łomonosow, dla przykładu, napadał na Müllera za to, iż ten datował osiedlenie Słowian w Nowgorodzie po Dziejach Apostolskich, podczas gdy Cerkiew uczy, że Słowianie tam mieszkali do przybycia apostoła Andrzeja... w efekcie publikacje akademika Müllera skonfiskowano i unicestwiono. Łomonosow, chcąc pokazać, jak należy pisać o rodzinnej historii, spłodził gniot patriotyczno-tendencyjny pt. „Drewniaja rossijskaja istorija”. Pod wpływem obcych idei, wśród ruskich historiografów nastąpił rozłam. Jedni, tzw. *starodumy* idealizowali dawną Ruś, odrzucając wszelkie nowinki. Inni, *ljuborusy*, późniejsi słowianofile, szukali w historii potwierdzenia narodowej osobliwości i gardłowali przeciw zachodnim teoriom. Natomiast *zapadniki* dowodzili, że w ogóle nie ma o czym traktować, bo Rosji brak przeszłości. Przy tym każdy przykrawał źródła historyczne wedle swego widzimisię i wszystkich oburzali cudzoziemcy, którzy mieli czelność się zajmować rosyjską historią. Jakakolwiek wypowiedź cudzoziemca na ten temat zrazu zrodziła zarzuty o zniesławienie ruskiego narodu i inspirowała odpowiedzi w formie książek, walnie się przyczyniając do rozwoju ruskiej historiografii. Jeszcze Leclerc nie zdążył w Paryżu wydać wszystkich tomów swojej „Historie de la Russie ancienne et moderne”, a już w Moskwie wyszły „Primieczanija na istoriju drewniej i nynieszniej Rossii g-na Leklerka, soczinienije generał-majora Bołtina w dwóch tomach.” Ba, nawet caryca Katarzyna nie zdzierzała pióra i na „Relation d’un voyage en Siberia” księdza Chappe’a napisała „Antidot, ili Razbor durnoj, wielikoliepno napieczatannoj knigi...” Nieraz dochodziło do skandali. Kiedy August Schlözer, uczeń Müllera, rozgoryczony intrygami w Rosyjskiej Akademii Nauk, chciał wyjechać z Rosji, Łomonosow napisał nań donos, w wyniku czego Senat Akademii przykazał odebrać niemieckiemu uczonemu paszport i zrobić rewizję w jego papierach...

Mówiąc krótko, w XVIII wieku zarysowały się główne linie konfliktów rosyjskiej historiografii, oraz metody ich rozwiązywania.

3.

„Historia Rosji jest niepodobna do historii żadnego innego kraju: nie tylko wydarzenia, lecz i stosunek do nich powtarzają się wielokrotnie, jak w równoległych zwierciadłach”.

M. Heller

„Historia Rosyjskiego Imperium” Hellera sięga sporów osiemnastego stulecia i pokazuje ich dalszy ciąg – do naszych dni. Ot, choćby problem *wariagów*, który i w XX wieku nie przestaje jątrzyć historyków. W latach 30-tych obowiązywał pogląd „antynormański”, a akademik Boris Griekow w przededniu wojny oskarżał zwolenników teorii „zaproszenia Waregów” o... brak patriotyzmu. W 1963 roku z Moskiewskiego Uniwersytetu relegowano studenta Andrieja Amalrika za referat *Normanny i Kijewska Rus’*... Natomiast akademik Lichaczow do dziś utrzymuje, że przybycie Waregów na Ruś to bzdura. Cudzoziemcy też nie zasypiają gruszek w popiele i nowe teorie ogłaszają, na przykład profesor Omeljan Pritsak z Harvard University dowodzi, że Rus’ przyszła na Ruś z... południowej Francji. Sam Heller w owych sporach stoi z boku – postronny – i twierdzi, że „badania przeszłości, nie przynosząc jednoznacznych odpowiedzi na pytania, postawione w odległych czasach, rozszerzają naszą wiedzę, jeśli tylko nie będziemy się upierać przy ich obowiązkowym charakterze”. Podobną pozycję zajmował Kluczewskij, mistrz Hellera, wystarczy przypomnieć jego „Nabroski po wariażskomu woprosu” („Dzieła Zebrane”, t. VII) gdzie zaciętrzewienie uczonych w sporach o Waregów nazywa „patologią”, choć nie ma „nic przeciw badaniom pochodzenia nazwy *Rus’*, jeśli tylko w tym problemie nie szukać klucza do wyjaśnienia genezy ruskiej narodowości”. Między faktami, opisanymi w latopisach – zauważa Kluczewskij – a historykami, badającymi owe fakty, zawsze stoi... jakiś latopisarz. Zatem opowieść o zaproszeniu Waregów to zaledwie... „uczona teoria ruskiego *knížnika* XII wieku, oparta na ludowym podaniu”. Warto o tym pamiętać, czytając „Historię Rosyjskiego Imperium”.

„Historia” Hellera to osobliwy palimpsest poglądów

na historyczne tematy: fakty, osoby, przełomowe wydarzenia – przy tym poglądów ludzi różnego autoramentu, nie tylko historyków. Michaił Jakowlewicz cytuje i ruskich poetów, i cudzoziemskich podróżników, filozofów, politologów i mężów stanu, i dyplomatów, i policjantów, i szpiegów... Przytacza latopisy i tajne zapiski, listy, dzienniki i wiersze, korzysta z wielotomowych historiografii swoich poprzedników i z gazetowych wycinków, czerpie z powieści i z poufnych doniesień. Czy to chrzest Rusi, czy mongolskie *igo*, *oprycznina* Groźnego, czy reformy Piotra I – każdy ważniejszy fakt rosyjskiej historii obrasta pajęczyną mniemań, domysłów, koncepcji, zrodzonych i zapisanych na przestrzeni wieków. Czy to Ruryk, czy Newski, Pugaczow, czy Benckendorff – za każdą z historycznych postaci ciągnie się wianuszek śladów, jakie odcisnęli w pamięci potomnych. O Piotrze Wielkim, dla przykładu, Heller przytacza opinię poety Sumarokowa, który sioło Kołomenskoje, gdzie urodził się przyszły Car, porównywał do Betlejem, i krytyka Bielińskiego, który w Imperatorze zobaczył... „bóstwo, przywróciwszy nas do życia i tchnąwszy duszę w kolosalne, lecz drzemiące martwym snem ciało dawnej Rusi”, i staroobrzędowców, którzy widzieli w nim Antychrysta, i Karamzina, który go oskarżał o próbę zrobienia z Rosji Holandii, Aksakowa i Puszkina („On piękny, On cały, jak Boża burza”), Sołowiowa i Kluczewskiego, Brücknera i Jasienicę, Aleksieja Tołstoja i Pilniaka („Człowiek nienormalny, zawsze pijany, syfilytyk, neurastenik, maniak...”), wreszcie Stalina, Besançona i Jegora Gajdara, lidera partii „Wybor Rossii”. Ten ostatni powiódł swą partię do wyborów ‘93 pod znakiem „Miedzianego jeźdźca”. Dalej Heller rekapitułuje: „Mit Piotra – czy to budowniczego państwa, czy Antychrysta, najbardziej postępowego z ruskich władców, czy ‘podmieńca’ – ukrasza poglądy historyków, polityków i ideologów. Mit Piotra, jak pokazują wydarzenia końca XX wieku, ma – być może – większe znaczenie, niż realna działalność cara-cieśli”.

Bo według Hellera istnieją dwie historie: historia zdarzeń i historia mniemań. Pierwsza – niejasna, zwykle skrywa swe oblicze, niczym kantowska rzecz sama w sobie, my natomiast postrzegamy tę drugą, która się zmienia w zależności od doktryn politycznych, szkół metodologicznych i dostępu

do archiwów, od fobii historiografa, jego narodowości, lub wyznania. Ot, weźmy hetmana Mazepę, o którym Wolter pisał, iż był bohaterem w historii Karola XII i zdrajcą w historii Piotra I. Rosyjscy historycy oskarżają Mazepę o zdradę, bo przysięgał na Biblię wierność carowi, a potem przeszedł do obozu wrogów. Ale przecież – zauważa Heller – Kantemira, króla mołdawskiego, ci sami historycy zowią patriotą, choć też przysięgał i zdradził, lecz przeszedł do obozu cara...

Można-li zatem dotrzeć do sedna historii wydarzeń? „Wzajem się wykluczające mniemania historyków o jednym i tym samym zdarzeniu – powątpiewa Heller – zmuszają do refleksji nad możliwościami przeniknięcia w przeszłość”.

4.

„Historia – jak powszechnie wiadomo – nikogo niczego nie uczy. Ona pozwala tylko zobaczyć model sytuacji, zwraca naszą uwagę na analogie”.

M. Heller

Heller pisał „Historię Rosyjskiego Imperium” w latach 1992-1995, bo – jak sam mówił – po raz pierwszy pojawiła się możliwość spojrzenia na dzieje Rosji w świetle przeżytej sowieckiej epoki. Jednocześnie w *Russkoj mysli* publikował zapiski „Oczami historyka” (zebrane potem w książkę pt. „Rosja na rozdrożu”) – rodzaj kroniki bieżących wydarzeń na tle rosyjskiej historii, wydarzeń, w których „oko historyka dostrzega granice, niewidoczne ‘twarzą w twarz’”. Tym samym jakby przez lunetę patrzył; to na przeszłość – przez okular przybliżający, to na dzień dzisiejszy – przez okular oddalający. Owo podwójne wiedzenie sprawiło, iż wydarzenia, i te dawne, i te obecne, nabierają stereoskopowej głębi. Choćby tzw. *wopros o ziemię*, który jaskrawą nitką przetyka dzieje Rosji ostatnich dwóch wieków. Już przed Speranskim stanęło pytanie: „Jak uwalniać chłopów od pańszczyzny – z ziemią, czy bez, jeśli z ziemią – to za wykup, czy bezpłatnie, jeśli za wykup – to kto ustala cenę?” Potem stawało jeszcze nieraz: i przed Mikołajem I, i przed Aleksandrem II, i przed Stopyńinem, i przed Stalinem. I ilekroć się pojawia w „Historii

Rosyjskiego Imperium”, tylekroć Heller przypomina, że i dzisiaj pozostaje aktualne: „Pod koniec XX wieku, po rozpadzie Sowietckiego Sojuza i krachu komunistycznego systemu, znów wyszły na jaw trudności uwolnienia chłopów. Pytania, które stały przed Mikołajem II, dziś stanęły przed rosyjskimi prawodawcami – spadkobiercami sowieckiego reżimu: uwalniać chłopów z ziemią, czy bez, brać wykup za ziemię, czy nie, jeśli brać, to w jakich rozmiarach?” A z drugiej strony, komentując w *Russkoj mysli* wystąpienie Czernomyrdina, w którym premier poruszył problem ziemi, Michaił Jakowlewicz odwraca perspektywę i sięga w przeszłość, pokazując jak kiedyś próbowano go rozwiązać: od Piotra III do Siergieja Witte. Ten ostatni pisał do Mikołaja II w 1898 r.: „Najjaśniejszy Panie, chłopski problem, w moim najgłębszym przekonaniu, jest obecnie najważniejszym problemem dla Rosji. I należy go niezwłocznie uporządkować”. (Teraz właśnie, kiedy piszę te słowa, Jelcyn w TV proponuje Dumie „okrągły stół” i na pierwsze posiedzenie... *wopros o ziemię*.)

Heller często przypomina słowa Eklezjasty o powtarzalności wydarzeń. I rzeczywiście – sztuka ta sama, tylko koszty zmieniają.

5.

„Jedyne, co człowiek może – to spróbować pojąć historię, w której mu przyszło żyć”.

M. Heller

Rozpad Imperium... ostatniego Imperium na Ziemi. Jedni się boją, że będzie wojna, jak zawsze bywało, kiedy imperia padały, a inni triumfują i ogłaszają, że koniec historii nastąpił. Michaił Heller nie należał ani do jednych, ani do drugich, bo „pamięć o przeszłości pozwala zachować dystans między nadmiernym optymizmem i zgubnym pesymizmem”.

Rozpad Imperium... i klej ideologiczny, który je cementował – wysechł był. Dzisiaj w Rosji gorączkowo szukają nowej Idei, mogącej skleić rozsypujący się organizm. I coraz więcej się mówi o „euroazjatyzmie”, doktrynie politycznej, która powstała w latach 20-tych w kołach rosyjskiej emigracji w Pradze, by po latach wrócić do Moskwy. Dziś tutaj w mo-

dzie Gumilow i „Historia Rosji” Wernadskiego. Prezydent Jelcyń jeździ do Chin...

„Rozpad Imperium... pozwala zobaczyć w nowym świetle zarówno jego historię i rolę, jak i możliwość nie-imperialnego istnienia Rosji. Kiedy Alicja trafiła do Krainy Czarów, to żal się jej zrobiło biednej pamięci, która działa tylko wstecz i pamięta wyłącznie przeszłość. Historia czasem pozwala wspomnieć przyszłość” – tymi słowami Michaił Heller kończy wstęp do „Historii Rosyjskiego Imperium”.

listopad 1997

Mariusz WILK

PRL w „Le Monde” 1949-1957

Dość mało uwagi poświęca się ocenie Polski przez francuską opinię publiczną choć nie jest zupełnie bez znaczenia sposób, w jaki przedstawia się we Francji Polskę i Polaków: kształtuje on postawy i opinie oddziałujące na mechanizmy rzeczywistych stosunków między narodami. Może być, że znikome miejsce, jakie zajmują sprawy polskie na łamach paryskich gazet nie zachęca do przestudiowania kwestii stanowiącej niedoceniony, a jakże wymowny aspekt w stosunkach polsko-francuskich. Analiza artykułów na tematy polskie w *Le Monde* jest skromnym przyczynkiem do tego typu badań¹.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że wybór *Le Monde* uzasadnia zarówno prestiżowy, opiniotwórczy charakter pisma,

1. Odnośnie historii XX-ego wieku należy wymienić w tej dziedzinie prace W. Stądkowskiego, „Opinia publiczna we Francji wobec sprawy polskiej w latach 1914-1918”, Wrocław, 1976, J. Łaptosa, „Polska a francuska opinia publiczna: 1918-1925”, Warszawa, 1975; oraz badania Tadeusza Wyrry co do percepcji spraw polskich i Polaków we Francji, tym razem w oparciu o archiwa francuskiego MSZ.

umiarkowana linia polityczna jak i całkiem wyjątkowe miejsce poświęcone dokonującym się nad Wisłą przemianom. Przyjęcie tzw. perspektywy neutralnej, która zakłada utrzymanie równowagi między blokami jak i przychylny stosunek do postępowej wizji społecznej wyznacza Polsce pierwszoplanową rolę w argumentacji *Le Monde* na korzyść demokracji ludowych. Polska demokracja ludowa, „przedsięwzięcie moralne i dydaktyczne” jak ją określa prawicowy *Le Figaro*, cieszy się uznaniem na łamach gazety redagowanej przez H. Beuve-Méry, gdyż zrywa ona jednoznacznie z niezbyt chwalebna rzeczywistością okresu międzywojennego, wobec której dziennik nie szczędzi słów krytyki. W latach 1949-1956 gazeta drukuje równo pięćdziesiąt obszernych artykułów, analizujących wszystkie aspekty polskiego stalinizmu z wyjątkiem „skomplikowanych” zagadnień natury politycznej. W przedmowie do studium o polskim socjalizmie z 1949 roku, Georges Govy zaznacza, że pragnie jedynie złożyć „obiektywne świadectwo” istotnym osiągnięciom społeczno-gospodarczym, wstrzymując się od ferowania sądów o sytuacji politycznej.

Najwięcej miejsca paryski dziennik poświęca odbudowie kraju, kwestii niekontrowersyjnej. Podkreśla z uznaniem, że Polacy czynią codziennie istnie „nadludzki” wysiłek, aby podnieść ojczyznę z ruin. Ich entuzjazm i zapał do pracy budzą podziw i szacunek zagranicznych obserwatorów. Zdaniem Georges Govy, działalność ta dobitnie świadczy o wielkiej miłości do ziemi ojczystej jak również o romantycznym rysie charakteru narodowego. Godnym odnotowania jest fakt, że na skutek zmiany ustroju, ten „pierwotny patriotyzm” przeobraził się w „patriotyzm pracy”. Odbudowa stolicy to akt politycznej wiary, który „urasta do rangi jednego z największych świadectw ludzkiego trudu”.

Niemniej, podróżny przybywający do Warszawy nie może oprzeć się uczuciu przygnębienia szarzyzny dnia codziennego. Zachodni rezydenci, którzy tworzą tam coś w rodzaju getta, z nostalgią wspominają lata międzywojenne, kiedy Warszawa była:

*Jedną ze stolic tej beztroskiej i błyskotliwej Europy.
Ale pod tą gładką powierzchnią ówczesna Polska kryła*

liczne rysy i nikt nie może poważnie myśleć o przywróceniu praw dla uprzywilejowanych warstw sprzed 1939 roku².

Co prawda, panujące nad Wisłą zwyczaje towarzyskie zachowały wiele „przeżytków dawnej galanterii (*les survivances galantes des régimes disparus*)”, m.in. zwyczaj całowania kobiet w rękę, co, zdaniem Charlesa Favrela, jest nie tylko śmieszne, ale także wymownie określa panujące w Polsce stosunki męsko-damskie.

Byłoby jednak błędem przywiązywać zbyt dużo wagi do tych drugorzędnych aspektów życia społecznego, które nie są w stanie przesłonić dokonujących się tu w każdej niemal dziedzinie głębokich przemian. Niemalą заслуżą rewolucji socjalistycznej jest stworzenie nieoczekiwanych wręcz perspektyw zawodowych dla ludzi pracy. A że nie są to górnotłone słowa, najdobitniej świadczy przykład zwykłego majstra awansowanego na członka państwowej komisji planowania. Tego typu kariery, nie do pomyślenia na Zachodzie, czynią widoczne wrażenie na zagranicznym obserwatorze. Georges Govy posuwa się nawet do stwierdzenia, że można zaobserwować całkiem nowe zjawisko:

Otóż prosty obywatel, którego jedynym dotychczas obowiązkiem było posłuszeństwo wobec prawa, stał się świadomą i odpowiedzialną jednostką w ludzkiej wspólnocie. Wspólnocie – dodaje dziennikarz Le Monde – co prawda nieco podejrzliwej w egzekwowaniu swych praw....³

Wroga postawa inteligencji do rządu lubelskiego zmusiła władzę do stworzenia nowej elity pochodzenia chłopsko-robotniczego, na skutek czego:

Po raz pierwszy w historii tego kraju studenci, przyszli intelektualiści, żywią do ludu nie tylko czczą litość, jak dotychczas, ale głębokie poczucie solidarności. To dopiero oni wcielią w rzeczywistość pojęcia, które dla przedwo-

2. *Le Monde*, 25 lutego 1950.

3. *Ibid.*, 31 maja 1951.

jennej inteligencji pozostawały czystą abstrakcją: lud, Polska, wolność, chrześcijaństwo⁴.

Chłopi i robotnicy odzyskali poczucie ludzkiej godności, a ich zapal do nauki to dla zagranicznego gościa jedno z najbardziej wzruszających przeżyć⁵.

Georges Govy podkreśla pozytywny stosunek kadry specjalistów do władz, podczas gdy dostrzega się pewne „zgrzytanie zębów” u intelektualistów. A w Polsce, w przeciwieństwie do Zachodu, naukowiec, inżynier, lekarz „to nie tyle specjaliści co przede wszystkim intelektualiści nieustannie przerabiający świat”⁶.

Reforma rolna, jako główny punkt przemian gospodarczo-społecznych, znajduje się w centrum zainteresowania francuskich obserwatorów. Podział gruntów zlikwidował ogromny proletariats wiejski, który Polska ludowa otrzymała w spadku po przedwojennym ustroju. Powstała z niego siedemnaście milionowa rzesza drobnych właścicieli, „których trzeba teraz nawrócić na komunizm, co zważywszy na tradycyjny indywidualizm Polaków i wpływy Kościoła, nie będzie łatwym zadaniem dla władzy”, zaznacza korespondent gazety. W przemyśle plan sześcioletni nadaje produkcji polityczne znaczenie. W wychowaniu stachanowca, pisze Jacques Favrel:

Ogólne współzawodnictwo jest czynnikiem duchowym, pobudzającym przyspieszoną produkcję. Polityka staje się tutaj składnikiem życia duchowego. Można sobie kpić z tego we Francji, ale ten rodzaj mistycyzmu, czerpiący natchnienie z wykonania planu, zrewolucjonizował codzienną pracę i zmienił fizjonomię fabryk. Robotnik pracujący dotychczas jedynie dla chleba, odkrywa jakiś nadprzyrodzony wymiar, który uszlachetnia wykonywane zajęcia. Nawet w tej programowej szkole marksizmu jakim jest wojsko można zaobserwować rzadko spotykaną na Zachodzie postawę akceptacji i entuzjazmu⁷.

4. *Ibid.*, 22 czerwca 1949.

5. *Ibid.*, 8 czerwca 1951.

6. *Ibid.*, 22 czerwca 1949.

7. *Ibid.*, 15 czerwca 1951.

Jednym słowem, liczne zdobycze socjalistycznego ustroju (oświata, higiena, pełne zatrudnienie, lepsze warunki mieszkaniowe) przemawiają na jego korzyść, pomimo ceny jaką trzeba płacić za hojnie rozdzielane dobrodziejstwa w postaci przerażającej szarzyzny życia codziennego (aspekt ten będzie wielokrotnie poruszany przez korespondentów dziennika), nieustających czystek, wszechobecnej podejrzliwości. Pamiętajmy jednak, pisze François Honty w konkluzji do sześciopartykułowego sprawozdania o polskim stalinizmie z 1953 roku, iż:

Ogólnie, demokracja ludowa okazała się mniej krwiożercza niż inne ustroje rewolucyjne. Oczywiście, nikt nie neguje licznych ofiar walki między komunistami a opozycją, za co winę ponoszą nieodpowiedzialnie elementy, które dla swych celów wykorzystywały powojenną sytuację⁸.

Podkreślając zasługi nowej władzy w wychowaniu społeczeństwa, *Le Monde* ani przez chwilę nie wątpi, iż z racji na swój postępowy charakter, dokonująca się nad Wisłą rewolucja będzie mieć coraz większe poparcie Polaków. Siłą rzeczy, wpływy totalitaryzmu, które obecnie napotykają na opór szerokich kręgów społecznych, z czasem muszą zwyciężyć. Proces ten dokona się tym łatwiej, że nie istnieją w Polsce siły zdolne się mu przeciwstawić skutecznie. Wiadomo przecież, że nawet dla pokolenia sprzed wojny „wolność (której tak naprawdę nigdy w Polsce nie było) stanowiła bardziej marzenie niż rzeczywistość. A cóż dopiero mówić o dzisiejszym pokoleniu, już wcale nie obciążonym balastem przeszłości: przyjmie ono bez dyskusji model społeczeństwa, który mu się jutro proponuje”, pisze redaktor gazety, André Fontaine⁹. Anatol Muhlstein, przedwojenny radca ambasady polskiej w Paryżu, zapewnia czytelników *Le Monde*, iż Polska,

Która nieraz w przeszłości dokonywała fatalnych wyborów, znajduje się obecnie w obozie sowieckim i tylko wojna (której nikt nie chce) mogłaby obalić ustrój komu-

8. *Ibid.*, 28 lutego 1951.

9. *Ibid.*, 28 lutego 1951.

nistyczny. Dla polskiego narodu czas wyboru minął bezpowrotnie. Nie należy zresztą zapominać, że Związek Sowiecki jest jedynym gwarantem ziem odzyskanych, bez których Polska byłaby skazana na istnienie bez chwały i przyszłości¹⁰.

Rozważania na temat społeczno-gospodarczych aspektów ustroju prowadzą François Honty do wniosku, że demokracja ludowa jest faktem:

Nie do obalenia droga masowego ruchu biernego oporu popieranego z zewnątrz zarówno z powodu sowieckich metod rządzenia jak i osiągnięć w polityce wewnętrznej.

Dla Georges'a Pencheniera, który poświęca demokracji ludowej sprzed 1956 roku sześć obszernych artykułów, Polska to przede wszystkim „kraj sprzeczności, w którym katolicyzm (a religia ma tutaj oblicze średniowieczne, nieomal wschodnie) i socjalizm, tworzą nierozzerwalną całość”. Dostrzega się, według niego, coraz większe przywiązanie do ustroju, który zapewnia ludziom chleb i bardziej niż w przeszłości stabilną egzystencję. Stworzono prawdziwe społeczeństwo bezklasowe, a proces ten dokonał się tym łatwiej, iż nie napotkano w Polsce na opór klasy średniej, „która we wszystkich krajach Europy stanowi element najmniej uchwytny a zarazem najbardziej oporny na jakiegokolwiek przemiany”. Polska w 1945 składała się, zdaniem autora, jedynie z tych dwóch klas: ziemiaństwa (bardzo szybko zlikwidowanego) oraz proletariatu wiejskiego. O ile w ogóle można mówić w polskich realiach o mieszczaństwie, to stanowili je głównie Żydzi. Ich zagłada położyła kres istnieniu burżuazji, która po wojnie przestała odgrywać jakąkolwiek rolę społeczną.

Godnym zanotowania jest fakt, że po raz pierwszy w historii kraju chłopci i robotnicy uzyskali własność, „co prawda nieco inną niż ta, do której przywykł zachodni obywatel, niemniej jest to wielkie osiągnięcie ustroju”. Ale nowo powstałym właścicielom daleko do ogłady tradycyjnie przypisywanej warstwom posiadającym. W sferze obyczajowej

10. Anatol Muhlstein, „Polityka pułkownika Becka”, *Le Monde*, 20 marca 1952.

wiele jeszcze pozostaje do zrobienia... Nie da się ukryć, że pierwsze pokolenie socjalistyczne cechuje grubość obyczajów, a niechlujstwo jest nieomal powszechne. Georges Penchenier pisze wręcz, iż razi go widok profesorów egzaminujących studentów z zakasany rękawem i rozchełstaną koszulą. Trudno się jednak dziwić tym niedociągnięciom, gdyż jak twierdzi marksistowska analiza – chłop polski czyni milowe kroki na drodze, która go prowadzi od feudalizmu do komunizmu. Obecnie, stwierdza korespondent *Le Monde*, wkracza on w fazę drobnomieszczańską i trzeba się liczyć z faktem, że dostosowanie do życia miejskiego będzie procesem długotrwałym:

Nie sprowadza się bowiem bezkarnie do miast tysięcy ludzi wyrwanych z szop lub stodół (sic!), których trzeba nauczyć tak podstawowych rzeczy, jak spuszczenia wody w toalecie lub postugiwania się kranem.

Jak już wspominaliśmy, przez wszystkie sprawozdania korespondentów *Le Monde* przewija się motyw „przygnębiającej wręcz szarzyzny”, która zdaje się robić tym większe wrażenie, że „o dziwo, czas jakoś jej nie łągodzi”. Samochód pozostaje rzadkością, sklepy świecą pustkami, wszędzie drożyzna. Jest całkiem zrozumiałe, że niedociągnięcia codziennego bytowania są zarazem żałosne jak i uciążliwe dla narodu, ale należy pamiętać, że trzeba było po wojnie uprzemysłowić rolną i średniowieczną Polskę, a więc poświęcić konsumpcję na rzecz przemysłu ciężkiego. Rozważania o stanie polskiej gospodarki prowadzą jednak do wniosku, że „nie minie dziesięć lat a Polska będzie wielkim krajem”.

Ciekawe są również spostrzeżenia francuskiego przybysza na temat socjalistycznej architektury. Snuje on wielce skomplikowane wywody, szukając jakichś racjonalnych przesłanek dla stalinowskiej wizji budowlanej. Bezsprzeczną brzydotę polskich osiedli stara się usprawiedliwić względami natury politycznej. Polscy architekci nie mieli dużego wyboru, skoro z założenia typowe miasto socjalistyczne musi kłaść nacisk na czynnik „miejski” a nie „ogrodowy”, aby dostosować się do mentalności chłopskiej, dla której właśnie betonowe mrowisko uchodzi za kwintesencję „miejskiej ogłady”.

W socjalistycznym ustroju młodzież jest kokietowana, ponieważ widzi się w niej „nadzieję narodu”. W dodatku posiada ona wszelkie właściwości „plasteliny”, którą można dowolnie kształtować, a władza ma tu duże pole manewru, chociażby poprzez szeroko rozbudowany system oświaty. *Le Monde*, wedle uświęconego zwyczaju mylących zestawień, porównuje socjalistyczny system do szkolnictwa w dawnej Francji, nim przeprowadzono laicyzację uniwersytetu. Wtedy dziecko również było całkiem podporządkowane pedagogom, którzy narzucali mu określony model życia. To wszystko jest tylko kwestią wiary, i „mniejsza o to, czy jest ona natury metafizycznej czy politycznej” pisze, podsumowując, Georges Penchenier. Różnica tkwi jedynie w całościowym charakterze wychowania socjalistycznego, który wykracza poza szkolne bramy, obejmując wszystkie dziedziny życia publicznego. Ale start życiowy dla ludzi ambitnych jest tu o wiele łatwiejszy. Zaskakująca ilość młodych ludzi piastujących wysokie stanowiska we wszystkich dziedzinach wymownie świadczy o możliwościach zrobienia kariery zawodowej na miarę francuskich generałów z 1792. „Zrobić z pastuszka dyplomatę” oto tytuł jednego z artykułów na temat tego specyficznego socjalistycznego zjawiska.

Dopiero po 1956 roku w komentarzach gazety wyczuwa się pewne otrzeźwienie i odwrót od programowego optymizmu. *Le Monde* zaczyna dostrzegać niedomagania ustroju i iluzoryczny charakter socjalistycznej rewolucji. Młodzież, co do której dziennik francuski nie miał wątpliwości, iż:

Pozostanie na zawsze wierna komunizmowi zadała kłam teorii, skądinąd tak logicznej.

Dyktatura proletariatu okazała się dyktaturą biurokracji, która, choć bardziej uważna na potrzeby robotników niż dawny system kapitalistyczny, zrodziła w sferze moralnej nihilistyczną „znieczulicę”, a w sferze materialnej pogardę w stosunku do dyscypliny i dobrze wykonanej pracy. Polskę zalewa fala pesymizmu oraz ogólnego zwątpienia w dobrodziejstwa ustroju. Sceptycyzm jest powszechny, obserwuje się brak wiary w cokolwiek, a głównie w przyszłość, co rzutuje na ogólną atmosferę w kraju, nie mówiąc już o oplakanych

skutkach tego zubożenia w pracy zawodowej. Jakość wszędzie jest niedostateczna, szerzy się brakoróbstwo.

Wbrew wszelkim prognozom, model socjalistyczny napotkał na opór rodzimego modelu kulturowego, ukształtowanego na przestrzeni wieków przez arystokrację i który przetrwał, zachowując wiele aspektów kultury warstw wyższych. Robotnicy i chłopci, a raczej ich synowie, mający teraz masowy dostęp do kultury, nie potrafili przemienić owego tradycyjnego dotychczas modelu w kulturę proletariacką. Stało się wręcz odwrotnie: to oni duchowo nasiąkli kulturą pańską¹¹.

Tu i ówdzie można też znaleźć wzmianki o kwestiach kontrowersyjnych, pomijanych dotąd milczeniem. Tak więc pisze się otwarcie o antagonizmie cywilizacyjnym z Rosją jak i o polskiej tradycji wolnościowej, podkreślając fakt, że Polacy zawsze stawiali opór wszelkiej tyranii.

Le Monde nie ulega jednak pesymistycznym nastrojom. Wkład socjalizmu w proces modernizacji kraju jest zbyt znaczący, aby przystąpić do zrewidowania poglądów. Toteż subtelnie uzasadnia się przewagę nowego systemu nad dawnym, uwypuklając bezsprzecznie pozytywne osiągnięcia. Nie tylko zlikwidował on dawne warstwy posiadające, ale otworzył przed ludem widoki lepszego życia. Nie tylko dał chłopom ziemię i pracę, ale nauczył tysiące tych plebejuszy, że „prawo do słońca” nie jest przywilejem elity a urlop to nie mit. W opinii dziennika nie można było dokonać tych przemian bez obalenia przedwojennego ustroju ze względu na archaiczny stan społeczeństwa:

W 1945 feudalizm i brak wychowania politycznego uniemożliwiały równoległe wprowadzenie ustroju socjalistycznego i politycznej demokracji w krajach Europy Wschodniej. Po jedenastu latach kolektywizacji, komunistycznego przewodnictwa i dyktatury, sytuacja przedstawia się zgoła inaczej¹².

11. *Le Monde*, 24 listopada 1956.

12. *Le Monde*, 23 października 1956.

Wiele uwagi poświęca się również sprawom Kościoła. Z jednej strony nie szczędzi się słów uznania co do roli, jaką Kościół odgrywa w kraju tradycyjnie i nieodwołalnie katolickim (...). Komuniści są zmuszeni liczyć się z jego istnieniem skoro nie sposób „zlikwidować 85% narodu, który jest głęboko przywiązany do swego Kościoła”. Z drugiej strony surowo sądzona jest działalność polskiego Kościoła na przestrzeni wieków. Zarzuca mu się m.in. to, że w swej wojnie z Rosją pomylił „wojnę świętą z wojną narodową oraz że nie potrafił nigdy odróżnić spraw duchowych od ziemskich”. Zjawisko, zdaniem dziennika, powszechnie występujące w całej Europie Środkowej: czy prymas Mindszenty nie pretendował do roli regenta królestwa, a Hlond i Wyszyński nie wyznaczali sobie drugiego miejsca w państwie? Z przyczyn cywilizacyjnych – w przekonaniu francuskich obserwatorów – Kościół w Polsce nie sprostął wyzwaniu epoki i dlatego wiele aspektów życia religijnego irytuje zachodniego dziennikarza, który poniekąd nie jest komunistą, jak przedstawia się czytelnikom G. Penchenier. Nadmierne przywiązanie do tradycji oraz skostniały charakter kościelnej instytucji najdobitniej świadczą o wstecznym obliczu Kościoła, którego czeka konieczny proces dostosowania się do wymogów historii. W tak zarysowanym celu szczególną rolę ma przypadać postępowym katolikom, o których dziennik wyraża się z dużym zrozumieniem i sympatią. Nie szczędzi się więc słów pochwały pod adresem przewodniczącego Pax’u, B. Piaseckiego, „człowieka głęboko religijnego, pełnego wiary w przeznaczenie ojczyzny”. Uchodzi on w ocenie Francuzów za „typowego arystokratę, który z właściwą tej warstwie pasją do gry postawił na przyszłość zamiast trzymać się kurczowo minionych przywilejów”, jak to czyni środowisko opozycyjne, skupiające same niedobitki dawnych klas posiadających:

Piasecki i jemu podobni, to gracze umiejący przegrywać z honorem, którzy, bardziej od materialnych, cenią wartości duchowe: Kościół i Ojczyznę. Zastęga tych „arystokratów” polega na niedoprowadzeniu do zerwania stosunków między Kościołem a państwem. Walcząc z konserwatyzmem Kościoła, którego kontakt z rewolucją może jedynie wzbogacić – walnie przyczyniają się do przywrócenia mu pierwotnej siły duchowej.

Przytaczając opinię wysokiej osobistości katolickiej, *Le Monde* wyraża pogląd, iż Kościół w Polsce zwyciężył w walce z komunizmem, a konfrontacja ta zmusiła go do zrezygnowania z reakcyjnej postawy sprzed 1939, „kiedy to utożsamiał się z warstwą rządzącą”. Kościół posiadał w Polsce zbyt dużo przywilejów (sytuacja niespotykana ani w Europie, ani nawet w Ameryce), którym władza ludowa musiała położyć kres, stąd „ta fala aresztowań, interpretowanych na Zachodzie jako systematyczne prześladowanie Kościoła, podczas gdy była to jedynie reakcją świeżo powstałego państwa”¹³. I tak rząd polski wykazał więcej realizmu niż w pozostałych demokracjach ludowych, nie zabraniając nigdy praktyk religijnych. Jest więcej zakonów i księży w Polsce Ludowej niż przed wojną (1742 zakonów i 18659 duchownych w 1939, a 2010 i 18659 w 1949). Cyfry te są bardziej wymowne niż:

cała propaganda polskich a nawet zachodnich reakcjonistów. Podczas gdy istnieje w kraju ciężka sytuacja mieszkaniowa, dwóch lub najwyżej czterech duchownych zajmuje cały dom,

powtarza francuski dziennik za *Trybuną Ludu*, obszernie cytując krytyki władzy ludowej pod adresem kleru¹⁴. Poczucie realizmu i umiarkowana postawa kardynała Wyszyńskiego „bardziej łagodnego niż Hlond, który nie oszczędzał władzy” są oceniane pozytywnie. Kanonik Leveque, specjalista od spraw Kościoła polskiego, podkreśla patriotyzm prymasa oraz jego brak uprzedzeń do nowej władzy. Po jego aresztowaniu w 1953 roku, dziennik Beuve-Méry publikuje protest dwustu parlamentarzystów francuskich, którzy chwalą roztropność oraz poczucie sprawiedliwości i miłosierdzia prymasa Wyszyńskiego, czym zaskarbił sobie uznanie i szacunek świata cywilizowanego. Nie ukrywa się, że liczne procesy (m.in. biskupa Kaczmarka) to próby podporządkowania Kościoła władzy komunistycznej, uwieńczone sukcesem po wydaniu dekretu z 10 lutego 1953 roku. Ale dopiero w 1957 *Le Monde* da wyraz swemu zwątpieniu w zdolność władzy do

13. *Ibid.*, 6/7 marca 1955.

14. *Ibid.*, 1 marca 1950.

kompromisu z racji „jej nieufności i instynktownej wręcz wrogości do religii, uznanej raz na zawsze jako obiektywnie reakcyjnej”. Jeszcze niedawno wynoszony na piedestał B. Piasecki spotyka się z ostrą krytyką Henri Page’a, który pisze otwarcie że:

*został on całkowicie zdyskredytowany w środowisku katolickim i tylko dzięki poparciu partii utrzymuje się przy władzy, podczas gdy łudzono się, że rewolucja październikowa położy kres karierze, przywódcy stalinowskich katolików*¹⁵.

O polskim antysemityzmie *Le Monde* pisał już w 1946, gdy sytuacja polskich Żydów była na tyle niepokojąca „że prezydent Bierut postanowił zaalarmować O.N.Z”. Wobec bezkrytycznego przyjęcia tego typu stwierdzeń łatwo jest pojąć zdziwienie Philippe’a Bena, który dopiero w 1956 ostrzega, że antysemityzm i komunizm mogą koegzystować. Staje się widoczne, że komunizm poniósł klęskę w zwalczaniu antysemityzmu, a demokratyzacja zamiast złagodzić postawy antysemityczne, spotęgowała je dzięki przywróconej wolności słowa. Ponieważ odwilż ideologiczna zbiegła się w czasie z katastrofą ekonomiczną, krytyka pokazuje palcem Żydów, którzy jak np. Hilary Minc zajmowali najwyższe stanowiska w rządzie. Co więcej, stara gwardia stalinowska oskarża żydowskich intelektualistów o demokratyzację życia publicznego. Dopiero dojście Gomułki do władzy kładzie kres, pisze gazeta, próbie Ponomarenki i Chruszczowa „ocalenia systemu przy pomocy sloganów antysemitycznych”. Kwestia odpowiedzialności sowieckiej w szerzeniu opinii antyżydowskich – na co zwracają uwagę polscy intelektualiści – jest pozostawiona bez komentarza... Przytoczone fakty służą jedynie jako świadectwo że:

*Antysemityzm nigdy nie został wykorzeniony z serca i mózgu tysięcy Polaków i że jest on nawet silniejszy niż kiedykolwiek*¹⁶.

15. *Le Monde*, 20 maja 1957.

16. *Ibid.*, 29 listopada 1956.

Na marginesie można zauważyć, że, o ile wspomina się o antysemityzmie Rosji carskiej a tym bardziej Polski przedwojennej, to antysemityzm w ojczyźnie komunizmu jest w tych latach tematem drażliwym. Oczywiście – przyznaje Philippe Ben – antysemityzm nie jest zjawiskiem ogólnym, a „Izraelici, przyzwyczajeni do roli zwierzyny, w każdym widzą prześladowcę”. Czy obecna sytuacja, to znaczy masowy wyjazd Żydów z Polski oraz mniejszy ich udział w życiu politycznym może przyczynić się do wyparcia antysemityzmu z kraju,

*który dla wielu – słusznie lub nie – jest krajem typowo antysemickim?*¹⁷.

Nie ukrywa się również niezmiennie wrogięgo nastawienia do Rosji, snując przypuszczenie, że nawet jeśli Polacy wykazą więcej rozsądku w przyszłości, to nieszybko wyleczą się ze swoich kompleksów. Niezmiennie jednak poucza się Polaków, że postawa antysowiecka pozostaje kardynalnym błędem: Polska jest zbyt osamotniona w obozie socjalistycznym, aby przezwyciężyć swe położenie geograficzne. Niemniej zbyt duża różnica cywilizacyjna jeszcze długo pozostanie nieuniknionym źródłem napięcia. Ale czy realizm, jaki wykazują obecnie Polacy w stosunku do Moskwy nie jest dowodem, że „przyswoili lekcje historii”?

Można także zauważyć, że znów powraca tradycyjna pochwała Polski jako kraju wolności. Dziennik, odżegnując się od poglądów głoszonych w 1945, pisze bez ogródek, że to jedynie „stanowczość narodu, który zawsze potrafił stawiać opór, pokonała ślepią siłę”.

Reasumując, bilans ośmiu lat stalinizmu okazuje się umiarkowany, ale perspektywy są raczej ciemne: z tej syntezy realizmu i nadziei, jaką zdawał się gomułkizm, pozostał już tylko pierwiastek realizmu. Ale, pomimo wielu zaskakujących aspektów dla zagranicznego przybysza, socjalizm w opinii *Le Monde* jest:

Jak ułał dostosowany do tej innej Europy, dla której

17. *Ibid.*, 29 listopada 1956.

*najbardziej charakterystycznym wyznacznikiem pozostaje koń w przeciwieństwie do Europy Zachodniej, gdzie od dawna koń mechaniczny panuje niepodzielnie*¹⁸.

W tej części Europy system socjalistyczny zachowuje więc bardziej niż kiedykolwiek swoją rację bytu. Polska jest i zostanie socjalistyczna. Należy dążyć do usprawnienia ustroju, ale w żadnym wypadku nie może to być demokracja typu zachodniego. Wychwalanie rzekomych przewag liberalizmu mija się z celem:

Czy by nas zrozumieli, gdybyśmy im powiedzieli, że wolność jest po naszej stronie, oni, którym państwo daje przynajmniej złudzenie, że budują lepszy świat? To wcale nie jest pewne, tym bardziej, że oni też kiedyś będą mogli poznać lepsze jedzenie, większy komfort – pisze Jean Houdart – dlatego Zachód nie powinien za dużo liczyć na koszule i lodówki we współzawodnictwie ze Wschodem. Socjalizacja jest faktem dokonany dla nowego pokolenia i na naszych oczach równowaga ideologiczna świata zmienia się w sposób mniej jaskrawy, ale równie szybki jak równowaga techniczna.

Zapewne, myślenie tych ludzi jest ukierunkowane, ale jak powtarza *Le Monde* za Stanisławem Mackiewiczem, „socjalizm przyniósł szczęście ludziom, którzy przeważnie nie są ani zdolni, ani inteligentni”. Problem wolności pozostaje drugorzędny w kraju gdzie – wielokrotnie podkreśla gazeta H. Beuve-Méry – nigdy nie zaznano prawdziwej wolności. Przed wojną Polacy byli wolni? Tak, ale „wolni jedynie po to, żeby emigrować za chlebem, i nic poza tym”. Francuski dziennik przez wiele lat wychodził z założenia, iż skoro kapitalizm nie jest całkiem dobry, to socjalizm nie może być całkiem zły. Ocena Polski Ludowej daje również okazję, żeby obnażyć niedociągnięcia rodzimej demokracji. Podczas kryzysu dyplomatycznego w 1949 między Paryżem a Warszawą (tzw. sprawa Robineau związana z procesem francuskich dyplomatów w Polsce, na który Francja zareagowała wydalaniem

18. *Ibid.*, 7 maja 1957.

polskich szpiegów), *Le Monde* poucza Quai d'Orsay:

*Wielka szkoda, że dyplomacja francuska korzysta z usług policji. Nie zawsze metody policyjne są pożądane w stosunkach między narodami, co dotyczy również kontaktów ze Wschodem. Teraz p. Moch, minister spraw wewnętrznych, stał się za żelazną kurtyną, symbolem antysowietyzmu*¹⁹.

Stan zbiorowej fascynacji podtrzymywali liczni intelektualiści, dostarczający *Le Monde* rękojmię i wsparcie. Czy komunizm nie jest w poszukiwaniu nowego humanizmu, zastanawiał się Nicolas Berdiaeff na łamach miesięcznika *Esprit*, ulegającego tym samym złudzeniom co gazeta H. Beuve-Méry? Zasada socjalizmu nie podlega dyskusji, jedynie sposoby zastosowania są wadliwe, jak twierdził znany prawnik Maurice Duverger, który jeszcze w 1955 był zdania, że:

*Mówienie o sowieckich obozach nie przyspieszy uwolnienia deportowanych, lecz może jedynie zwiększyć napięcie między blokami, które uzasadnia istnienie obozów, podczas gdy potępienie niesprawiedliwości społecznej i dominacji kapitalistycznej we Francji może w pewnej mierze przyczynić się do ich likwidacji*²⁰.

Tak więc postawa „political correct” nie pozwoliła gazecie przewidzieć przyszłych wstrząsów, którym początek dał właśnie kraj zaliczony raz na zawsze do obozu socjalistycznego, podobnie jak jego przedwojenny poprzednik, półoficjalny *Le Temps*, któremu Leon Daudet już w 1937 zarzucał, że „nie potrafił dostrzec ani rewolucji rosyjskiej, ani włoskiego faszyzmu, ani nawet hitleryzmu”.

Agnieszka MARTON-DOMEYKO

19. *Ibid.*, 2 grudnia 1949.

20. *Ibid.*, 20 sierpnia 1955.

Ważna książka Daniela Beauvois*

Większość czytelników *Kultury* wie kim jest historyk francuski Daniel Beauvois, zajmujący się od lat dziejami Polski, Litwy i Ukrainy w dziewiętnastym stuleciu i w początkach naszego wieku. Serię swych odkrywczych prac, francuski badacz rozpoczął od dwutomowego dzieła na temat szkolnictwa polskiego w regionie Litwy i Rusi ale z punktem ciężkości na Uniwersytecie Wileńskim w latach 1803-1832. Fachowcy od razu dostrzegli, że zjawiał się sumienny i ważny naukowiec, a w dodatku Francuz, gdzie mimo wszelkich mitów i legend, tematyka pogranicza kultur Polski, Litwy i Ukrainy należy raczej do rzadkości. Potem nastąpiło kolejne dzieło: „Polacy na Ukrainie 1831-1863. Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie”, które wniosło w nasze wspólne dzieje wiele dotychczas nieznanych albo zapoznanych elementów. Beauvois obalił mit o roli ziemiaństwa polskiego, kierującego się rzekomo wyłącznie busolą patriotyzmu, a nie obroną grupowych interesów, a w związku z tym gotowością do kompromisów z władzami carskimi kosztem reform na rzecz Ukraińców.

Po tamtej książce kursowała w Warszawie anegdota, że na rzekomych spotkaniach polskiej arystokracji u dyrektora Muzeum Literatury, Odrowąża, księżna Czartoryska albo Potocka – nie pamiętam dokładnie nazwisk z opowieści – zwróciła się do obecnych: „Wyobraźcie sobie moi drodzy, podobno jakiś jakobin francuski napisał podły pamflet przeciwko nam”. Możliwe, że to wydumane, ale mimo tego piękne. Ale dzieło historyka francuskiego nie wywołało takiego echa na jakie zasługiwało. Dobrze, że Beauvois otrzymał wiele tytułów naukowych w Polsce i nagrodę *Przeglądu Wschodniego* – a niestety, jak dotychczas, nie na Ukrainie. Będąc jeszcze w Lille

* Daniel Beauvois; „Walka o ziemię – Szlachta polska na Ukrainie prawobrzeżnej pomiędzy caratem a ludem ukraińskim 1863-1914”, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 1996.

na tamtejszym uniwersytecie urządził konferencję m.in. z udziałem Czesława Miłosza na temat literatury pogranicza. Byłoby dobrze gdyby ten zbiór referatów ukazał się wreszcie po polsku i po ukraińsku. Obecnie – kiedy Daniel Beauvois jest kierownikiem Katedry Historii Słowiańskiej na Sorbonie w Paryżu, ukazała się jego trzecia praca, która jest kontynuacją i zaokrągleniem poprzedniego tematu. Jej francuski tytuł brzmi: „La bataille de la terre en Ukraine 1863-1914 – les Polonais et les conflits socioethniques” zaś polski w znakomitym tłumaczeniu Krzysztofa Rutkowskiego: „Walka o ziemię - szlachta polska na Ukrainie prawobrzeżnej pomiędzy caratem a ludem ukraińskim 1863-1914”. Autor zapowiada w przedmowie, że zamierza ten cykl kontynuować, rozszerzając tematykę na szersze zagadnienia polityczne i kulturowe.

„Walka o ziemię” jest bardzo ważnym elementem w dociekaniu niedawnej przeszłości w stosunkach polsko-ukraińskich pod panowaniem Rosji carskiej. Beauvois odkrywa całe pole nieznanych faktów i problemów, pomaga w istotny sposób sprawie przywracania pamięci historycznej Polakom, Ukraińcom i Rosjanom. Czyni to naprawdę *sine iura et studio* w imię maksymalnej rzetelności badacza, nie darząc nikogo ani sympatią ani antypatią. Chyba tylko bezstronny i neutralny historyk może dojść do przedstawienia procesów społecznych obarczonych w dotychczasowej historiografii trzech zainteresowanych czy inaczej mówiąc biorących udział w ówczesnym rozwoju sytuacji stron bardzo odmienny sposób zaangażowanych, balastem mitów i uprzedzeń.

W pracy tej autor rewiduje swoje wcześniejsze poglądy na temat rozplynięcia rzekomo drobnej zdeklasowanej szlachty polskiej w masach chłopstwa ukraińskiego. W rzeczywistości warstwa ta pozostała jako dzierżawcy przy polskość. Ale do najbardziej wnikliwych aspektów dzieła historyka francuskiego należą analizy konfliktów ekonomicznych i narodowościowych pomiędzy Rosjanami i Polakami na Ukrainie i uposledzenia autochtonicznej ludności ukraińskiej. Autor przedstawił też wyraziście udział Polaków w uprzemysłowieniu Ukrainy zwłaszcza w rozwoju przemysłu cukrowniczego. Obraz zaokrąglą też szczegółowe przedstawienie roli Żydów, Niemców i Czechów jako współczynników gospodarczej eksploatacji a jednocześnie elementu ekonomicznego rozwoju pod egidą zie-

miaństwa polskiego w oparciu o lojalność wobec carskiej Rosji.

Książka Daniela Beauvois jest solidnym bilansem polskiej potęgi gospodarczej na prawobrzeżnej Ukrainie w warunkach nadrzędnej władzy imperium rosyjskiego. Jest bezlitosnym, racjonalnym rozliczeniem historii z polskich legend historycznych, swego rodzaju kontynuacją dawnych rozpraw w duchu Olgerda Górki. Stanowi niezwykle ważny przyczynek do tego nurtu, który od kilku dziesięcioleci reprezentowali i kontynuują Stefan Kieniewicz, Henryk Samsonowicz, Ry-szard Torzecki, Juliusz Bardach i inni.

Beauvois kończy swą pracę słowami, które warto zapamiętać. Odpowiadają one naszym wspólnym celom, niejednokrotnie przedstawianym na łamach *Kultury*: „Polacy już na Ukrainę nie wrócą. Trzeba jednak pamiętać, że obecna przebudowa geopolityczna nadal jeszcze jest dziełem otwartym, które bez uważnego odczytania śladów przeszłości spełnić się całkowicie nie może. Przeszłość zastygła, często niestety, w zbiorowej świadomości, jako kraina mitów deformujących rzeczywistość, a niekiedy wręcz niebezpiecznych. Całkowita przejrzystość i niedwuznaczne porozumienie w sprawie interpretacji historii polsko-rosyjsko-ukraińskiej stanowi warunek *sine qua non* dobrosąsiedzkich stosunków w przyszłości.

Bohdan OSADCZUK

Żydzi i judaizm we współczesnych badaniach polskich

Od kilkunastu lat obserwowany jest w nauce i kulturze polskiej oraz w życiu społeczno-politycznym wyraźny wzrost zainteresowania problematyką żydowską. Owocem tych fascynacji są organizowane w ostatnim okresie liczne konferencje

naukowe, programy edukacyjne, wystawy, festiwale, konkursy, a także wznowienie oficjalnych kontaktów dyplomatycznych na szczeblu ambasad pomiędzy Polską a Izraelem. Jednak niewątpliwie najdonioślejszym przejawem wyżej wymienionych tendencji jest skonsolidowanie w ciągu minionych dwóch lat środowiska naukowego, zajmującego się problematyką żydowską i powołanie do życia Polskiego Towarzystwa Studiów Żydowskich.

W Polsce jest kilka instytucji naukowo-badawczych zajmujących się problematyką żydowską. Do najważniejszych należy zaliczyć: Żydowski Instytut Historyczny. Placówka ta zatrudnia ponad sześćdziesięciu pracowników, w tym kilkunastu naukowców. Instytut składa się z czterech zakładów: Badań i Dokumentacji Kultury Materialnej Żydów w Polsce, Badań i Prezentacji Sztuki Żydowskiej, Badań nad Ewolucją Tożsamości Żydów w Polsce oraz Najnowszej Historii Żydów w Polsce. Od 1947 roku ŻIH wydaje czasopismo w języku jidisz *Bleter far geschichte* a od 1949 – *Biuletyn ŻIH*. Instytut prowadzi również działalność edukacyjną – kursy dla nauczycieli – oraz wydawniczą – dwie serie: *Prace Naukowe ŻIH* oraz edukacyjną; Centrum Badania i Nauczania Dziejów i Kultury Żydów w Polsce im. M. Anielewicza Uniwersytetu Warszawskiego. Instytucja powstała w roku 1990 w ramach Instytutu Historycznego UW, dzięki stworzeniu podstaw finansowych przez Fundację Jacka Filderbauma (Jack Filderbaum Foundation). Centrum postawiło przed sobą trzy podstawowe zadania: 1) prowadzenie systematycznych wykładów z dziejów Żydów (przede wszystkim w Polsce), przeznaczonych dla studentów wyższych lat Wydziału Historycznego (UW), na przykład: *Dzieje Żydów w Polsce 1918-1939*, *Dzieje ruchu syjonistycznego*, *Historia państwa Izraela*, *Żydzi we wschodniej Galicji między Polakami a Ukraińcami*, *Malarstwo żydowskie w Polsce*, *Ideologiczne przesłanki Szoa*; oraz ćwiczeń i seminariów włączonych w ogólny program Instytutu Historycznego; 2) organizowanie lektoratów języków jidisz i hebrajskiego; 3) prowadzenie i inicjowanie studiów dotyczących problematyki historii i kultury żydowskiej, publikowanie ich wyników, a także zaznajamianie czytelnika polskiego z przeszłością Żydów w naszym kraju, na podstawie prac badawczych polskich i zagranicznych (zwłaszcza izrael-

skich); Zakład Hebraistyki Instytutu Orientalistycznego UW. Studia hebraistyczne istnieją na UW od roku 1818. Obok nauczania języka hebrajskiego biblijnego tłumaczono tutaj także Talmud za przyzwoleniem cara, Mikołaja I. Hebraistykę traktowano pierwotnie jako środek umożliwiający studia nad Starym Testamentem. Obecnie Zakład Hebraistyki wchodzi w skład Instytutu Orientalistycznego jako samodzielna placówka naukowo-badawcza. Prowadzi zajęcia z języka hebrajskiego-biblijnego i współczesnego, języka jidisz, aramejskiego oraz filozofii żydowskiej; Instytut Dialogu Katolicko-Judaistycznego Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie powstał w roku 1994 pod patronatem Komisji Episkopatu Polski do Dialogu z Judaizmem przy Wydziale Teologicznym ATK. Za główny cel istnienia Instytutu stawiane są: teoretyczne pogłębianie i wzbogacanie religijnego dialogu katolicko-judaistycznego poprzez studia wzajemnych relacji chrześcijaństwa i judaizmu, ich wspólnego duchowego dziedzictwa oraz odrębnej, specyficznej tożsamości, jak i różnorodnych uwarunkowań determinujących dialog. Refleksja naukowa nad dialogiem pomóc ma we wzajemnym poznaniu chrześcijan i żydów oraz przewyżczeniu istniejących jeszcze trudności w dialogu chrześcijańsko-judaistycznym. Instytut prowadzi działalność naukowo-badawczą, dydaktyczną oraz konsultacyjną. Do najważniejszych osiągnięć tej placówki należy zaliczyć organizację cyklicznego sympozjum „Kościoł a Żydzi i judaizm” oraz prace nad „Słownikiem Biograficznym dialogu Chrześcijańsko-Judaistycznego”, a także „Leksykonem” tego dialogu. Instytut organizuje również wykłady, prelekcje i podróże studyjne; Międzywydziałowy Zakład Historii i Kultury Żydów w Polsce Uniwersytetu Jagiellońskiego. Placówka ta koncentruje się wokół przygotowania warsztatu dla wszystkich zajmujących się w najszerszym zakresie obecnością Żydów w dziejach i kulturze na ziemiach polskich. Celowi temu służą prace nad bibliografią polskich judaików (bibliografie bieżące i retrospektywne), na przykład „Przewodnik po bibliografiach polskich judaików”. Zakład prowadzi także badania naukowe, organizuje spotkania i konferencje).

Inicjatorami powstania Polskiego Towarzystwa Studiów Żydowskich byli naukowcy skupieni właśnie wokół wyżej wymienionych instytucji, a ich pierwszą inicjatywą środo-

wiskową była organizacja sesji naukowej „Żydzi i judaizm we współczesnych badaniach polskich”, która to odbyła się w Krakowie w dniach 21-23 listopada 1995 roku w siedzibie Polskiej Akademii Umiejętności. Głównym celem zwołania konferencji było: 1) podsumowanie dotychczasowych badań; 2) określenie ich dalszego kierunku; 3) podjęcie wspólnych zamierzeń badawczych; 4) konsolidacja środowiska naukowego poprzez powołanie Polskiego Towarzystwa Studiów Żydowskich (Polish Association for Jewish Studies); 5) nawiązanie przez nowo powstałą organizację współpracy z zagranicą. Sesji towarzyszyła wystawa „Judaika w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej”.

Publikowane w tym roku materiały z konferencji w tomie pod tym samym tytułem najlepiej chyba pokazują w obszarze jakich zagadnień poruszają się polscy naukowcy skupieni wokół Polskiego Towarzystwa Studiów Żydowskich.

Monografię otwierają artykuły, poświęcone historii starożytnego Izraela oraz problematyce spotkania judaizmu z chrześcijaństwem. Dalsza część pracy prezentuje osiągnięcia badaczy w zakresie dziejów Żydów Aszkenazyjskich. Są to więc prace głównie z zakresu religioznawstwa, historii oraz historii sztuki żydowskiej.

Warto na końcu nadmienić, że Polskie Towarzystwo Studiów Żydowskich nosi się z zamiarem – co jest zasygnalizowane w omawianym tomie – wydawania od nowego, 1998 roku, periodyku o nazwie *Studia Judaica*, na łamach którego ukazywać się będą artykuły naukowe o szeroko rozumianej tematyce żydowskiej i judaistycznej, przeglądy bibliograficzne, materiały dokumentacyjne oraz polemiki.

Sławomir J. ŻUREK

„Żydzi i judaizm we współczesnych badaniach polskich. Materiały z konferencji (Kraków 21-23 XI 1995)”, pod red. K. Pilarczyka, Kraków 1997, s. 452.

„Dzienniczek” błogosławionej Faustyny Kowalskiej

Kwestia czy dusza Marszałka jest zbawiona czy potępiona stanowi temat wizji polskiej mistyczki, błogosławionej siostry Faustyny Kowalskiej ze Zgromadzenia Zakonnego Najświętszej Marii Panny Miłosierdzia. Wizję tę tak przedstawia sama s. Faustyna w swej książce pt. „Miłosierdzie Boże w duszy mojej – dzienniczek”. Posiadam jedynie włoskie tłumaczenie tego dzienniczka, które ukazało się nakładem Libreria Editrice Vaticana w 1996 r. pt. „La Misericordia Divina nella Mia Anima – Diario della Beata Suor Faustina Kowalska”. Oto przetłumaczony z włoskiego zapis s. Faustyny pod datą 12 V 1935, tj. w dniu zgonu Marszałka:

„Pewnej chwili dnia 12 V 1935 wieczorem, natychmiast po położeniu się do łóżka, zasnęłam, ale jeżeli prędko zasnęłam, to jeszcze szybciej zostałam obudzona (...). Nieoczekiwanie ujrzałam pewną duszę, która oddzielała się od ciała wśród okropnych męczarni*. O Jezu, pisząc to, drzę cała, po zobaczeniu okropności świadczących przeciwko tej duszy.

Zobaczyłam wychodzące jakby z błotnistej przepaści dusze dzieci małych i nieco większych, koło dziewięciu lat. Te dusze były odrażające i okropne, podobne do najbardziej przerażających potworów, do rozkładających się zwłok. Lecz te zwłoki żyły i świadczyły przeciwko owej konającej duszy.

* Tu, pod nr 181, znajduje się odnośnik wydawcy, który przytaczam w całości: „Książd M. Sopoćko (spowiednik s. Faustyny) opowiada w swym świadectwie w procesie beatyfikacyjnym: *‘Postero die post mortem Mareschali Reipublicae Józef Piłsudski 12 V 1935 narravit mihi S.D. quod hesternum die vidit eum in iudicio divino. Iudicium fuit valde severum sed propter intercessionem B.M.V. iudicium exitum habuit felicem. Ni fallor etiam hoc notavit in Diario vel enarravit sororibus, quando rumor de eius morte nondum advenerat’*”. *Summarium*, str. 95, § 251 pod koniec. Zobacz też: Akty ks. Sopoćki w A.C. Kraków, Ric. APR zeszyt IX, doc. 3. str. 297.

A dusza, którą widziałam w agonii jest duszą, którą świat czcił i uwielbiał, czego rezultatem jest próżnia i grzech. Wreszcie na koniec wyłoniła się jakaś niewiasta, która w czymś podobnym do fartucha niosła łyzy, i ta niewiasta świadczyła wiele przeciw tej duszy. O, straszna chwilo, w której trzeba będzie ujrzeć swoje czyny w ich istocie i nędzy. Żaden z tych czynów nie będzie zapomniany i będą towarzyszyć wiernie przed sądem Bożym. Brak mi słów i porównań, aby wyrazić rzeczy tak okropne, i, chociaż wydaje mi się, że ta dusza nie będzie potępiona, to jednak jej męki nie różnią się niczym od męczarni w piekle. Jediną różnicą jest to, że się w pewnej chwili skończy”.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

10.11.97

Dyrektorem Instytutu Polskiego w Wilnie i radcą kulturalnym ambasady RP został mianowany Ryszard Badoń. Był on wieloletnim dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy. Ostatnio zaś prezesem Fundacji Pracowniczej Kombinatów Górniczo-Hutniczego Polskiej Miedzi w Lubinie.

18.11.97

Głos Wielkopolski przyznał nagrodę poetycką im. Kazimierza Iłkowiczówny za najlepszy książkowy poetycki debiut roku Mariuszowi Kalandykowi za tom wierszy „Powrót Atanaryka”, opublikowany przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” w Rzeszowie.

22.11.97

W Otmuchowie w Opolskiem odbyło się spotkanie założycielskie Partii Ludowo-Demokratycznej. Ma to być centrowa partia ogólnonarodowa. Roman Jagieliński, b. wicepremier i minister rolnictwa ma do niej przystąpić. W tym wypadku zamierza wystąpić z PSL.

26.11.97

Andrzej Chrzanowski, dyrektor Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, został wybrany prezesem Polskiej Izby Książki, jest on również prezesem *European Educational Publishing Group*.

2.12.97

Warszawski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wspólnie z Towarzystwem Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu zorganizował spotkanie „Pół wieku Kultury”.

6.12.97

Tegoroczne nagrody Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej otrzymali: prof. Andrzej Paczkowski w dziedzinie nauk humanistycznych, prof. Ryszard Dryglewski w dziedzinie nauk przyrodniczych, prof. Tomasz Łuczak w dziedzinie nauk ścisłych, prof. Antoni Rogalski za pracę detektorami promieniowania podczerwonego. ■ Nagrodę naukową im. Marcelego Handelsmana Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu przyznał dr. Zdzisławowi Budzyńskiemu za pracę „Ludność pogranicza polsko-ruskiego w drugiej połowie XVIII w.”

7.12.97

Instytut Polski w Mińsku w ciągu grudnia zorganizował wykłady prof. Werenicza „Historia Polski i Białorusi”, prof. Maldzisa „Związki kulturowe Polski i Białorusi”, dr. Bryndza-Stabro „Przemiany w kulturze i literaturze po 1989 r.”, prof. Engelmajera „Analiza porównawcza sytuacji politycznej w Polsce i na Węgrzech”. Ponadto miało miejsce seminarium na temat „Białoruś, Polska, Europa Środkowa – wyzwanie współczesności” zorganizowane przez T. Niegodziszę, I. Babkou i U. Kołasa.

8.12.97

Doroczne nagrody im. św. Brata Alberta – Adama Chmielowskiego otrzymali: ks. prof. Waldemar Chrostowski i Stanisław Krajewski za kształtowanie dialogu chrześcijańsko-żydowskiego; abp Adam, prawosławny ordynariusz diecezji przemysko-nowosądeckiej za ratowanie i ochronę zabytków sakralnych; Kazimierz Gąsiorowski za projektowanie wnętrz sakralnych; Magdalena Kallcińska za ratowanie zabytków sztuki polskiej; Józef Wiktor Kulon za rzeźbę w drewnie; prof. Edmund Małachowicz za osiągnięcia w dziedzinie architektury i przywracanie świątyniom na Dolnym Śląsku ich pierwotnego wyglądu oraz Aleksander Małachowski za publicystykę społeczną. ■ Stanisław Lem otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego.

15.12.97

W Zachęcie w Warszawie została otwarta wystawa „Jan Cybis 1897-1972. Retrospektywa”.

17.12.97

W Instytucie Studiów Politycznych PAN odbyło się seminarium na temat „Sytuacja polityczna w Republice Białoruskiej, jej geneza i scenariusze rozwoju”. Ze strony białoruskiej wzięli udział: Stanisław Szuskiewicz, b. przewodniczący Rady Najwyższej Republiki Białoruś oraz Elena Strelkowa i Siergiej Owsiannik, działacze Zjednoczonej Partii Obywatelskiej. Ze strony polskiej: prof. Wojciech Roszkowski, prof. Antoni Z. Kamiński, p. Elżbieta Smułkowa, b. ambasador RP w Mińsku, Stefan Bratkowski, honorowy prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Agnieszka Magdziak-Miszewska, red. miesięcznika *Więź*.

18.12.97

W Muzeum Okręgowym w Suwałkach została otwarta wystawa „Kultura 1947-1997”.

20.12.97

Redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*, Jerzy Turowicz, obchodził 85-lecie urodzin.

24.12.97

Zmarł abp Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu Polski w latach 1969-1993.

ZACHÓD

18.11.97

W Instytucie Polskim w Londynie odbył się wieczór poświęcony wydanemu przez Ossolineum przekładowi wierszy polskich na angielski w tłumaczeniu Noëla Clarka. Przekłady były prezen-

owane przez Danutę Mierzanowską, Bolesława Taborskiego i samego tłumacza. Całością imprezy kierował Jerzy Pietrkiewicz.

1.12.97

Kongres Polonii Amerykańskiej w Connecticut wybrał na „Człowieka roku” p. Ewę Karpińską-Gierat. W poprzednich latach to wyróżnienie otrzymali prof. Stanisław Blejwas i Jan Wójcik.

5.12.97

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się spotkanie z Magdaleną Abakanowicz z okazji jej wystawy, która miała miejsce w Galerie Marvan Hoss i była połączona z wyświetleniem filmu dokumentalnego.

10.12.97

Czołowy polski reżyser, Andrzej Wajda został członkiem zagranicznym Francuskiej Akademii Sztuk Pięknych, uprzednio fotel ten zajmował Federico Fellini.

12.12.97

W Księgarni Polskiej w Paryżu odbyło się spotkanie ze Sławomirem Mrożkiem z okazji ukazania się VII tomu jego „Dzieł zebranych”.

13.12.97

Zmarł w Paryżu w wieku 85 lat David Rousset, autor książki „L'univers concentrationnaire”. W 1949 r. miał miejsce głośny proces Rousseta z *Les Lettres Françaises*, które to pismo oskarżyło go o podawanie fałszywych informacji o obozach koncentracyjnych w ZSSR. W procesie tym brał udział jako świadek m.in. Józef Czapski. Rousset przeprowadził dowód prawdy i *Les Lettres Françaises* zostały skazane za zniesławienie.

16.12.97

W Centre de Civilisation Polonaise przy Uniwersytecie Paris-Sorbonne miał miejsce *table ronde* na temat „Polskie Legiony i kształtowanie się świadomości narodowej w Europie XIX w.”, pod przewodnictwem Jeana Tularda z udziałem ambasadora RP, profesora Uniwersytetu Warszawskiego Stefana Mellera, prof. Jean-Paula Bertaud, prof. Daniela Beauvois, Celine Gervais-Francelle, Tomasza Łubieńskiego, Krzysztofa Rutkowskiego i Daniela Tollet.

16.1.97

Association des Anciens Eleves et Amis des Langues Orientales w Paryżu zorganizowało odczyt Ambasadora RP Stefana Mellera na temat „Géopolitique polonaise”.

Listy do Redakcji

Budapeszt, 1.12.1997

Drogi Panie Redaktorze,

Z kilkumiesięcznym opóźnieniem przeczytałem Pańskie wspomnienie o Michale Hellerze (*Kultura*, 2/1997, str. 151-152). Teraz, kiedy zbliża się pierwsza rocznica Jego śmierci, postanowiłem uzupełnić tekst Pana Redaktora drobnym, ale istotnym dopowiedzeniem. Pisze Pan, że niezapomniany Pan Michał „zdążył zobaczyć korekty wydania rosyjskiego i francuskiego” swojej „Historii Imperium Rosyjskiego”. Otóż zdążył jeszcze zobaczyć nie tylko korekty, ale i gotową książkę – w edycji węgierskiej. Książkę Hellera, jako pierwszy tom „Historii Rosji” (jako i tom drugi, to znaczy historię imperium sowieckiego: „Utopię u władzy” Hellera i Niekricza) wydałem po raz pierwszy właśnie ja – w listopadzie 1996 roku, co sprawiło Panu Michałowi dużą radość. Wielką radość sprawiła mu również żywa sympatia czytelników węgierskich, z którymi spotkał się – kilka tygodni przed śmiercią – w Budapeszcie podczas promocji książki. O zainteresowaniu pracą Michała Hellera świadczy fakt, że w ciągu roku ukazały się dwa jej wydania i wszystkie egzemplarze zostały szybko wykupione.

W załączeniu przesyłam Panu Redaktorowi (jako „dowód rzeczowy”) dwa tomy tej publikacji, a także najnowszą książeczkę mojego autorstwa („Wprowadzenie do baltystyki”).

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami

Endre BOJTÁR

Łódź, 5 grudnia 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim tekście „Dwa jubileusze Uniwersytetu Wileńskiego” (*Kultura* nr 11/602) trafił się błąd zniekształcający nazwisko dr. K. PUCHOWSKIEGO z Gdańska, nader zasłużonego przy opracowywaniu recenzowanego tomu materiałów jubileuszowych. Przypuszczam i proszę o sprostowanie.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Lesław GRUSZCZYŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

p. Jerzy Boniecki mógłby równie dobrze polemizować ze Smeczem co do „inności” Rosji, jak to robi z Mariuszem Wilkiem (*Kultura*, Nr 11/602). W czerwcu wróciłem z trzeciego pobytu we Władywostoku, gdzie wykładałem hotelarstwo w prywatnej akademii. Żyjąc i pracując wśród tamtejszych Rosjan doświadczyłem Rosji zblizonej dużo bardziej do tej opisanej przez p. Wilka niż Rosji widzianej z perspektywy Moskwy czy St. Petersburga. Inność Rosji spostrzegłem w wielu dziedzinach życia ale bodajże najlepiej w psychice młodszego pokolenia, wychowanego już przy komputerach i mającego styczność z Zachodem, chociażby tylko przez informatykę. Zastraszająca dla mnie była rezygnacja moich studentów z bardziej ambitnych planów na przyszłość i ich akceptacja stanu rzeczy jako konieczności wywodzącej się, według nich samych, z odrębności Rosji i jej ludzi.

Może jedynym wyjątkiem był, 13-go maja br., spontaniczny odruch, kiedy po miesięcznej przerwie w dopływie ciepłej wody (zazdrościłem p. Wilkowi jego „bani”) i codziennych przerwach, sięgających 16 godzin, w dopływie elektryczności, ludność wyszła na ulice blokując ruch uliczny tego przeszło półmilionowego miasta. Demonstrację przekazała rosyjska telewizja na całą Rosję a CNN na świat. Jedna z kobiet rozmawiających z reporterem domagała się „Niezależnej Republiki Władywostockiej”, powołując się na sukces „Solidarności w Polsce”.

Życząc Panu zdrowych i wesołych Świąt i dalszej owocnej pracy w Nowym Roku, z poważaniem

Tadeusz MICHEL

KOMUNIKAT POLSCY WIĘŹNIOWIE MOSKIEWSKIEJ ŁUBIANKI 1939-1941

Poszukuję kontaktu z osobami (względnie z członkami ich rodzin, kolegami itp.), które w latach 1939-1941 były więźniami bądź otarły się o więzienie NKWD na moskiewskiej Łubiance. Proszę o podanie (w miarę możliwości) podstawowych danych więźnia (imiona, nazwiska, wiek, stan cywilny, pochodzenie społeczne, wykształcenie, zawód, stopień wojskowy, ostatnie miejsca pracy i zamieszkania, odznaczenia, data aresztowania, okres pobytu na Łubiance i w innych sowieckich więzieniach, otrzymany wyrok i ewentualne miejsce odbywania kary); pełnionych przezeń funkcji w organizacjach społecznych i partiach politycznych itp. w ciągu całego życia (do momentu aresztowania), stawiane zarzuty, przebieg śledztwa i stosowane metody śledcze, główny cel (kierunek) śledztwa, życie codzienne więźnia wraz z informacjami

o innych przetrzymywanych (napotkanych) więźniach Łubianki. Korespondencję proszę kierować: Krzysztof Jasiewicz, Instytut Studiów Politycznych PAN, ul. Polna 18/20, 00-625 Warszawa.

Pozostając z wyrazami najwyższego szacunku i poważania

dr Krzysztof JASIEWICZ

30 listopada 1997

Szanowny Panie,

Ewa Berberysz w „Kartkach ze skażonej strefy” (6/97) wspominała o dworze w Pęcicach, co skomentowane zostało w listach do Redakcji w (9/97) przez p. Odrowąż-Pieniążka. Uzupełniając obie interesujące wypowiedzi warto zauważyć, że dom ów, ongiś ośrodek wypoczynkowo-szkoleniowy dla bezpieki, później siedziba Art-B, a obecnie lokal do wynajęcia na rozmaite imprezy, został uprzednio ukradziony prawowitym właścicielom. Respektowanie własności i wpisów w księgę wieczystą w Polsce są pojęciami abstrakcyjnymi. Zmierzenie do Europy zdaniem-wytrychem, tak jak wczorajsze mierzenie do socjalizmu sloganem bez treści i jakiegokolwiek przełożenia w praktyce.

Łączymy pozdrowienia

Dariusz WESOŁOWSKI

Sekretariat Zarządu Stowarzyszenia Przemysłowców Polskich

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowym numerze *Kultury* ukazała się recenzja (?) mojej książki „Literatura polska 1945-1995. Główne zjawiska” sygnowana nazwiskiem pana Leszka Szaruga. Zasadniczo nie lubię, gdy autor występuje w obronie swoich tekstów i gdyby to była rzeczywiste recenzja, a nie napisany w historycznym tonie pamflet, zaczepiający osoby i instytucje trzecie – w ogóle bym na niego nie odpowiadał. Krótko zatem:

– pan Szaruga jest recenzentem nieuczciwym, gdyż posługuje się wyrwanymi z kontekstu słowami czy fragmentami zdań. W kategoriach zawodowych jest to podstawowy brak profesjonalizmu;

– pan Szaruga atakuje osoby, które zatwierdzają i instytucje, które współfinansują podobne jak moja książki. Trzeba mu zatem wyjaśnić, że w nowej rzeczywistości zmieniły się formy kształcenia, teksty pomocnicze mają różnych adresatów – mój pisany był, recenzowany i wydawany z myślą o studiach licencjackich, czyli wyższych zawodowych, gdzie zarówno materiał, jak i metody analizy są znacznie skromniejsze niż w przypadku studiów magisterskich;

– (...) pierwsze zdania mojej książki brzmią: „Praca niniejsza nie

jest klasyczną historią literatury. Nie jest nią z zamysłu i nie jest z istoty”. I dalej uzasadniam, dlaczego piszę tylko o „głównych zjawiskach” (a więc nie o „zapomnianych tekstach polskiego Października”). Gdyby pan Szaruga przeczytał te zdania, nie naraziłby się na niepotrzebny trud.

Bylbym wdzięczny Panu Redaktorowi za umieszczenie tego listu w *Kulturze*.

Z wyrazami należącego szacunku

Mieczysław DĄBROWSKI

Pan profesor Dąbrowski zadziwia dobrym samopoczuciem, czego wypada mu gratulować. Chciałbym jedynie wyjaśnić, że omówiłem jego książkę w swym felietonie (tak ten tekst należy zakwalifikować gatunkowo). Felieton ma swoje prawa, zaś książka na zwykłą recenzję nie zasługuje. Argumentacja, iż książka jest skierowana do określonego adresata, a w związku z tym może posługiwać się, jak to pan profesor zabawnie ujmuje, „znacznie skromniejszymi metodami analizy”, jest w konfrontacji z tekstem po prostu śmieszna: takie „metody” nie przystoją nawet w podręcznikach dla szkół podstawowych.

Leszek SZARUGA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Grzegorz F. (Polska): – Niestety – sformułowania w rodzaju „uproszczony z opinii innych” czy „napiętnowany okrucieństwem z posądzeń owieczek” skutecznie uniemożliwiają zrozumienie Pana utworów.

Artur O. (Polska): – Jedno nie ulega wątpliwości: ma Pan poczucie humoru, co dziś rzadkie. Nie znaczy to, że powinien Pan rymować, zwłaszcza tak – wybaczy Pan – niewyszukanie. Nadto powinien Pan się zastanowić nad znaczeniem dość dziwnych sformułowań. Co znaczy np. „Ciesz się tym głęboko”?

Zygmunt Jan P. (Polska): – Nie jest sprawą rozstrzygniętą czy światło haiku jest białe. Pewne jest natomiast, że forma haiku należy do bardzo trudnych. Wymaga jasności. Pisanie o „czulej aprobaście” utrudnia odbiór wiersza. Przy okazji: im mniej przymiotników, tym lepiej.

Alicja G. (Polska): – Reagowanie na przeżycia wierszem jest godne pochwały. Ale poezja to więcej niż pisanie wierszy. Niech Pani spróbuje pochwycić swe odczucia w tak ładne obrazy, jak ten: „konik polny wydeptuje/ścieżkę na moim brzuchu”. Ten obraz jest dobrą zapowiedzią poezji.

CI, CO ODESZLI

Piotr Daszkiewicz:	<i>Kazimierz Wodzicki</i>	159
—	<i>Maria Adela Żeleńska</i>	162
Bogumiła Żongołłowicz:	<i>Leżeć wśród wrzosów</i>	163
Anna Supruniuk:	<i>Kazimierz Jasiński</i>	165

MYŚLI O POLSCE

Andrzej Mencwel:	<i>Czego Polacy potrzebują?</i>	167
------------------	---	-----

KSIĄŻKI

Mariusz Wilk:	<i>Palimpsest</i>	186
Agnieszka Márton		
—Domeyko:	<i>PRL w „Le Monde” 1949-1957</i>	194
Bohdan Osadczyk:	<i>Ważna książka Daniela Beauvois</i>	209
Sławomir J. Żurek:	<i>Żydzi i judaizm we współczesnych badaniach polskich</i>	211
Wł. Sznarbachowski:	<i>„Dzienniczek” bł. Faustyny Kowalskiej</i>	215
—		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	217
A. Bojtár, L. Gruszczyński,		
T. Michel, K. Jasiewicz,		
D. Wesołowski, M. Dąbrowski, L. Szaruga:	<i>Listy do Redakcji</i>	220
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	223

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{ère} trimestre 1998.Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1998			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 6/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Broadard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Eilior Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 85-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, ephanstr. 11, 5000 Köln, I, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 mt. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 6,00.Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 501 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY DRUGI

zawiera opracowania: A. Maldzis: *Białoruś i jej sąsiedzi*; T. Wyrwa: *Dzieje emigracji w londyńskim wydaniu*; K. Modzelewski: *Cyrylica w polskim zwierciadle*; K. Głuchowski: *W polskim Londynie 1947-1970* (z wprowadzeniem Marii Danilewicz Zielińskiej); J. Lewandowski: *NKWD o polskim podziemiu*; P. Wandycz: *Nowe książki*; A. Gajos: *Pamiętnik Konstantego Skirmunta*; K. Tarka: *Opolszczyzna po II wojnie*; *Nadesłane nowości wydawnicze*; T. Zabokrzecki: *Moje wspomnienia*; M. Jankiewicz: *Tragedia wileńskiego getta*; I. Torbakow: *IV Rozbiór Polski w końcu XIX wieku*; A.M. Kobos: *Powstanie warszawskie w oczach Goebbelsa*; *Komunikat o stypendiach*.

Str. 240

Cena F. 90,00